Narodowa terapia ▪ Dlaczego giną ryby ▪ Reportaż z obwodu kurskiego
Co kryją świadkowie Jehowy ▪ Rosiak tańczy tango ▪ Pomidor to król

Kraków 28 sierpnia – 3 września 2024 nr 35 (3921) cena 13 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
TygodnikPowszechny.pl

NOWY ROK SZKOLNY

Ministra Nowacka nie zdaje egzaminu

EKSTRA STRONY
NAGRODA LITERACKA GDYNIA

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

Wydawnictwo Agora

NOWA KSIĄŻKA ANNE APPLEBAUM

CO DZIŚ NAJBARDZIEJ ZAGRAŻA DEMOKRACJI?

Jak działają autokraci – czy chcą zmienić globalne zasady gry?

SPOTKANIA AUTORSKIE

18.09 / GODZ. 19 / NOWY TEATR W WARSZAWIE , **19.09 / GODZ. 18 /** CK ZAMEK W POZNANIU,
20.09 / GODZ. 16 / JESIENNE TARGI KSIĄŻKI W WARSZAWIE

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA KULTURALNY SKLEP.PL **WOLISZ EBOOKI/ AUDIOBOOKI?** ZAPRASZAMY NA publio.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Pierwszy dzwonek, ostatni dzwonek*

Nie lubiłem tego tematu i do tej pory omijałem go starannie, niby dlatego, że nie mam tu nic ciekawego, nadającego się do opisania. Świetna wymówka. W rzeczywistości jednak (co teraz widzę) omijam go, bo w nim wypadam kiepsko, a właściwie całkiem źle. Teraz zresztą też nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły. Bo po co np. opisywać, że w ostatniej klasie przed maturą byłem w innej szkole niż w poprzednich klasach? Po prostu wyrzucili mnie z poprzedniej (znakomitej) szkoły – nie za jakieś bohaterskie czyny, ale z powodu fatalnych ocen. Mam to wszystko dziś przemyślane, chyba wiem, dlaczego tak się stało (po latach człowiek sam sobie pisze usprawiedliwienia). Na studiach jednych i drugich radziłem sobie już zupełnie dobrze, więc o smętnych trudnościach lat szkolnych długo wolałem nie pamiętać.

Co ze szkoły wspominam (ile to już lat upłynęło...), co zapamiętałem? Bardzo wiele, choćby wzruszenia poezją Słowackiego. To było odkrycie. Miałem w głowie od niepamiętnych dla mnie czasów Mickiewicza. Ale Słowacki?! Nauczyłem się bynajmniej nie zadanego nam wiersza „Grób Agamemnona". Do dziś pamiętam – niestety – tylko fragmenty. Polski prowadzony przez panią Dancewiczową znakomity. Poziom może nie tak wyśrubowany jak w poprzedniej szkole, ale z pewnością nie był niski. W każdym razie maturę zdałem. Prawdę mówiąc – nigdy dotąd się do tego nie przyznałem – matematyk, wspaniały przedwojenny nauczyciel, podyktował mi półgłosem sposób rozwiązania zadania. Wspomnienia się zacierają, nawet nazwiska wielu profesorów uleciały z nadwątlonej pamięci.

Wiem na szczęście, że jedna koleżanka – z tej ostatniej klasy – żyje. Jesteśmy w przyjaźni z Hanią... Była jedną z najlepszych uczennic, a jednak moja przyjaźń z nią, bynajmniej nie jednego z najlepszych, przetrwała. Kiepski uczeń, przybysz w ostatniej klasie, wyrzucony z poprzedniej szkoły i dołączony do grupy przez lata idącej razem – czuję się częścią tamtych wspólnot. Czuję się serdecznie jednym z nich, choć nawet nie wiem, kto z nich jeszcze żyje, nie wiem, czy ktokolwiek jeszcze mnie pamięta. Nieważne. Jest taki wiersz Tuwima, który wtedy ktoś nam czytał: „Szkoło, szkoło! / Gdy cię wspominam, (...) / Oczy mam pełne łez! / Galia est omnis divisa / In partes tres"...

Ileż tym szkołom zawdzięczam... Nauczycielom duszonym – jak dziś wiemy – przez reżim. Jaką wdzięczność winien jestem ludziom takim jak np. prof. Żurawski od Reytana, który nas uczył prawdziwej historii, odczytując, owszem, z podręcznika odpowiednie fragmenty, ale odczytując je po wykładzie, który na nie uodparniał. I tym innym, którzy się nie bali, albo się bali, ale mimo wszystko pozostawali sobą.

No i lekcje religii, gorący dziś temat. Nie chodzi o to, że u Reytana uczyli jezuici. Byli jezuici wspaniali. Nie musieli uciszać licznych, powojennych klas. Była cisza, choć nie uciszali. Wszyscy uważali, choć nikt nie mówił, że należy uważać. I byli też jezuici, z pewnością zacni i wykształceni, którzy śmiertelnie nudzili. Na ich lekcjach odrabiało się inne lekcje. Uciszali, wzywali do uwagi. Daremnie. Był też (w ostatniej mojej szkole) ksiądz z pobliskiej parafii. Niestety fatalny, to nie była żadna nauka. Przed laty rozmawiałem o tym z kolegą, który został biskupem. Twierdził, że każdy ksiądz jest z natury powołania właściwym katechetą. Kolega (ten biskup) już nie żyje, więc odpowiadam mu w zaświaty: na pewno nie każdy. Uczenie religii wymaga talentu i wiedzy. Inaczej... sami widzicie, co się dzieje. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem-seniorem „Tygodnika Powszechnego"

TYGODNIK POWSZECHNY

NOWOŚĆ!

Wygodna subskrypcja odnawialna Tygodnika. **7 dni za darmo**, później o **połowę taniej**.

Nagradzane dziennikarstwo, wydanie cyfrowe z płatnością cykliczną co miesiąc.

Nasze treści to:

- głębokie analizy wydarzeń
- wsparcie w odnajdywaniu sensu
- przewodnik po zawiłym świecie
- redukcja informacyjnego chaosu
- nadzieja

Szukaj na **www.TygodnikPowszechny.pl/Kup**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Też to czujecie, prawda? Chłodniejsze poranki, krótsze wieczory. Jedni czekają już na nowe, jesienne powietrze, inni chcą złapać jeszcze choć trochę letniego powiewu (w tej grupie jestem i ja).W tym numerze „Tygodnika", który wypada właśnie na przełom sezonów, a który miałam przyjemność prowadzić, zapraszam na miks wakacyjno-wrześniowy.

Zacznijmy od tematów letnich i lekkich: bo kiedy mógłby być lepszy czas, żeby napisać o istotach tak doskonałych jak **LENIWCE** i **LENIUCHOWCE**. W dziale Nauka **ŁUKASZ KWIATEK** portretuje te wyjątkowo udane ewolucyjnie i niezwykle rozsądnie żyjące zwierzęta. I aż chciałoby się z ich przystosowań zabrać coś dla siebie (potrafią m.in. w zadziwiający sposób zarządzać wydatkowaniem energii).

Drugi wakacyjny temat jest ściśle związany z końcówką sierpnia: nie ma bowiem dla nas lepszego czasu na pomidory niż stygnący koniec lata. Bartek Kieżun w artykule **„KRÓL POMIDOR"** zaprasza nas w smakowitą podróż przez Ekwador, Meksyk, Włochy i Grecję. Spojler: na koniec najsmaczniejszym przystankiem tej podróży okazuje się Polska.

Po miesiącach wakacyjnych przyjść musi, jak zawsze, 1 września. A wraz z nim niezmiennie dwa tematy: szkoła i wojna. Na 85. rocznicę wybuchu II wojny światowej w dziale Historia znajdą Państwo **OPOWIEŚĆ OSIEMNASTOLETNIEJ IRENY**, która 1 września 1939 roku miała cieszyć się jednym z najpiękniejszych dni w swoim życiu: wychodziła za mąż. Jednak zaraz po słowach przysięgi dziewczyna musiała ruszyć w drogę razem z tłumem uciekinierów.

Jest też w tym numerze materiał, który łączy w sobie te dwa pierwszowrześniowe tematy. **MICHAŁ BILEWICZ**, psycholog społeczny, w rozmowie z **WOJCIECHEM BONOWICZEM** zastanawia się, jak znaleźć wyjście z naszego „traumalandu". Zostawię tu krótki cytat: „ Uczymy w szkole o traumach, ale uczymy źle. Teraz mówi się o tym na lekcjach polskiego, na historii i na tym przedmiocie, który do niedawna nazywał się historia i teraźniejszość. Mówi się dużo, ale to jest zupełnie niezsynchronizowane. I nie myśli się o psychicznych kosztach takiej konfrontacji".

Mam nadzieję, że ta mieszanka wakacyjno-wrześniowa, którą skomponowaliśmy, przyniesie Państwu wiele chwil dobrej lektury. ©℗

EWELINA BURDA
REDAKTORKA PROWADZĄCA

Zastępczyni redaktora naczelnego i szefowa serwisu TygodnikPowszechny.pl. Jako dziennikarka zajmuje się tematyką społeczną. Laureatka Nagrody im. prof. Romana Czerneckiego za artykuł o nauczycielach odchodzących z zawodu.

20 Narodowa terapia
ROZMOWA Z MICHAŁEM BILEWICZEM, PSYCHOLOGIEM SPOŁECZNYM:
Nie ograniczajmy naszej historii do dziejów bezradności i porozumień wrogich mocarstw. Nawet straumatyzowani, potrafiliśmy być sprawczy.

56 Mój wrzesień '39
IRENA ŁUCYK
W kościele ciemno, ponuro. Zaczyna się ceremonia. Nagle słyszę śpiew kobiet: „Wieczny odpoczynek racz...". Ktoś je ucisza: „Nie widzicie, tam ślub?!". Umilkły. Powtarzam słowa przysięgi. Świat mych dziewczęcych marzeń legł w gruzach.

68 Zwierzę najdoskonalsze
ŁUKASZ KWIATEK
Myślicie, że największym osiągnięciem ewolucji jest człowiek? To popatrzcie na leniwce!

GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP // MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS // ARCHIWUM RODZINNE // TOM INGRAM / ALAMY / BE&W

■ ■ OBRAZ TYGODNIA
6 Nowa droga do Indii
MAREK RABIJ
7-9 Komentarze
10-11 Informacje
■ ■ CZYTANIA/WIDZENIA
18-19 MAŁGORZATA KORDOWICZ, O. WACŁAW OSZAJCA, PIOTR SIKORA, KARD. GRZEGORZ RYŚ
■ ■ KRAJ
20 Narodowa terapia
ROZMOWA Z MICHAŁEM BILEWICZEM
24 Dlaczego ryby nie mają głosu
MAREK RABIJ: *Katastrofy ekologiczne jak Dzierżno Duże są tylko kwestią czasu*
28 Z tylnego siedzenia
PIOTR ŚMIŁOWICZ: *Politycy ukryci, ale kluczowi*
■ ■ Z ODDECHEM
32 Król pomidor
BARTEK KIEŻUN: *Każdy ma swoje sekretne źródło, z którego pochodzi ten skarb*
■ ■ WIARA
36 Bez świadków
ŁUKASZ GAMROT: *W co wierzą świadkowie Jehowy*
40 Gender w indyjskich seminariach
ZUZANNA RADZIK: *Indyjscy biskupi zalecają naukę feministycznej teologii*
43 Jak religia miesza się z polityką
TOMASZ MAĆKOWIAK: *Skrajna rodzina Kuffów odgrywa w Słowacji coraz większą rolę*
■ ■ ŚWIAT
46 Sudża cuchnie padliną
ANTONINA PALARCZYK Z ROSJI *Nasza korespondencja z obwodu kurskiego*

TEMAT TYGODNIKA

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

12 Szkoła zarządzania nastrojami
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI
„Anty-Czarnek" – mówią o niej ci, dla których najważniejsze było pożegnanie z poprzednią edukacyjną władzą. „Czarnek, tylko z uśmiechem" – dodają tacy, którzy po ośmiu miesiącach rządów Barbary Nowackiej w MEN nie widzą jakościowej zmiany.

■ ■ DODATEK SPECJALNY ■ ■
61 NAGRODA LITERACKA GDYNIA

■ FELIETONY ■
31 TOMASZ STAWISZYŃSKI
45 ZUZANNA RADZIK **60** ELIZA KĄCKA
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: BARBARA NOWACKA
FOT.: RAFAŁ MASŁOW

49 Kulturkampf w Turyngii
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC: *Obserwujemy kampanię AfD*
52 Korzenie Kamali
JAKUB SZUMSKI: *Co zostało z radykalnej tradycji Berkeley*
■ ■ HISTORIA
56 Mój wrzesień '39
IRENA ŁUCYK
■ ■ NAUKA
68 Zwierzę najdoskonalsze
ŁUKASZ KWIATEK
■ ■ KULTURA
72 Rola życia
ROZMOWA Z JERZYM FEDOROWICZEM, AKTOREM: *Latami grałem amantów. Czekałem na rolę życia, która odmieni karierę*
76 Dlaczego nie kochamy Elvisa
FILIP ŁOBODZIŃSKI: *Elvis Costello nie miał ochoty tańczyć branżowego kadryla i bić się o słupki*
79 Wojny światów
MICHAŁ WALKIEWICZ *tłumaczy fenomeny współczesnych fandomów*
82 Gra wstępna
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Bulion i inne namiętności" w reżyserii Trần Anh Hùnga*
83 Piękna plejada
LEKTOR *o książce „Artystyczne kręgi, miłosne trójkąty" Amy Licence*
■ ■ ZMYSŁY
86 Pocałunek i Bomboniera
DARIUSZ ROSIAK Z BUENOS AIRES: *Byłem jak odkrywca, który nagle dotyka nieznanego*

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL
Wybierz swoją prenumeratę... ... na stronie 17

Zapisz się na newsletter
POWSZECH.NET/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
POWSZECH.NET/PODKAST

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube/TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

NOWA DROGA DO INDII

Pierwsza od 45 lat wizyta premiera Indii w Polsce dowodzi raczej wzrostu znaczenia azjatyckiego giganta na arenie międzynarodowej niż rangi, jakiej stosunkom z Warszawą chciałoby nadać New Delhi.

MAREK RABIJ

POWYŻEJ:
Spotkanie prezydenta Andrzeja Dudy z premierem Indii Narendrą Modim w Belwederze. Warszawa, 22 sierpnia 2024 r.

W WYMIARZE DYPLOMATYCZNYM BYŁ to sukces Polski – nawet jeśli Warszawa była dla Narendry Modiego jedynie punktem przesiadkowym w drodze do Kijowa. Szef indyjskiego rządu wybrał się tam dla zatarcia coraz szkodliwszego dla jego kraju wrażenia, że Indie, które sprawnie wykorzystały zachodnie sankcje wobec Rosji i uczyniły z niej dostawcę surowców po okazyjnych cenach, są też jej politycznym sojusznikiem w agresji na Ukrainę.

Takie skojarzenia wzmocniło zwłaszcza lipcowe spotkanie Modiego z Putinem w Moskwie – i na niewiele zdały się zapewnienia, że wizyta premiera Indii w rosyjskiej stolicy wpisuje się w tradycję indyjskiej polityki niezaangażowania. Na Kremlu Modi faktycznie nie pozwolił sobie na choćby słowo wsparcia dla agresji na Ukrainę. Jednak ściskając miesiąc później w Kijowie równie serdecznie prezydenta Zełenskiego, nie wycisnął z siebie choćby jednego zdania wprost potępiającego działania Rosji.

ANTYKOLONIALNA NARRACJA | Od początku istnienia niepodległych Indii relacje między Moskwą a New Delhi są co najmniej poprawne. Co nie może dziwić, zważywszy chociażby na silną antykolonialną agendę Indii – oraz fakt, że Rosja usiłuje dziś wpisać swoją antyzachodnią politykę właśnie w antykolonialną narrację krajów tzw. Globalnego Południa.

Wcześniej, w okresie zimnej wojny, biedne i wychodzące dopiero spod brytyjskiej kurateli Indie mogły jeszcze traktować Związek Sowiecki jako możnego patrona, ale dziś ta relacja uległa odwróceniu. Gdy przeżarta korupcją i osłabiona wojną Rosja pogrąża się coraz bardziej w izolacjonizmie, indyjska gospodarka nabiera rozpędu, korzystając ze sprzyjającego położenia geo-

graficznego oraz renty demograficznej. W Indiach, tym zapewne najludniejszym już państwie globu (do końca tego roku, jak szacuje ONZ, ludność Indii przekroczy 1,428 mld), średnia wieku to ledwie 28 lat.

Jeśli Polska chce się liczyć bardziej w światowej polityce i gospodarce, musi z takim właśnie partnerem utrzymywać żywsze niż dotąd relacje.

NAUCZYCIEL ŚWIATA | W okresie rządów Narendry Modiego, który pełni funkcję premiera od 2014 r., PKB Indii wzrósł z nieco ponad 2 bilionów do 3,5 biliona dolarów. Kraj nadal boryka się z mnóstwem problemów, między ubogą północą a bogatym południem wciąż zionie przepaść trudna czasem do przełożenia na realia innych krajów. Ale na arenie międzynarodowej Indie są dziś graczem, z którym trzeba się liczyć.

W odniesieniu do swego kraju Modi, człowiek, który z pewnością przejdzie do jego historii jako główny architekt tej wielkiej transformacji, coraz częściej używa sanskryckiego określenia *viśvaguru*, które można przetłumaczyć jako „nauczyciel świata". Indie widzą też siebie w roli nieformalnego lidera grupy państw Globalnego Południa i ambasadora ich interesów w grupie największych krajów świata.

Na tej samej antykolonialnej i antyamerykańskiej strunie próbuje teraz grać Rosja, ale do zaoferowania ma jedynie swój gaz i ropę. Indie, które same muszą importować aż 74 proc. surowców niezbędnych jej gospodarce, nie próbują nawet udawać, że z uboższymi partnerami jadą na tym samym wózku, a w przeciwieństwie do Rosji nie ciąży na nich odium państwa dopuszczającego się zbrodni wojennych w imię swoiście pojmowanej racji stanu. O potencjale ekonomicznym i demografii nie warto nawet wspominać. W tylko jednej indyjskiej prowincji Uttar Pradeś mieszka dziś blisko dwa razy więcej ludzi niż w całej Rosji.

WŚRÓD POPULISTÓW | W pewnym sensie Indie pod rządami Modiego realizują na arenie międzynarodowej ten sam scenariusz polaryzacji, który wcześniej sprawdził się w krajowej polityce. Indyjska Partia Ludowa, matecznik premiera, doszła do władzy dzięki postulatom, które do złudzenia przypominają program Prawa i Sprawiedliwości. Zwrot w stronę swoiście pojmowanej tradycji, podsycanie niechęci do obcych – zwłaszcza gdy są wyznawcami innej religii niż dominujący w Indiach hinduizm. Plus specyficzny zwrot ku państwu socjalnemu, który najuboższym ma dawać poczucie, że czerpią korzyści z rozwoju kraju, ale jednocześnie nie zaszkodzi interesom zaprzyjaźnionych z władzą elit.

Dzięki temu Modi może dziś świętować ślub syna najbogatszego człowieka Indii i jednocześnie uchodzić za trybuna ludowego. Podróżować po świecie jako zwycięzca wyborów w największej demokracji świata i zarazem spełniać obietnice wyborcze, które godzą w prawa człowieka (to np. uchwalona niedawno ustawa, która praw do ubiegania się o indyjskie obywatelstwo pozbawia imigrantów wyznania islamskiego). Udawać przed elektoratem wyznawcę konserwatywnych wartości obyczajowych i jednocześnie przez dekady ukrywać przed opinią publiczną zawarte w młodości małżeństwo.

BRAMA EUROPY | Europejski tygrys, za jakiego uważa się Polska, z perspektywy subkontynentu indyjskiego jawi się co najwyżej jako kotek. Stąd też pełne rozczarowania komentarze części krajowych analityków, którzy po wizycie Modiego liczyli na szerokie otwarcie indyjskiego rynku dla polskich firm, a dostali figę z makiem.

To jednak dopiero początek. Indyjskie media po wizycie Modiego mówiły o nas dużo i dobrze, wprost zapraszając tamtejszy biznes do inwestycji nad Wisłą. Dla Indii Polska jest dziś – jak ujął to dziennik „The Hindu" – „bramą Europy": pierwszym krajem Unii na jej wschodniej flance. Uświadomienie sobie tego faktu będzie dla Polski równoznaczne z wytyczeniem nowej drogi do Indii. ©℗

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Religia w polityce

ARTUR SPORNIAK

POPEŁNIAJĄ DUŻY BŁĄD – KOMENTUJE W ROZMOWIE z „Tygodnikiem" prof. Andrzej Zoll, były prezes Trybunału Konstytucyjnego, odnosząc się w ten sposób do złożonej w Sądzie Najwyższym przez Kościół katolicki i Kościoły zrzeszone w Polskiej Radzie Ekumenicznej petycji dotyczącej szkolnych lekcji religii. Chodzi o rozporządzenie ministry Barbary Nowackiej w nowy sposób regulujące te lekcje. Obie petycje zawierają podobne zastrzeżenia oraz prośbę o wystąpienie z wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego o zbadanie zgodności trybu wydania rozporządzenia z innymi aktami prawnymi.

Do tej pory lekcje religii musiały być organizowane, gdy w danej klasie zgłosiło się przynajmniej siedmioro uczniów. Gdy chętnych było mniej, mogły być tworzone grupy międzyoddziałowe i międzyklasowe, a nawet międzyszkolne. Od nowego roku szkolnego grupy międzyoddziałowe i międzyklasowe mogą być organizowane nawet gdy chętnych jest więcej niż siedmioro. Będzie można łączyć klasy I-III, IV-VI i VII-VIII. Grupa nie będzie mogła jednak przekroczyć 25 dzieci przedszkolnych i 28 uczniów.

Kościoły chcą, żeby Trybunał Konstytucyjny sprawdził, czy zmiany zostały wprowadzone poprawnie legislacyjnie oraz czy zachowana została ochrona prawa pracy, prawa rodziców do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami, a także prawa dzieci i młodzieży do wychowania i opieki odpowiednich do wieku i osiągniętego rozwoju.

Rzeczywiście, dzięki rozporządzeniu dyrektorzy mają możliwość zmniejszenia liczby etatów dla nauczycieli religii, ci zatem mogą się poczuć nagle zagrożeni utratą pracy, a z kolei Kościół nie miał szans przygotować odpowiednich programów dla łączonych klas. Rozporządzenie ministry Nowackiej wprowadza i społeczny niepokój, i zamieszanie w oświacie.

Czy jednak petycja do prezes Sądu Najwyższego Małgorzaty Manowskiej, by uruchomiła w obronie religii w szkole Trybunał Julii Przyłębskiej, to dobry pomysł?

Obie panie w jawny sposób wspierają PiS, czyniąc z tych ważnych państwowych instytucji agendy polityczne. Taka sytuacja patowa doprowadziła m.in. do tego, że rząd ignoruje orzeczenia Trybunału, a chaos prawny w Polsce się pogłębia. – Kościoły nic na tym nie zyskają, a wprowadzając kwestię religii w szkole w sam środek tego politycznego tygla, tylko się przyczynią do pogłębienia chaosu – mówi prof. Zoll. – Obecny Trybunał nie jest przecież Trybunałem Konstytucyjnym. ©℗

Standardy lewicy

MAREK KĘSKRAWIEC

Mogłoby się wydawać, że po epoce rządów Zbigniewa Ziobry w Ministerstwie Sprawiedliwości nowe kierownictwo resortu będzie grupą ludzi dobranych według surowych kryteriów i dobrze sprawdzonych. I faktem jest, że wśród zastępców Adama Bodnara są osoby z doświadczeniem w sądach, adwokaturze, NIK czy też Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka – jednak już ludzie pochodzący z partyjnego klucza to inna historia.

Zostawmy na boku Arkadiusza Myrchę z KO, radcę prawnego z niewielkim doświadczeniem i przeciętnego posła; nie ma się go za co czepiać, zwłaszcza przy cyrku, jaki nam zapewniła Nowa Lewica, obsadzająca w ramach ustaleń koalicyjnych swoje stanowisko wiceministra. Formacja kierowana przez Włodzimierza Czarzastego i Roberta Biedronia jakby uparła się dawać paliwo mediom przychylnym PiS, które drwią dziś z poziomu osób oczyszczających rzekomo wymiar sprawiedliwości.

Najpierw Krzysztof Śmiszek, doświadczony prawnik i aktywista, prywatnie wieloletni partner europarlamentarzysty Biedronia, ledwie po pół roku pracy w resorcie znudził się sprzątaniem po Ziobrze (czym był wcześniej mocno podekscytowany) i zwiał do Brukseli. Rodzina i ciepła posada na „cmentarzysku politycznych słoni" okazały się dla niego ciekawszą perspektywą niż praca w Warszawie.

Na osłodę Nowa Lewica dała nam następcę Śmiszka, o którym ten ostatni na Instagramie napisał tak: „Mój przyjaciel Bartłomiej Ciążyński, z którym od lat walczymy o prawa człowieka w Polsce". Tenże przyjaciel, szef klubu radnych lewicy we Wrocławiu, poświęcił się dla Polski i zgodził się przyjść do ministerstwa, rezygnując z 40 tys. zł (brutto), jakie dostawał w Polskim Ośrodku Rozwoju Technologii. Fuchę w tej naukowej instytucji załatwił mu parę miesięcy wcześniej nominat pochodzącego również z lewicy ministra nauki Dariusza Wieczorka. Żeby przyjaciel Śmiszka mógł się cieszyć swą pensją, trzeba było zwolnić sporo ludzi, ale kto by się na lewicy maluczkimi przejmował.

Ciążyński nie jest już wiceministrem, bo na odchodnym z PORT pojechał na wakacje, płacąc za paliwo służbową kartą. Warto jednak zauważyć, jak nisko upadła lewica i jak słabe są koalicyjne kryteria doboru kadr, że w tak wrażliwym miejscu postawiono na cwaniaków, a nie na fachowców. ©℗

WOJCIECH OLKUŚNIK / EAST NEWS

Krzysztof Śmiszek i Bartłomiej Ciążyński (pośrodku) na Konwencji Nowej Lewicy. Warszawa, 7 sierpnia 2023 r.

Restytucja działa

PIOTR KOSIEWSKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zlikwidowało Departament Restytucji Dóbr Kultury? Tak, to prawda. Informacja wywołała ostre komentarze. Dopiero po kilku dniach wyjaśniono, że został on włączony w Departament Dziedzictwa Kulturowego, a ministra Hanna Wróblewska podkreśliła, że „Sprawy restytucji są bardzo wysoko na mojej agendzie". I dodała: „Nic się nie zmieniło, prowadzimy bardzo aktywną działalność restytucyjną".

Zamieszanie wokół Departamentu Restytucji Dóbr Kultury to kolejny przykład poważnego problemu, jaki ma MKiDN z informowaniem o swoich działaniach. Nie to jest jednak najważniejsze. Poprzedni minister Piotr Gliński rzeczywiście dużą wagę przykładał do restytucji dóbr kultury, czego symbolicznym podkreśleniem było powołanie odrębnego departamentu. Osiągnięciem ministerstwa za jego rządów było sprawniejsze odzyskiwanie przez Polskę dzieł utraconych podczas II wojny światowej. Ale najważniejsza była ustawa o restytucji narodowych dóbr kultury, która ograniczyła możliwości przedawnienia roszczeń w przypadku takich obiektów. Jej uchwalenie w 2017 r. ułatwiało m.in. ich odzyskiwanie w Polsce, z czym wcześniej były poważne problemy. Dlatego nie udało się zablokować sprzedaży na aukcji choćby „Główki dziecka" Stanisława Wyspiańskiego, chociaż dzieło pochodziło ze zbiorów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Sukcesy w odzyskiwaniu dóbr w latach 2015-2023 były możliwe jedynie dzięki pracy prowadzonej przez lata w ministerstwie i wspieranej przez poprzedników Piotra Glińskiego. A obecna zmiana to powrót do sytuacji sprzed reorganizacji dokonanej za jego czasów. MKiDN podkreśla także, że obecna zmiana nie wiązała się ze zwolnieniami, etc. – zachowanie ciągłości jest w przypadku tej problematyki szczególnie ważne.

Do sprawnego odzyskiwania dóbr kultury nie jest niezbędny odrębny departament, tylko sprawnie działający system.

Obecną zmianę warto wykorzystać do wzmocnienia zespołu zajmującego się w ministerstwie restytucją, lub też do stworzenia w jednym z podległych MKiDN instytutów poważnego zespołu, który zajmowałby się badaniami nad stratami, ich dokumentacją (w tym wydawaniem, zamiast ministerstwa, publikacji), monitoringiem rynku aukcyjnego i antykwarycznego oraz przygotowaniem wniosków restytucyjnych. Ministerstwo zaś – samą procedurą odzyskiwania utraconych dzieł. ©

NA PUNKTY

ROZLICZENIE
Prokuratura wydała nakaz aresztowania b. szefa Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych za czasów PiS. Zarzuca mu udział w zorganizowanej grupie przestępczej, przekroczenie uprawnień i niedopełnienie obowiązków w celu osiągnięcia korzyści majątkowej (chodzi o kontrakt na dostawę agregatów prądotwórczych dla Ukrainy, powierzony firmie produkującej tzw. odzież patriotyczną). Poszukiwany Michał K. wyjechał z kraju.

REFLEKSJA
„W tej chwili, w tym czasie wojennym, wydaje nam się, że kobieta nie miałaby wielkich szans" – powiedział w Radiu Maryja Jarosław Kaczyński o przyszłym kandydacie jego partii na prezydenta. „Musi być młody, wysoki, okazały, przystojny" – dodał. Jako swojego potencjalnego następcę w PiS wskazał za to Mariusza Błaszczaka.

REALIZM
À propos kobiet i szans: „Do następnych wyborów legalnej aborcji w Polsce nie będzie, nie ma się co oszukiwać" – powiedział Donald Tusk podczas spotkania w ramach Campus Polska, bo „w Sejmie polskim nie ma większości dla takiego prawa". ©℗

Wyścig wciąż wyrównany

MARTA ZDZIEBORSKA

Na konwencji Demokratów w Chicago Kamala Harris (na zdjęciu) przyjęła partyjną nominację w walce o Biały Dom. W swoim wystąpieniu dużo miejsca poświęciła amerykańskiej klasie średniej. Obiecywała, że skupi się na obniżeniu cen żywności, kosztów opieki zdrowotnej i wydatków związanych z wynajmem lub kupnem domu – wszystko to są kwestie, które mocno zajmują Amerykanów. Natomiast z punktu widzenia Polski z jej ust padła ważna obietnica podtrzymania wsparcia dla Ukrainy i dla NATO. Harris przedstawiała się przy tym jako kandydatka patrząca naprzód; takie było też hasło konwencji Demokratów: „Dla ludzi. Dla naszej przyszłości".

Tymczasem jednym z największych wyzwań dla jej kampanii jest dziś zdystansowanie się od – ciągnących jej notowania w dół – niektórych działań administracji Bidena, takich jak polityka bliskowschodnia. Przypomniały o tym trwające w trakcie konwencji protesty propalestyńskich aktywistów. Na ulicach Chicago domagali się oni zawieszenia broni w Gazie i embarga na dostawy broni dla Izraela.

Nerwowo było też na samej konwencji, na którą przyjechało 30 delegatów z tzw. ruchu niezaangażowanych – to ci, którzy w prawyborach głosowali przeciw Bidenowi ze względu na jego wsparcie dla Izraela. Gdy organizatorzy nie zgodzili się, by głos zabrał propalestyński mówca, delegaci ci zorganizowali protest. Stanowisko organizatorów konwencji mogłoby być tu bardziej konsekwentne – nie mieli obiekcji, by przemawiali na niej rodzice zakładnika więzionego przez Hamas.

Analitycy wskazują, że „miesiąc miodowy" Harris już się kończy, i że w mocno wyrównanym wyścigu musi ona odbudować koalicję Afroamerykanów, Latynosów i młodych wyborców, którzy poparli Bidena w 2020 r. Dodajmy, że kandydat niezależny Robert F. Kennedy Jr. właśnie zawiesił swoją kampanię i poparł Trumpa.

Harris potrzebuje też głosów umiarkowanych Republikanów. Do nich mówiła: „Obiecuję być prezydentką wszystkich Amerykanów. Możecie mi zaufać, że będę stawiać nasz kraj ponad partię i siebie". ©

Autorka jest dziennikarką „Press".

BRYNN ANDERSON / AP / EAST NEWS

Ukraina rozbraja rosyjską Cerkiew

WOJCIECH KONOŃCZUK

Wojna rosyjsko-ukraińska toczy się nie tylko na polu bitwy, ale też w sferze walki z wpływami Rosji na sferę społeczną i duchową Ukrainy. Jednym z ważnych narzędzi Kremla, dzięki któremu mógł on oddziaływać na Ukraińców, tradycyjnie była tu Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego – do niedawna największa struktura cerkiewna w kraju, w pełni podporządkowana Cerkwi rosyjskiej. Kijów od lat podejmował działania na rzecz demontażu jej wpływów. Kluczowe było tu utworzenie w 2018 r. autokefalicznej (niezależnej) Cerkwi Prawosławnej Ukrainy.

W ubiegłym tygodniu ukraiński parlament przegłosował zmiany prawne, które dają możliwość zdelegalizowania Cerkwi podległej Moskwie. W przypadku uznania, że jej kierownictwo faktycznie znajduje się w Rosji, Cerkiew ta będzie miała dziewięć miesięcy na zerwanie tej podległości (stąd przyjęte teraz prawo w pierwszym rzędzie służyć ma dyscyplinowaniu duchownych). Gdyby natomiast do tego nie doszło, państwo ukraińskie będzie mogło zwrócić się do sądu o jej delegalizację.

Ukraińskie dyskusje o zdelegalizowaniu Cerkwi podległej Moskwie trwają zresztą nie od dziś, lecz od początku rosyjskiej agresji. Część jej hierarchów wprost poparła działania Kremla, inni długo wyczekiwali z zabraniem głosu. Byli też tacy, którzy stanęli po stronie Ukrainy. W ciągu ostatniego dwóch i pół roku ukraińskie służby aresztowały ponad stu jej duchownych, oskarżając ich o zdradę na rzecz Rosji.

W swoich działaniach Kijów może liczyć na poparcie społeczeństwa – w sondażach dwie trzecie Ukraińców domaga się zakazu działalności Cerkwi podległej Moskwie. Już widać jednak, że będzie się ona bronić na forum międzynarodowym zarzutami o ograniczaniu wolności sumienia (w czym w ostatnią niedzielę wsparł ją papież Franciszek). Także dlatego droga do rzeczywistej delegalizacji wciąż pozostaje bardzo długa. ©

Czy sprawa Telegrama zmieni social media

PRAWO ▪ Po aresztowaniu we Francji Pawła Durowa, założyciela serwisu Telegram, w mediach społecznościowych wybuchła histeria, że to zamach na wolność słowa. Na najgłośniejszego jej obrońcę kreuje się Moskwa, oskarżająca rząd w Paryżu o zapędy totalitarne. W sieci błyskawicznie zaczęło krążyć zdjęcie pocisku z napisem „Dla Durowa", a jeden z najpopularniejszych prokremlowskich blogerów Borys Rożyn (na Telegramie ma 800 tys. subskrybentów) stwierdził, że „żyjemy w świecie, gdzie idee Orwella zatriumfowały".

Aresztowanie Durowa nie powinno być jednak zaskoczeniem, przynajmniej nie dla niego. Od miesięcy Durow unikał podróżowania po Europie, wiedząc, że francuscy śledczy wydali nakaz jego aresztowania. Prezes czwartej na świecie pod względem liczby użytkowników platformy społecznościowej odmawiał współpracy z organami ścigania w zwalczaniu pedofilii, handlu ludźmi, bronią i narkotykami.

Działający od 2013 r. serwis jest ważnym kanałem komunikacji szczególnie w krajach, gdzie nie ma dostępu do niezależnych wiadomości, a wymiana poglądów jest utrudniona. To obietnica, że wolność słowa na platformie Durowa nie będzie ograniczana, a dane użytkowników będą chronione, napędzała jej popularność – dziś Telegram ma ponad 900 mln użytkowników. Ale za sprawą braku reguł Telegram stał się rajem dla dezinformacji, ekstremizmów i dla przestępców.

Durow nie pierwszy raz ma problem z władzami państwowymi. 10 lat temu Moskwa zażądała, by zamknął profile opozycjonistów na założonym przez niego portalu VKontakte. Zamiast tego sprzedał udziały w firmie i wyjechał z Rosji, by poświęcić się budowaniu Telegrama (źle na tym nie wyszedł: „Forbes" szacuje jego majątek na 15 mld dolarów). Czy rzeczywiście platforma zapewnia anonimowość? Wiadomości nie są domyślnie szyfrowane, a serwis cenzurował treści (m.in. w Indonezji, gdzie usuwał profile związane z Państwem Islamskim, czy w Izraelu, gdzie blokował kanały Hamasu).

Po zatrzymaniu Durowa natychmiast pojawiły się spekulacje, że Francuzi wymuszą na nim oddanie „kluczy" do serwisu. Redaktorka naczelna anglojęzycznej Russia Today, Margarita Simonjan, wezwała użytkowników do usunięcia wrażliwych wiadomości; podobne zalecenie miał wydać żołnierzom rosyjski sztab generalny. Francji wydaje się chodzić tylko o współpracę w sprawie użytkowników, którzy dopuścili się przestępstw (śledztwem kieruje wydział policji zajmujący się przestępstwami wobec nieletnich).

Ta precedensowa sprawa może jednak zmienić działanie wszystkich platform społecznościowych w Europie. Państwa UE od lat żądały od nich moderowania treści i odcinania dostępu przestępcom i tzw. farmom trolli siejącym dezinformację. Bruksela wzmocniła te głosy, wdrażając dyrektywę o rynkach cyfrowych.

Tyle że prezesi platform nie bardzo się tym przejmowali. Nic dziwnego, że dziś Durowa broni Elon Musk, właściciel platformy X (dawny Twiiter), który pisze: „Europa w roku 2030: zostajesz stracony za polubienie mema". Tymczasem Francja właśnie pokazuje, że ani nie stracony, ani nie za mema, lecz że cyfrowy miliarder może trafić do aresztu po prostu za pozwolenie na rozpowszechnianie pornografii dziecięcej.

© AGATA KAŹMIERSKA, WOJCIECH BRZEZIŃSKI

ANDRIEJ DAVANKOV / TELEGRAM / / AFP / EAST NEWS

Protest przed ambasadą Francji w Moskwie przeciwko aresztowaniu Pawła Durowa. Uczestnicy wpinają w ogrodzenie papierowe samoloty, symbol platformy Telegram. Moskwa, 25 sierpnia 2024 r.

Zamach w Solingen wstrząsa Niemcami i ich polityką azylową

MIGRACJE ▪ Po ataku, którego sprawcą okazał się azylant z Syrii, niemieckie społeczeństwo i politycy dyskutują o jego okolicznościach i skutkach. Wśród partii rządzących wydaje się dominować bezradność, wśród obywateli zaś – narastający gniew.

W 160-tysięcznym Solingen miniony weekend miał upłynąć pod znakiem „Festiwalu Różnorodności": tak nazwano serię imprez, którymi to miasto na obrzeżach Zagłębia Ruhry chciało uczcić 650-lecie istnienia. Zamiast tego zapanowały szok, żałoba i – sądząc po reakcjach notowanych przez fora internetowe, np. dziennika „Die Welt" – także gniew.

Wieczorem 23 sierpnia stojący w tłumie na rynku 26-letni Syryjczyk Isa Al Hasan wyjął nóż i zaczął zadawać naokoło ciosy. Zabił trzy osoby i ranił ośmioro, po czym uciekł i ukrywał się przez dobę, aby następnie zgłosić się na policję i przyznać do zbrodni. Stwierdził, że działał w imieniu Państwa Islamskiego (IS). Na stronie internetowej powiązanej z IS ukazało się oświadczenie, iż Hasan istotnie jest ich „żołnierzem", a zamach to „zemsta za muzułmanów w Palestynie i innych miejscach".

Okoliczności ataku sprawiają, że wywołał on w społeczeństwie Niemiec wstrząs, jak chyba żaden inny z wcześniejszych zamachów; w dyskusji powszechnie kwestionowana jest dotychczasowa polityka imigracyjna. Media ustaliły, że wniosek azylowy Hasana, który przybył do Niemiec w 2022 r., został odrzucony w 2023 r. i miał on być deportowany do Bułgarii, pierwszego kraju UE, w którym go notowano. Ale urzędnicy podjęli tylko jedną próbę deportacji, a gdy Hasan jej uniknął, zaniechali dalszych. Syryjczyk został oficjalnie skierowany do schroniska w Solingen.

„Dziękujemy, Angelo Merkel. Dziękujemy, Partio Zielonych" – kartka tej treści pojawiła się wśród kwiatów na rynku w Solingen (Zieloni uchodzą za tych, którzy w koalicji rządowej najsilniej blokują zaostrzenie polityki migracyjnej). Lider opozycyjnej CDU Friedrich Merz zgłosił postulat, by Niemcy przestały przyjmować azylantów z Syrii i Afganistanu. Komentatorzy sądzą, że zamach wpłynie na wynik wyborów, które we wrześniu odbywają się w kilku landach wschodnich; sondaże pokazują, że bardzo dobre wyniki uzyskają w nich radykalne partie: prawicowa AfD i lewicowa BSW. ©℗ WOJCIECH PIĘCIAK

Msza i aperol – dwa w jednym

MAURO FLAMINI / GETTY IMAGES I MATERIAŁY PRASOWE

Kościół św. Dominika w Urbino.
Z prawej kontrowersyjny plakat zapraszający na mszę.

WŁOCHY ▪ Kościół św. Dominika w Urbino świecił pustkami nawet w niedziele. XIV-wieczna, podominikańska świątynia położona jest w historycznym centrum, dziś zamieszkałym niemal wyłącznie przez turystów i studentów. W miasteczku liczącym niespełna 14 tys. dusz znajduje się 16 kościołów, z których połowa już jest nieczynna. Są też trzy szkoły wyższe, w tym Uniwersytet Carlo Bo, jeden z najstarszych we Włoszech (1506 r.).

Kościołowi św. Dominika zamknięcie nie grozi – ma status parafii akademickiej. Ale proboszcz, o. Andrea Ricatti, musi się bardzo starać, żeby zachęcić młodych parafian do niedzielnej mszy. Jego najnowszy pomysł nie wszystkim jednak przypadł do gustu.

Tydzień temu na drzwiach świątyni pojawiło się ogłoszenie: „Dwa w jednym – msza i apericena". Drugie słowo oznacza towarzyskie spotkanie przy aperitifie i przekąskach, coraz modniejsze i wypierające tradycyjną włoską kolację. Na plakacie znalazły się też dwa zdjęcia – mszalnego kielicha i kieliszka z aperolem – oraz dopisek: „Po mszy o 19.15 apericena i spritz dla wszystkich".

Fotografia plakatu szybko obiegła internet. Skargi oburzonych wiernych dotarły do biskupa, który poprosił duszpasterza, by zmienił formę zaproszenia, nie rezygnując z samej inicjatywy.

Przed ostatnią niedzielą z ogłoszenia zniknęło hasło główne i zdjęcia, a informację o apericenie podano na końcu.

– Postanowiliśmy uwzględnić wrażliwość innych osób – mówi „Tygodnikowi" o. Ricatti, dodając, że do pomysłu nadal jest przekonany i ma wsparcie biskupa, który rozumie, że trzeba szukać nowych sposobów przyciągania ludzi do Kościoła.

Przyznaje, że frekwencja się poprawiła (według doniesień medialnych na wieczorną mszę w parafii św. Dominika przychodzi teraz ponad sto osób – dwa razy więcej niż wcześniej), ale nie sądzi, by powodem był aperol.

– Myślę, że młodzi ludzie docenili zaproszenie na rozmowę, spotkanie i braterską wspólnotę – tłumaczy. – Na pewno nie przychodzą tu z powodu drinka.

Zwłaszcza że – jak dodaje – podawany jest wyłącznie aperol bezalkoholowy.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

Grudka żelu nauczyła się grać w „Ponga"

TINXI / SHUTTERSTOCK

Gra „Pong".
Games Week 2014 w Mediolanie.

KOMPUTERY ▪ Drobna porcja wodnistej materii podłączona do komputera nauczyła się grać w grę. Hm. Co właściwie zaszło i „komu to potrzebne"?

„Pong" z 1972 r. to jedna z najprostszych możliwych gier elektronicznych: dwóch graczy odbija piłkę, ruszając paletkami w górę i w dół. Ta minimalna wersja ping-ponga to popularne poletko dla badaczy prostych form inteligencji. W 2021 r. w pongopodobną grę nauczyły się grać cztery świnie, a w 2022 r. zdolność tę wytrenowano w niewielkiej porcji mysich neuronów. Aby grać w „Ponga", wystarczy wodzić paletką za piłką.

Tym razem „mózgiem" całej operacji stał się płaski placek żelu poliakrylamidowego. Pod tą nazwą kryje się miękki, świetnie chłonący wodę żel, stosowany w przemyśle do pochłaniania wilgoci i w tych małych zabawkach za dwa złote, które po polaniu wodą zmieniają się z małego dinozaura w nieco większego dinozaura, rozczarowując rocznie tysiące bąbelków. Co istotne, gdy do żelu takiego przyłoży się odpowiednio dobrane napięcie, nieznacznie zmienia on swoją strukturę wewnętrzną, przez co później inaczej reaguje na kolejny impuls. Krótko mówiąc, można go „uczyć" prądem, aby nieco inaczej reagował na prąd.

Na tym oparła swój eksperyment grupa badaczy z brytyjskiego University of Reading. Żel z jednej strony dostawał zakodowaną w impulsach elektrycznych informację o położeniu piłki, a wychodzące z drugiej strony sygnały „podpięto" pod kontroler paletki. Efekt nie był spektakularny: żelowy „komputer" grał raczej kiepsko, a po godzinie żel się ścinał i przestawał reagować. Co najistotniejsze, wykazywał jednak postęp. Grał coraz lepiej. *Ergo*, uczył się.

To dlatego o tym piszemy. Uczenie się maszyn to dziś temat najgorętszy. Z jednej strony nie ustają starania, by jak najlepiej uczyły się komputery tradycyjne, czyli wydrukowane na krzemowym wafelku. Ale trwa też wyścig o odkrycie układów, które również potrafią się uczyć, jednak zbudowane są z materii miękkiej, wodnistej, reagującej na związki chemiczne... a więc nieco bardziej podobnej do tkanki mózgowej. Gdy już minie boom na produkty typu ChatGPT, na nowo zacznie się rozmowa o ograniczeniach sztucznej inteligencji i pytania o coś „zupełnie nowego". Może tym czymś będzie miękki *hardware*?

© ŁUKASZ LAMŻA

TEMAT TYGODNIKA

SZKOŁA ZARZĄDZANIA NASTROJAMI

„Anty-Czarnek" – mówią o niej ci, dla których najważniejsze było pożegnanie z poprzednią edukacyjną władzą. „Czarnek, tylko z uśmiechem" – dodają tacy, którzy po ośmiu miesiącach nowych rządów w MEN nie widzą jakościowej zmiany.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Dlaczego Barbara Nowacka została ministrą? – pytam dobrze zorientowanego w koalicyjnych układankach polityka KO. Pytanie jest zasadne: wśród polityczek obozu rządzącego jest kilka lepiej znających się na edukacji.

– Bo chciała – słyszę odpowiedź. Jej lapidarna jednoznaczność wiele mówi o pozycji nowej szefowej MEN.

– Wśród kobiet w Koalicji Obywatelskiej jest najmocniejsza – kontynuuje polityk. – Owszem, jest jeszcze marszałkini Senatu Małgorzata Kidawa-Błońska, czyli formalnie trzecia osoba w państwie, ale Barbara ma w tej chwili największe „noszenie", co zawdzięcza m.in. dobrym relacjom z premierem. Objęła ministerstwo, które stało się prestiżowe, i to nie tylko dzięki podwyżkom dla nauczycieli, ale też za sprawą rozgłosu wokół poprzedniego ministra, Przemysława Czarnka, po którym przyszło jej sprzątać.

Dariusz Joński, kolega z Inicjatywy Polskiej będącej częścią KO, od dekady blisko Nowackiej: – Jest bardzo dobrą ministrą, która zbudowała wokół siebie świetny i kompetentny team.

Paweł Lęcki, polonista: – Wpisuje się w linię ministrów niekompetentnych. Nie dlatego, że słabo zna się na edukacji. Anna Zalewska i Dariusz Piontkowski byli nauczycielami. I co z tego? Chodzi o otwartość na refleksję, o wiedzę, co się chce zrobić ze szkołą.

Wpływowy ekspert edukacyjny: – Inteligentna polityczka, fatalna ministra. Z Nowacką i Tuskiem jest jak kiedyś z trenerem reprezentacji Polski w piłce nożnej Leo Beenhakkerem i bramkarzem Arturem Borucem, który w jednym z meczów wpuścił kompromitującą bramkę. „To moja wina, a nie jego, bo to ja go wystawiłem" – powiedział po meczu trener.

„Wystarczy spojrzeć", czyli wymarzony początek

Scena pierwsza: 13 grudnia ubiegłego roku, sejmowa mównica, a na niej Donald Tusk. „Wystarczy chyba zamknąć na chwilę oczy i przypomnieć sobie" – mówi do posłów Tusk i faktycznie na kilka sekund teatralnie zamyka oczy. „Pan minister Czarnek, pani minister Nowacka. I chyba wszystko jasne, prawda?" – dodaje po chwili przy aplauzie braw i śmiechów. Kamery wychwytują rozpromienioną twarz nowej ministry, a także stężałe oblicze odchodzącego szefa resortu edukacji i nauki (w nowym rozdaniu rozbitego na dwa osobne ministerstwa).

Tak oto Nowacka dostaje, przynajmniej pozornie, posadę-samograj: wy-

KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI / FORUM

Ministra edukacji Barbara Nowacka na uroczystości pożegnania absolwentów VI Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Reytana w Warszawie. 25 kwietnia 2024 r.

starczy nie być Czarnkiem. Czytaj: powstrzymać się od obsesyjnych wtrętów ideologicznych; w kuratoriach postawić na sprawnych urzędników, a nie politycznych wojowników; w komunikatach do nauczycieli unikać arogancji. I to jej od początku wychodzi.

– Inna bajka – ocenia Urszula Woźniak, wiceprezeska Związku Nauczycielstwa Polskiego. – Czarnek bywał labilny. Potrafił być spokojny i wtedy nic go nie wyprowadzało z równowagi, by innego dnia wybuchać i krzyczeć. Barbara Nowacka jest spokojna, zrównoważona, a do tego słucha, więc na kolejnym spotkaniu pamięta, co się jej powiedziało. A to ważna cecha.

Jeśli coś Czarnka z Nowacką w ogóle łączy, to *background* w chwili obejmowania stanowiska. Oboje mieli związki ze szkolnictwem wyższym. On: prawnik, był wykładowcą m.in. na KUL; ona: informatyczka, była kanclerką Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych. Żadne nie zajmowało się wcześniej przedszkolami ani szkołami.

– Czarnkowi zdarzyło się pomylić przedszkole z nauczaniem wczesnoszkolnym – wspomina Woźniak. – Nowacka też nie znała się na edukacji, ale myślę, że szybko się jej uczy.

Gdyby decydowały kompetencje, ministrą by nie została. Do tej posady aspirowała ponoć i Agnieszka Dziemianowicz-Bąk (pedagożka i filozofka, obecnie ministra rodziny), i Krystyna Szumilas (była nauczycielka, była ministra edukacji), i Katarzyna Lubnauer (w poprzedniej kadencji wraz z Szumilas tropiła Czarnkową „Willę plus", teraz wiceministra w MEN). Posadę dostała Nowacka – dzięki polityce. Skąd do niej przyszła?

W latach 90. działa w Federacji na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Jej pierwsze ugrupowanie to Unia Pracy. W 2014 r. wstępuje do Twojego Ruchu Janusza Palikota, rok później – w obliczu ryzyka katastrofy po tej stronie sceny politycznej – złożona m.in. z TR i SLD Zjednoczona Lewica sięga po nią jako liderkę.

– Miller i Palikot postawili na Barbarę kilka tygodni przed wyborami, gdy sondaże pikowały do ok. 5-6 procent, a potrzebne było 8 – wspomina Dariusz Joński. – Było za późno na „nowe otwarcie", ale choć Lewica do Sejmu nie weszła, Basi udało się wywindować wynik do ponad 7 proc. Była zdeterminowana, pracowita. Potrafiła przyjechać na spotkanie dla kilkunastu osób, nie stawiała warunków. A proszę mi wierzyć, że politycy pod tym względem różnie się zachowują.

↦

Po klęsce lewicy w 2015 r. razem z Jońskim zakładają Stowarzyszenie Inicjatywa Polska, którego flagowym dziełem będzie projekt „Ratujmy kobiety" – mający m.in. zalegalizować aborcję do 12. tygodnia ciąży. W Sejmie projekt przepadnie, ale Nowacka – w parlamencie pozbawionym lewicy – przedstawia na początku 2018 r. jego założenia.

– Istniały inne ugrupowania lewicowe, ale to nasze stowarzyszenie próbowało zrobić coś dla kobiet – uważa Joński. – I to Barbara była twarzą tych działań.

Przed wyborami samorządowymi Inicjatywa przystępuje do KO – ku oburzeniu byłych już towarzyszy („Jak się nie ma twarzy, to się nie ma logo" – mówił np. o Nowackiej Włodzimierz Czarzasty). Wkrótce Inicjatywa przekształca się w partię i – w ramach KO – startuje w wyborach parlamentarnych 2019 r., a Nowacka bierze jeden z dwóch sejmowych mandatów IP. Także jako posłanka będzie jedną z twarzy protestu kobiet – podczas manifestacji w listopadzie 2020 r. policja potraktuje ją gazem.

Według Jońskiego pomimo wejścia na całego w politykę, Nowacka nie ma w sobie wiele z typowego polskiego działacza.

– Nie jest postrzegana jako ktoś twardy i bezwzględny – uważa polityk. – Może dlatego, że łatwo skraca dystans. A może z tego powodu, że nigdy nie walczyła specjalnie o partyjne funkcje. Jest przy tym autentyczna i wiarygodna.

– Z „wiarygodnością" pewnie niektórzy by polemizowali, uznając, że położyła idee na ołtarzu skuteczności – wtrącam.

– Pamiętam rozmowę z Barbarą z czasów, gdy jako stowarzyszenie zbieraliśmy podpisy pod projektem „Ratujmy kobiety" – odpowiada Joński. – „Darek, jak je zbierzemy, to już nikt nam nie powie, że sprzedaliśmy ideały", powiedziała. I miała rację. Myśmy wtedy mieli tylko stowarzyszenie, a pragmatyczną decyzję, by iść do wyborów z KO, podjęliśmy później. Zresztą gdyby nie to, Barbara nie byłaby dziś ministrą edukacji.

Jako szefowa MEN musi powściągać swoje ideowe ambicje. Jej *idée fixe*, świecka szkoła, to w koalicji z PSL marzenie ściętej głowy. I to nie tylko w wersji maksimum, czyli przeniesienia religii do parafii, czego jest zwolenniczką. Na razie nie wyszło też nic z obietnicy, że katecheza będzie się odbywać tylko na początku i na końcu dnia. Co jej wyszło?

> Wrzawa wokół okrajania podstaw pokazuje, że MEN po Czarnku to samograj pozorny: o wizerunkową wywrotkę łatwo, podobnie nietrudno o krytykę w oświatowym środowisku.

Od września ocena z religii nie będzie się wliczać do średniej na świadectwach. A za rok MEN planuje zmniejszyć pulę szkolnej katechezy z dwóch godzin tygodniowo do jednej.

Niewiele? Wystarczająco, by rozsierdzić niektórych biskupów. I by odgrywać rolę polityczki walczącej z kościelnymi wpływami. „Ósme przykazanie mówi: nie mów fałszywego świadectwa" – grzmi na przykład Nowacka do hierarchów, gdy ci twierdzą, że MEN nie konsultował z episkopatem nowych zasad organizacji lekcji religii (chodzi o możliwość łączenia klas).

Ale i tak pierwszą część jej kadencji w MEN naznaczą działania światopoglądowo neutralne. Co nie znaczy, że mało kontrowersyjne.

„Tego problemu więcej nie będzie", czyli polityka wiecowa

Scena druga: sierpień 2023 r., wiec przedwyborczy Tuska. Do mikrofonu przedziera się poważny, na oko jedenasto-, dwunastoletni okularnik w zielonym T-shircie. „To jest problem ogólnie polskich szkół, że są łamane prawa dziecka. Np. prawo do odpoczynku. Zadawanie na weekend, sprawdziany na poniedziałek" – mówi Maciej przy aplauzie braw. Tusk najpierw chwali chłopaka za występ, a później zaprasza go na miejsce, z którego przemawia. Tu Maciej załatwia sobie selfie z premierem.

Jak się okaże, załatwi dużo więcej.

– W MEN zamówiono ekspertyzę, w jakich krajach obowiązują zadania domowe, a w jakich nie, i jakie są tego efekty – mówi edukacyjny ekspert bliski kręgom MEN. – Barbara Nowacka i jej zastępczynie chciały mieć merytoryczną podkładkę, tyle że z analizy nie wyszło

nic wiążącego. Ale nowe prawo i tak weszło w życie.

W marcu roku kolejnego premier nagrywa internetową rolkę, w której rejestruje wizytę Maćka w kancelarii rady ministrów („Zarządzam przerwę od zadań domowych na zawsze" – mówi chłopak przy biurku premiera). Zgodnie z nowym prawem prace domowe zostają zlikwidowane w klasach 1-3, a ograniczone w 4-8.

Eksperci przyznawali co prawda od początku, że słuszna była diagnoza – przemęczenie uczniów na niektórych etapach nauki. Ale też dodawali: kuracja jest fatalna. Na dodatek w roli promujących ją osób występowały celebrytki, a nie ludzie naprawdę znający się na szkole. „Marzylibyśmy wraz z wnukiem, by decydenci rozumieli, że o edukacji nie należy rozstrzygać podczas wiecu, nieważne, czy będzie to meeting przedwyborczy Donalda Tuska, czy dziwoląg prawny, nazwany prekonsultacjami. Reformowanie systemu edukacji, niezależnie od skali, jest pracą dla ekspertów" – powie np. w czasie majowego wysłuchania publicznego dot. podstaw programowych Jarosław Pytlak, dyrektor SP24 STO na warszawskim Bemowie i znany bloger edukacyjny (cytat za tekstem „Ja w imieniu wnuka", edunews.pl).

Ale największe gromy w związku z wyrugowaniem zadań spadają na MEN

ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Barbara Nowacka na Posiedzeniu Rady Ministrów. Warszawa, 19 marca 2024 r.

z innego powodu. Prof. Bogusław Śliwerski, znany pedagog i również bloger, który tworzy w czerwcu publicystyczne świadectwo ukończenia roku przez Nowacką (a w zasadzie nieukończenia, bo odmówi ministrze promocji), wystawia jej ocenę niedostateczną „za totalną degradację autonomii nauczyciela w procesie dydaktycznym. Czegoś takiego nie było nawet w PRL".

– To pierwsze tego rodzaju działanie w historii MEN w III RP – zgadza się z diagnozą Śliwerskiego Anna Schmidt-Fic, nauczycielka matematyki i współtwórczyni ruchów „Protest z Wykrzyknikiem" oraz „Wolna Szkoła". – Nikt nigdy tak ostentacyjnie nie wkroczył na teren autonomii nauczyciela. Nie poważyli się na to ani Zalewska, ani Czarnek. To jest klasyczny przykład politycznego sterowania edukacją. A dodajmy, że nowa władza zrobiła to, mając autonomię pedagogów na sztandarach.

– Nie zadawałem prac domowych, zanim stało się to modne – mówi z kolei Paweł Lęcki, do końca sierpnia polonista w jednym z trójmiejskich liceów. – Ale widzę tu jedno niepokojące zjawisko: gdy Czarnek coś próbował nam dekretować, jakoś ograniczać naszą autonomię, to staliśmy na ulicy i krzyczeliśmy: „Precz z edukacyjnym totalitaryzmem!". A jak Nowacka robi to samo, to już nie krzyczymy.

„Piątka z przodu", czyli więcej pieniędzy, mniej ideologii i materiału

Scena trzecia: 15 grudnia 2023 r., Małopolska. Przed mikrofonem Barbara Nowacka, od dwóch dni ministra edukacji, wokół dziewięcioro małopolskich parlamentarzystów KO. Nastrój podniosły i radosny, uczestnicy wymieniają porozumiewawcze uśmiechy. „Małopolska jest w tym biczu ukręconym na dyrektorki, dyrektorów, nauczycieli i nauczycielki oraz młode osoby uczęszczające do szkół absolutnie symboliczna. Dlatego ze świeżo powołanym panem wojewodą dzisiaj mamy przyjemność poinformować (...), że czarny czas dla edukacji, średniowiecze, które wam próbowano zaprowadzić w Małopolsce w postaci pani kurator Nowak właśnie się skończyło" – mówi Nowacka.

Za ten ruch będzie szeroko chwalona. Choć z większymi lub mniejszymi „ale". Wspomniany prof. Śliwerski wystawi nowej minister „1" także na tym odcinku, przypominając, że „w okresie przedwyborczym obiecywano decentralizację i odpartyjnienie terenowych struktur władzy, likwidację kuratoriów".

– Niewątpliwie wraz z przyjściem ministry Nowackiej nastąpił koniec czasu niechęci, nienawiści i terroru w stosunku do nauczycieli – mówi Paweł Lęcki, choć i on dodaje swoje „ale": – Już za nowej władzy zapowiedziano kontrole w szkołach, w których słabo wyszedł egzamin ósmoklasisty. A kujawsko-pomorski kurator oświaty chce się zabrać za nauczycieli, którzy w mediach społecznościowych zamieszczają polityczne komentarze. Tak się składa, że jako czynny nauczyciel robiłem to, oczywiście krytycznie, przez wiele lat rządów PiS. Rozumiem, że wedle nowego kuratora było to niedopuszczalne?

Podobny ton – zasadniczo przychylny, ale z ważnymi zastrzeżeniami – będzie towarzyszył innemu głośnemu przedsięwzięciu nowego kierownictwa MEN: okrajaniu podstaw programowych. Tu zresztą również na ogólnej ocenie zaważą wizerunkowe kiksy.

Najpierw na początku stycznia „Tygodnik" – potwierdzając przypuszczenia „Protestu z Wykrzyknikiem" – donosi, że zespołem okrajającym podstawy programowe z języka polskiego kieruje Wioletta Kozak, szara eminencja pisowskiej reformy oświaty, która za poprzedniej władzy przyczyniła się do rozszerzenia tych samych podstaw. Rusza też fala krytyki dotycząca cięć na liście lektur: poloniści krytykują a to zbyt ostrożną skalę redukcji, a to decyzje dotyczące konkretnych pozycji.

– Wokół matematyki była generalnie cisza, choć tutaj cięcia były jeszcze ostrożniejsze – uważa matematyczka Anna Schmidt-Fic. – Okrojono nie, jak zapowiadano, 20 procent materiału, ale znacząco mniej. Nie wyrzucono żadnego z działów, choć uczniowie w moim przekonaniu wyszliby bez większego szwanku przy rezygnacji z np. dość trudnych dla nich wielomianów. Generalnie trzeba jednak docenić, że nowa ekipa MEN zmniejszyła nieco obciążenie materiałem w polskich szkołach.

Wrzawa wokół okrajania podstaw pokazuje, że MEN po Czarnku to samograj pozorny: o wizerunkową wywrotkę łatwo, podobnie nietrudno o krytykę w oświatowym środowisku, które dość szybko porzuciło sentymenty.

Jak krytykę znosi Nowacka? Według niektórych polityków samej KO, bardzo źle. Potwierdza to cytowany już ekspert bliski kręgom MEN: – Krytyka procesu okrajania podstaw mocno zabolała i Nowacką, i Lubnauer.

Jeśli tak, to nowe kierownictwo MEN miało prawo być nawet bardziej zaskoczone reakcjami na podwyżki dla nauczycieli – bezprecedensowo wysokie, bo co najmniej 30-procentowe. Ale też wywindowane z tak niskiego pułapu, że przez część nauczycieli przyjęte zostały bardziej jako należna od lat waloryzacja, a mniej jako prezent.

– Była znacząca, ale błagam: nasz status materialny nie wzrósł od tego kosmicznie – mówi Paweł Lęcki. – Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem na koncie piątkę z przodu. Zaznaczam: razem z dodatkiem motywacyjnym, dodatkiem za wysługę lat i innymi. Czy po dwudziestu latach pracy piątka z przodu to jest jakieś wielkie wydarzenie?

– Ta podwyżka urealniła nasze zarobki, ale dzięki niej nie osiągnęły one nawet poziomu z 2012 roku – mówi z kolei Urszula Woźniak z ZNP. – Czulibyśmy się bezpieczni, gdyby rząd przypomniał sobie o naszej inicjatywie obywatelskiej, ↦

↦ czyli projekcie wiążącym nauczycielskie pensje z poziomem średniej krajowej. Ta ustawa przeleżała 2,5 roku w poprzednim Sejmie, a 25 stycznia, czyli już w nowej kadencji, odbyło się pierwsze czytanie. Mamy sierpień, lecz nie dzieje się nic.

Na postrzeganie podwyżek mogły też wpłynąć słowa samej Nowackiej. Ta w publicznych wypowiedziach zdążyła już odtrąbić zahamowanie fali odpływu nauczycieli z zawodu, choć skala wakatów dziś i rok temu jest z grubsza podobna.

– To jedna z tych sytuacji, w których Barbara Nowacka „mówi Czarnkiem", uspokajając, że kadrowe braki w sierpniu to tylko „okienko transferowe". Czy na pewno tego chcieliśmy: ministry mówiącej mniej więcej to samo, tylko częściej się uśmiechającej? – pyta Paweł Lęcki, który po dwóch dekadach pracy w szkole publicznej ogłosił, że z niej odchodzi.

– Ty, zagorzały krytyk poprzedniej władzy, odchodzisz z publicznej szkoły, gdy tej władzy już nie ma. Dlaczego? – pytam Lęckiego.

– Zawsze, nawet w trakcie strajku nauczycieli, w którym chodziło przecież o pieniądze, zaznaczałem, że nie one są najważniejsze – odpowiada trójmiejski polonista.

– A co jest najważniejsze?

– Sens. Uciekam od bezsensowności działań, na które nowa władza nie ma odpowiedzi. Funkcjonowanie w systemie szkoły publicznej stawało się dla mnie nie do zniesienia.

– Na czym ten bezsens polega?

– Na tym, że polska szkoła jest od lat fabryką słupków egzaminacyjnych. A zatem niezależnie od pięknych i mądrych działań, jakie można podejmować, i wielu nauczycieli je podejmuje, tak czy inaczej spotkamy się na koszmarnych egzaminach z niemiarodajnymi, fałszywymi wynikami. W dodatku w systemie, w którym wszystko się wokół wyników tych egzaminów kręci, i wszyscy – dyrektorzy, nauczyciele, uczniowie – są z nich rozliczani. I w systemie, w którym chodzi już tylko o rankingi, testy i centyle, a nie o rozwój człowieka. Teraz przynajmniej możemy gdybać, co się zmieni po odwołaniu Marcin Smolika z funkcji dyrektora Centralnej Komisji Egzaminacyjnej. To w zasadzie jedyna naprawdę bardzo dobra decyzja ministry.

Inni eksperci do niektórych decyzji kadrowych i podwyżek dodają jeszcze jeden plus: wzięcie – po dwóch latach obojętności polskiego państwa – odpowiedzialności za wszystkie ukraińskie dzieci w wieku szkolnym przebywające po lutym 2022 r. w Polsce. Dopiero od tego roku szkolnego będą one objęte – realnym, a nie jak wcześniej prawnie martwym – obowiązkiem szkolnym.

Gdyby decydowały kompetencje, Nowacka ministrą by nie została. Posadę dostała dzięki polityce. Skąd do niej przyszła?

„W dwa lata się nie da", czyli kwestia wizji

Scena czwarta: maj, Centrum Nauki Kopernik. Znowu Barbara Nowacka – tym razem wśród garstki ekspertów edukacyjnych. W czasie organizowanego przez Fundację Stocznia obywatelskiego wysłuchania publicznego na temat podstaw programowych z języka polskiego tłumaczy sugestywnie przez 3,5 minuty (tyle ma każdy z dyskutantów), jaką ma wizję zmiany szkoły, i jak się do tego ma planowana przez MEN wielka reforma programowa.

To jednak scena wymyślona: nigdy nie miała miejsca. Na zorganizowanym naprawdę wysłuchaniu – w środowisku ekspertów wydarzeniu spektakularnym – stawił się tylko przedstawiciel podległego MEN Instytutu Badań Edukacyjnych. Anna Schmidt-Fic: – Poprzednie takie wysłuchanie było na początku rządów PiS, a jednym z gości była wiceminister Marzena Machałek. Nieobecność kierownictwa MEN w obecnym rozdaniu jest wyrazem lekceważenia. Podobnie jak brak komentarza do opisywanych przez media spraw, np. domniemanego mobbingu w CKE [sprawę opisaliśmy w „Tygodniku" w czerwcu – red.]. Myślę, że to zamierzona strategia. Nie reagujemy na niszowe sprawy, o których dyskutują eksperci, za to zabieramy głos tam, gdzie w grę wchodzi reakcja *vox populi*. To dlatego MEN relacjonował podpisywanie rozporządzenia w sprawie zadań domowych na TikToku, a zrezygnował z udziału w wysłuchaniu.

Ale nie powszechny dziś w polityce populizm wychodzi na pierwszy plan wśród krytycznych głosów na temat Barbary Nowackiej. Coraz mocniej wybrzmiewa pytanie: czy Nowacka ma jakiś odmienny od poprzednich ekip pomysł na polską szkołę? Czy faktycznie – jak zapowiadały partie dzisiejszej koalicji przed wyborami – przestawi ją z torów obsesyjnej rywalizacji na tryb nowoczesnego rozwoju? Rzeczywiście ją odpartyjni, tworząc obiecywaną Komisję Edukacji Narodowej, z niezależnymi od polityków ekspertami?

Na razie duża zmiana zapowiada się jedna: to anonsowana przez MEN na rok 2026 i kolejne kompleksowa reforma programowa. Lecz na razie nie wiadomo jednak, czego się po niej spodziewać, poza tym, że – w dość zgodnej opinii ekspertów – ciężko będzie ją domknąć.

Paweł Lęcki: – Nie wykluczam, że ona wiele zmieni, ale na pewno niczego sensownego nie da się zrobić w takim czasie, skoro w innych krajach podobne reformy wdraża się przez dekadę albo i więcej.

Anna Schmidt-Fic: – Mówimy o kompletnie nowym kształcie szkoły: o nowym „profilu absolwenta" [chodzi o zdefiniowanie, jakie umiejętności powinien mieć uczeń na różnych etapach edukacji – red.], o odejściu od XIX-wiecznego modelu edukacji, o jej przestawieniu z wiedzy na kompetencje. Takie rzeczy nie powstają w dwa lata. Na razie jestem więc ostrożna z oceną nowego MEN. Na pewno zmieniła się narracja – nowa ministra dowartościowuje nauczycieli nie tylko podwyżkami, ale też dobrym słowem. To jednak do lepszej szkoły na razie nas nie zbliża.

Czy Barbara Nowacka do tego zbliżenia się przyczyni, okaże się za kilka lat. Chyba że, jak ćwierkają wróble w KO, wcześniej pożegna się z posadą w MEN i zostanie szefową kancelarii prezydenta Polski Rafała Trzaskowskiego (znają się od dawna), o ile ten wystartuje w wyborach i je wygra. Albo Nowacka wyląduje na innej, wyżej eksponowanej funkcji.

Bo obecna szefowa MEN to przede wszystkim rasowa polityczka.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

PS. Z Barbarą Nowacką nie udało się porozmawiać. Pomimo starań od 24 lipca, rzecznik prasowy MEN wyznaczył pierwszy termin spotkania na czas już po ukończeniu tego tekstu.

Wybierz swoją prenumeratę

TYGODNIK POWSZECHNY

JAK ZAMÓWIĆ PRENUMERATĘ PAPIEROWĄ:

- przez internet na **TygodnikPowszechny.pl/sklep**
- wpłacając na konto: Tygodnik Powszechny
  ul. Dworska 1C/LU 3-4, 30-314 Kraków
  Nr konta Bank Pekao SA
  49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Pełna oferta na prenumeratę Tygodnika:
TygodnikPowszechny.pl/sklep

Masz pytania? Zadzwoń lub napisz!

W sprawie prenumeraty papierowej pomocy udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie zakupu prenumeraty papierowej przez internet pomocy udziela Mateusz Chmielowski w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 660 692 099 lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

RODZAJ PRENUMERATY PAPIEROWEJ	CENA Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	CENA Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
Kwartał – 12 wydań	160 zł	200 zł
Rok – 52 wydania	550 zł	680 zł
Rok – 52 wydania w ofercie POKOLENIA	480 zł	
4 Wydania Specjalne (kwartalniki)	100 zł	
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne	640 zł	770 zł
Rok – 52 wydania + Wydania Specjalne w ofercie POKOLENIA*	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów i posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Zuzanna Radzik, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Piotr Śmiłowicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Monika Ochędowska, Anita Piotrowska
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierowniczka), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (kierowniczka), Michał Kuźmiński, Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Promocja marki: Monika Lech
Marketing i sprzedaż: Anna Cieślak, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Michał Sowiński
Rozwój cyfrowy: Sławomir Bieniek, Mateusz Gawron, Lech Krupa, Joanna Pelka, Patryk Stanik (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Menedżer produktu WWW: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, kard. Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Piotr Wójcik
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039 redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416 reklama@TygodnikPowszechny.pl promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075 prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Krople deszczu

Inuici mają bardzo wiele słów na określenie śniegu – podejrzewam, że nie jestem jedyną osobą, której na dobre utkwił w pamięci ów koronny przykład potwierdzający determinizm językowy. Zwolenników teorii, wedle której ludzie posługujący się innymi językami w odmienny sposób widzą świat, jest obecnie zdecydowanie mniej niż w ubiegłym stuleciu. Także bliższe zbadanie języków eskimo-aleuckich nie wykazało nadzwyczajnej mnogości śnieżnych rdzeni. Nie wylewajmy jednak dziecka z kąpielą: związek pomiędzy używanym przez nas językiem a naszym sposobem postrzegania rzeczywistości istnieje.

Wiedzę o cyklicznych wylewach Nilu i egipskim systemie irygacyjnym wpajano nam jeszcze w podstawówce. „Gdyż ziemia, do której idziesz, aby ją zdobyć nie jest jako ziemia Micraim, z którejście wyszli, gdzie posiawszy nasienie swoje, polewałeś je przy pomocy nóg twoich, jako ogród warzywny" (Pwt 11, 10; Cylkow). Ziemia Obiecana „od deszczu nieba napawa się wodą" (kolejny wers). Opady atmosferyczne są nieodzowne dla przetrwania większości społeczności agrarnych, nic więc dziwnego, że w języku starożytnych Izraelitów znajdziemy niejedno określenie na deszcz.

„Dam wtedy deszcz [hebr. *matar*] ziemi waszej w czasie swoim, wczesny [hebr. *jore*] i późny [hebr. *malkosz*]" (wers 14) – te dwa ostatnie wyrazy to przymiotniki jedynie po polsku. U proroka Zachariasza znajdujemy też nowe określenia: „Uproście dżdże [hebr. *matar*] u Wiekuistego w porze deszczu późnego [hebr. *malkosz*]. Wiekuisty to jest, który błyskawice [hebr. *chazizim*] tworzy, a który ulewy [hebr. *metar-geszem*] im użyczy, każdemu ziołu na polu" (Za 10, 1). *Geszem* to w języku post-biblijnym podstawowe słowo na deszcz, wcześniej używane rzadziej niż *matar* – najpopularniejsze w Biblii określenie opadu. *Metar* jest formą *matar*, zatem *metar-geszem* słusznie oddał nasz tłumacz jako ulewę. Natomiast chazizim to również silne deszcze. Na kolejne wyrazy natrafimy w psalmie: „Niech znijdzie jako deszcz [hebr. *matar*] na łąkę skoszoną; jako ulewa [hebr. *rewiwim*] nawodniająca [hebr. *zarzif*] ziemię" (Ps 72,6).

Jako pierwsze nasuwają mi się tu krople dżdżu, choć to po prostu nieco inny typ deszczu. Najważniejsze, by w porze deszczowej spadł w obfitości – i dokładnie to obiecuje Najwyższy, gdy będziemy przestrzegać Jego przykazań (zob. Pwt 11,13-14). ©

Małgorzata Kordowicz jest rabinką w warszawskiej Gminie Wyznaniowej Żydowskiej. Hebraistka, opublikowała m.in. polsko-hebrajski modlitewnik dla dzieci.

O. WACŁAW

Oszajca:
Jałowa religijność

W piątej modlitwie eucharystycznej prosimy Boga: „Umocnij swój Kościół Ciałem i Krwią swego Syna i odnów w nas swoje podobieństwo". To znaczy: abyśmy upodobnili się w myśleniu i działaniu do Chrystusa, gdyż jedynie On jest „doskonałym człowiekiem", wzorem chrześcijańskiego życia. Nie próbujmy upodobniać Jezusa do nas i nie wymagajmy, żeby postępował zgodnie z naszymi pobożnymi życzeniami.

A gdy Bóg jakoś nie spieszy się z zaspokajaniem naszych błagań, nie mnóżmy nabożnych praktyk. Jezus mówi: „Modląc się zaś, nie paplajcie jak poganie", którym się wydaje, że im dłużej i gorliwiej odprawiają obrzędy, tym prędzej zostaną wysłuchani. Przecież Jego i nasz Ojciec dobrze wie, czego potrzebujemy. Posłuchajmy Jakuba Apostoła: „Jeżeli ktoś się uważa za człowieka religijnego, a nie panuje nad swoim językiem, oszukuje samego siebie, a jego religijność jest jałowa".

Jakub radzi: „Wprowadzajcie słowo w czyn, a nie bądźcie jedynie słuchaczami, którzy oszukują samych siebie", gdyż: „człowiekiem religijnym i nieskazitelnie czystym przed Bogiem Ojcem jest ten, kto sierotom i wdowom przychodzi z pomocą w ich utrapieniu". Kto zabiega o skuteczną pomoc ludziom cierpiącym z jakiegokolwiek powodu. Takiego podejścia do świata Jakub nauczył się od Jezusa, obserwując go w różnych sytuacjach, od wesela w Kanie począwszy, na Golgocie skończywszy.

Przykład: dyskusja Jezusa z faryzeuszami o przestrzeganie rytualnej czystości, zredukowanie jej do formalnego obrzędu. Jezus zarzuca im, że czczą Boga tylko „wargami, ale ich serce jest daleko" od Niego. Idąc w ślady proroków Pierwszego Przymierza, Jezus mówi, że stało się tak, gdyż niektórzy odrzucili „przykazanie Boże" dla „ludzkiej tradycji". Mówi: „Zręcznie uchylacie przykazanie Boże, aby tworzyć własną tradycję". Może więc nadszedł czas, żeby zamiast słowa „faryzeizm" zacząć używać słów takich jak hipokryzja, dwulicowość, zakłamanie, przewrotność, gdyż to z „serca ludzkiego pochodzą złe myśli, rozpusta, kradzieże, zabójstwa, cudzołóstwa, chciwość, przewrotność, podstęp, wyuzdanie, zawiść, bluźnierstwo, pycha, głupota. Całe to zło wychodzi na zewnątrz i plami człowieka".

Choroba hipokryzji grozi zarówno religijnym i ateistom. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

Człowiek dążący do Boga nie pozwala się wślizgnąć złu do duszy i nic, co o nim się mówi, go nie porusza.

PRZYPISYWANE ANTONIEMU WIELKIEMU

Co ma człowiek pojąć, by wygasnąć i by ten świat go nie wiązał? Niech podetnie korzeń złudzenia, które mu mówi: „Tyś jest mędrzec”.

SUTTANIPATA

Wybrał PIOTR SIKORA

KARD. GRZEGORZ

Ryś: *Doskonałość*

W PONIEDZIAŁEK minionego tygodnia Liturgia uczyniła nas świadkami Jezusowego spotkania z bogatym młodzieńcem (Mt 19, 16-22). Pyta on, co dobrego ma czynić, by osiągnąć życie wieczne. Usłyszawszy, że ma zachowywać przykazania, zadaje jeszcze drugie pytanie: „Czego mi jeszcze brakuje?”. Z ust Jezusa pada odpowiedź: „Jeśli chcesz być doskonały, idź, sprzedaj, co posiadasz, i daj ubogim, a będziesz miał skarb w niebie. Potem przyjdź i chodź za Mną!”.

To uderzające: kiedy pytał o dobre postępowanie, Jezus odesłał go do przykazań – do norm: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa itd. Kiedy jednak pyta o doskonałość – Jezus kieruje jego uwagę nie na abstrakcyjne normy, lecz na relacje z konkretnymi osobami: wpierw z ubogimi, a potem z Nim samym (kolejność raczej nie przypadkowa?). Unikając spotkania z ubogimi, uciekam od doskonałości – nawet jeśli precyzyjnie przestrzegam przykazań. Doskonałość ukazuje się w relacjach, w byciu z innymi. Do tego też ostatecznie prowadzi posłuszeństwo Prawu Bożemu.

Jest jeszcze druga myśl wpisana w zalecenie Jezusa, aby ją jednak wydobyć, trzeba sięgnąć do tekstu greckiego. Otóż słowo „doskonały” oddane jest słowem *téleios*. *Téleios* to „doskonały”, ale najpierw znaczy „pełny”, „kompletny”; pochodzi od słowa *télos* – cel, dopełnienie, efekt. A więc „doskonałe” jest to, co jest „pełne”, „kompletne”, „całe”. Nie jest doskonałym to, co jest jedynie cząstkowe, połowiczne, niedopełnione, niedokończone. W Apokalipsie czytamy wyrzut Jezusowy skierowany do Kościoła w Sardes: „Nie znalazłem twych czynów doskonałymi”, w wielu nowych przekładach czytamy: „pełnymi” (Ap 3, 2).

W wersecie z Mateusza trudno nie wyczuć paradoksu: Jezus zachęca rozmówcę, by zrezygnował ze wszystkiego, co ma – by się wszystkiego wyzbył. Idź! Sprzedaj! Rozdaj! Jeśli posłucha, to nie uczyni go „pustym”, lecz „pełnym” – albo przynajmniej otworzy w nim przestrzeń, która naprawdę zostanie wypełniona. Nie pieniędzmi, nie posiadłościami, nie ziemią, lecz relacją miłości z Jezusem.

Czy człowieka może napełnić cokolwiek innego? Tak, aby już więcej nie pragnął? W tym sensie „doskonałość” jest nasyceniem, doświadczeniem pełni (spełnienia), a nie rezygnacji i wyrzeczenia. ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

CZYTANIA LITURGICZNE (1 – 8 IX)

22. niedziela zwykła: Pwt 4, 1-2. 6-8; Ps 15; Jk 1, 17-18. 21b-22. 27; Mk 7, 1-8a. 14-15. 21-23;
Poniedziałek: 1 Kor 2, 1-5; Ps 119; Łk 4, 16-30;
Wtorek: 1 Kor 2, 10b-16; Ps 145; Łk 4, 31-37;
Środa: 1 Kor 3, 1-9; Ps 33; Łk 4, 38-44;
Czwartek: 1 Kor 3, 18-23; Ps 24; Łk 5, 1-11;
Piątek: 1 Kor 4, 1-5; Ps 37; Łk 5, 33-39;
Sobota: 1 Kor 4, 6-15; Ps 145; Łk 6, 1-5;
23. niedziela zwykła: Iz 35, 4-7a; Ps 146; Jk 2, 1-5; Mk 7, 31-37.

KRAJ

NARODOWA TERAPIA

MICHAŁ BILEWICZ, PSYCHOLOG SPOŁECZNY:

Nie ograniczajmy naszej historii do dziejów bezradności i porozumień wrogich mocarstw. Nawet straumatyzowani potrafiliśmy być sprawczy.

JACEK SZYDŁOWSKI / FORUM

WOJCIECH BONOWICZ: 1 września kojarzy mi się z odgłosem nadlatujących samolotów i wybuchów bomb, a urodziłem się 22 lata po zakończeniu wojny. Akademie szkolne zawsze zaczynały się od takiego nagrania.

MICHAŁ BILEWICZ: W mojej szkole, z przełomu lat 80. i 90., wyglądało to podobnie. A jedna z młodszych ode mnie czytelniczek „Traumalandu" zastanawiała się podczas spotkania autorskiego, jaki wpływ miało na nią to, że dyrektor jej szkoły co roku zaczynał swoje wystąpienie od słów: „Drogie dzieci, tego dnia w 1939 roku tacy uczniowie jak wy również przyszli na rozpoczęcie swojego roku, ale zamiast dzwonka usłyszeli dźwięk bomb".

Ta inicjacja w traumatyczną historię Polski następuje na bardzo wczesnym etapie. Myślę teraz o moim dziecku, które w przedszkolu śpiewało pieśni legionowe. Czyli pieśni o czym?

O śmierci. I o tym, że ofiara jest konieczna.

To jest coś, co wyróżnia Polskę na tle Unii – silna świadomość traumy. Nie sądzę, żeby w przedszkolach w Holandii czy Norwegii dzieci śpiewały o wojnie.

Czas płynie, ustroje się zmieniają, a kolejne pokolenia wchodzą w tę samą opowieść. Pamiętam, że na tych akademiach deklamowałem „Bagnet na broń". Może dziś po Broniewskiego sięga się mniej chętnie...

...ale wezwanie „trzeba krwi" pozostało. Czy to będzie Broniewski, czy Rymkiewicz. Treścią polskiej tożsamości jest cierpienie kolejnych pokoleń i patriotyzm rozumiany jako ofiara z życia. Inne jej elementy – jak patriotyzm lokalny czy szacunek dla rodzimej przyrody – schodzą na dalszy plan.

Ostatnio politycy PSL-u coraz częściej mówią o konieczności edukacji patriotycznej, ale znów rozumieją ją w duchu wojenno-martyrologicznym. Ja nie neguję tego, że są sytuacje, w których trzeba krwi, ale jest też wiele takich, w których potrzeba czegoś innego. I akurat dzieciom warto opowiedzieć przede wszystkim o tych drugich.

Ten traumatyczny rdzeń tożsamości jest oczywiście ważny, a naród polski ma do niego prawo. Szczególnie w sytuacji, w której na świecie jego doświadczenie nie jest powszechnie uznawane. W książce piszę sporo o szczególnej nadwrażliwości Polaków, z jaką reagują na rozmaite opinie, niekoniecznie nawet ich dotyczące.

Słowo „uznanie" jest w tym kontekście kluczowe. Ono oznacza, że nie tylko poznało się czyjeś doświadczenia, ale też przyjęło je jako część własnego dziedzictwa. O to Polakom trudno się doprosić.

Na stronach „Bloomberga" ukazał się właśnie artykuł o wojnie w Gazie i o tym, jak trudna będzie jej odbudowa. Szacuje się, że w tej chwili są tam 42 miliony ton gruzu. I pewien historyk architektury, profesor Massachusetts Institute of Tech-

Warszawa, 1 sierpnia 2024 r.

nology, powiedział, że to sytuacja bez precedensu w historii świata. Gdy taką opinię czyta Polak, to sobie myśli: „Jak to bez precedensu?". W końcu w Warszawie po wojnie też pozostało ponad 40 milionów ton gruzu. Na Muranowie, gdzie rozmawiamy, nowe budynki zostały wzniesione dosłownie z ruin, z gruzobetonu, o czym ostatnio przypomniał Jacek Leociak. To był ogromny wysiłek tamtego pokolenia.

No więc czytając tę opinię, ja sobie właśnie pomyślałem, że on nie wie, o czym mówi. A nie wie dlatego, że przeszłość tej części świata jest globalnie nieuznawana. Owszem, są tacy historycy jak Timothy Snyder, który wiele zrobił dla zrozumienia historii Europy Środkowo-Wschodniej. Ale do uznania wciąż daleko.

A głód uznania jest ogromny.

W straumatyzowanych społeczeństwach on jest właściwie nienasycony. I prowadzi do zbiorowego narcyzmu, czyli takiej konstrukcji psychologicznej, która domaga się ciągłej uwagi, docenienia, uhonorowania bolesnej przeszłości. A w próbach upamiętniania podobnej historii innych narodów dostrzega cios wymierzony w historię własną.

Problem jest bardziej na zewnątrz Polski czy wewnątrz? Może świat przyjąłby naszą opowieść, tyle że my sami nie wiemy, co i jak chcielibyśmy opowiedzieć? Opowiadamy tę historię na kilka sposobów, niekiedy sprzecznych.

To, co jest najbardziej destruktywne w tej opowieści, to fakt, że zwracamy w niej uwagę niemal wyłącznie na historię bezradności: na to, że padaliśmy ofiarą porozumień wrogich mocarstw – od traktatów rozbiorowych po Jałtę. Koncentrujemy się na tym, że obcym nie można ufać, że są potencjalnymi zdrajcami ↦

↦ i wrogami. Znów: jest w tym trochę prawdy, ale przecież nie cała.

Pamiętajmy, że II wojna światowa to w przypadku polskich Żydów ok. 90 proc. strat w populacji, a w przypadku nieżydowskich Polaków – jakieś 10 proc. To ogromne liczby, a w dodatku wszystko stało się w ciągu bardzo krótkiego czasu. Od ludzi, którzy doświadczyli czegoś takiego, trudno oczekiwać, że ich ocena rzeczywistości geopolitycznej będzie wyważona. I to przechodzi na kolejne pokolenia.

Podczas pogrzebu pary prezydenckiej na Wawelu u stóp wzgórza stał mężczyzna z transparentem: „Polska znowu sama. Gdzie Sarkozy, Barroso, Obama?!”.

Robiliśmy wtedy badanie dotyczące reakcji Polaków na tę sytuację. Szybko powstały dwa obozy, które okopały się na swoich pozycjach: ci, którzy uważali, że doszło do zamachu, i ci, dla których to był nieszczęśliwy wypadek. Badania pokazały, że przynależność do tych obozów jest silnie związana z tym, jak kto interpretuje polską historię. Jeśli jest skoncentrowany na cierpieniach, podkreśla momenty, kiedy Polacy zostali opuszczeni, to prędzej uwierzy, że Smoleńsk to kolejna odsłona tego samego spisku.

A z drugiej strony, z punktu widzenia psychologii społecznej, działy się wtedy ciekawe rzeczy. Np. pojawiła się „lewica smoleńska” – młodzi ludzie ze środowisk lewicowych, którzy też byli przekonani, że to zamach. Zrozumiałem wtedy, jak wielkie jest ciążenie historii.

Co musiałoby się stać, żeby wojna skończyła się naprawdę – w ludzkich emocjach, zachowaniach?

Upływ czasu sprawia, że psychologiczny wpływ wojny zanika. Ale wiele zależy od tego, co zdarzy się zaraz po wojnie. A w Polsce mieliśmy instalowanie się komunizmu, a potem mroczny okres stalinizmu, kiedy duża część pokolenia wojennego nie mogła w ogóle opowiedzieć o swoich doświadczeniach. Nie mogli o nim mówić partyzanci z AK, powstańcy warszawscy, rodziny katyńskie. Ale nie mogły też mówić np. ofiary gwałtów. W propagandzie dominował motyw odbudowy, co z jednej strony mogło być w jakiś sposób konstruktywne, dawało poczucie sprawczości, ale z drugiej strony u wielu pogłębiło traumę.

Z badań nad PTSD, czyli zespołem stresu pourazowego, wiemy, że najważniejszym czynnikiem zdrowienia jest możliwość spokojnego opowiedzenia o tym, co się stało. Jeżeli to jest stłumione, nie ma kogoś, kto tę opowieść przyjmie, to wtedy pojawiają się charakterystyczne symptomy – problemy ze snem i koncentracją, niechęć do zajęcia się czymkolwiek. Przeżyte koszmary wracają do tych, którzy ich doświadczyli, a oni wychowują kolejne pokolenia w dojmującym poczuciu niepewności i nieufności wobec innych. Z tej perspektywy to, co się stało po wojnie, skazało kolejne pokolenia na ciągłe retraumatyzacje, na takie życie, jakby wojna się nie skończyła. To jeden ważny czynnik.

A drugi?

Życie w stabilnym, przewidywalnym środowisku. Istotnym elementem traumy jest doświadczenie bezradności, utraty kontroli nad własnym życiem. Jestem zależny od innych, od okupanta, od ludzi, którzy mogą ze mną zrobić, co zechcą. Żeby się z tym uporać, trzeba odzyskać poczucie sprawstwa. Dlatego wspomniałem o tym wysiłku odbudowy. Ono na pewno wielu ludziom pomogło odzyskać kontrolę. Ale miało też cenę. A ponadto okres stalinizmu trudno nazwać okresem stabilizacji, pozwalającym na indywidualną sprawczość.

Przyjęło się mówić, że doświadczone cierpienia trzeba wybaczyć, ale nie wolno zapomnieć. Tyle że w praktyce to nie działa. Wystarczy mały powiew i rozpalają się emocje związane ze zbrodniami z przeszłości. Nie sądziłem np., że uda się raz jeszcze w Polsce wzbudzić tak silną niechęć do Niemców i zbudować na tym strategię polityczną.

Razem z Martą Penczek i Katarzyną Hamer z Instytutu Psychologii PAN przeprowadziliśmy badania dotyczące właśnie powojennego wybaczenia Niemcom. Okazało się, że tu również największą przeszkodą jest narcystyczna tożsamość, przekonana, że Polska ciągle nie spotyka się z uznaniem, na jakie zasługuje. Ludzie, którzy w ten sposób myślą, nie są zdolni do wybaczenia. Widać to choćby w dyskusji dotyczącej ewentualnych rekompensat. Pojawił się np. pomysł, że może dobrą rekompensatą byłoby wyposażenie Polski w okręty podwodne. To byłoby racjonalne, bo nam takiej floty brakuje, a mamy co chronić. Ale zaraz podniósł się krzyk, że jak to? Przehandlujemy cierpienia narodu za kilka okrętów?

Jak wysokie powinny być reparacje, żeby można było powiedzieć: „Tak, teraz pojednanie jest możliwe, możemy wybaczyć”?

Jak wskazują nasze badania, dla osoby narcystycznej nie ma takiej kwoty. Żeby pojednanie było możliwe, nie wystarczy wypłata odszkodowań, nawet bardzo wysokich. Materialne wsparcie jest ważne, bo wojna to ogromna utrata zasobów. Ale musi być coś jeszcze oprócz pieniędzy.

Jak tak Pana słucham, to myślę, że słowo „narcyzm” może działać odstręczająco. Ja wiem, że dla psychologa ono znaczy coś innego niż dla człowieka z ulicy...

Tak, to wyłącznie opisowe pojęcie. Nie chciałbym, żeby zabrzmiało tak, jakbym wytykał jakąś psychopatologię jednej trzeciej polskiej populacji. Badania pokazują, że jeśli ktoś mocno utożsamia się z narodem, do którego należy, to ma też skłonność, żeby w tak pojmowany narcyzm wpadać. I wtedy np. źle reaguje na wszelką krytykę tego, do czego jest przywiązany. Choćby na odkrycia historyków, którzy odsłaniają jakieś mroczne aspekty narodowej historii.

Ale oczywiście grupowy narcyzm nie dotyczy tylko narodu. Mogę narcystycznie utożsamiać się z instytucją, w której pracuję, czy z partią. Istotne jest to poczucie zbiorowego niedocenienia.

W książce zwraca Pan uwagę, że w żadnym innym kraju nie publikuje się tylu historycznych dodatków do czasopism.

Jak się porówna kiosk z gazetami w Polsce i w Belgii czy Niemczech, to ta różnica jest uderzająca. Podobnie jeśli

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień są gośćmi Roberta Łuchniaka w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia **www.rdc.pl**

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM
Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM

chodzi o liczbę godzin historii w szkołach. No i zainteresowanie rekonstrukcjami historycznymi, które są czym właściwie? Z jednej strony narzędziem pedagogiki społecznej, z drugiej – rozrywką, ale osobliwą. Bo przecież odtwarza się nie tylko bitwy, ale np. pacyfikacje wsi, rozstrzelania, wywózki.

Jaką potrzebę to zaspokaja?

Myślę, że odpowiada po prostu naszym wyobrażeniom: że historia to przede wszystkim cierpienia, śmierć, martyrologia. Z jakiegoś powodu nie rekonstruujemy chociażby wielkich ceremonii.

Koronacji królewskich.

Albo sejmików.

To mogłoby wyglądać widowiskowo i cieszyłoby się powodzeniem.

No właśnie trudno powiedzieć, czy cieszyłoby się powodzeniem.

Koronację króla angielskiego oglądamy.

Ale czy chcielibyśmy oglądać koronację króla Stasia? Niekoniecznie. Rekonstruujemy to, co jest w tych dodatkach do czasopism. Albo na półkach z popularnymi książkami na poczcie. Straumatyzowane historycznie społeczeństwa są szczególnie wyczulone na tragiczne momenty historii.

Paradoksalnie czerpią z nich poczucie dumy.

Ciekawe, że pokolenie, które wojnę przeżyło, próbowało też innych opowieści. Takie filmy jak „Skarb" czy „Zezowate szczęście" starały się zmierzyć z traumą za pomocą humoru. Pokazywano ludzi handlujących mięsem, śpiewających w tramwajach zakazane piosenki. Takich, którzy potrafili przechytrzyć okupanta. Ta codzienna zaradność przywracała wiarę, że człowiek nawet w najtrudniejszych okolicznościach potrafi dać sobie radę.

Całe pokolenia oglądały przygody Franka Dolasa, który „rozpętał drugą wojnę światową". One też miały być kompensacją: oto Polak, który co prawda wszystko stracił, ale nie stracił wiary w to, że do Polski wróci, i że wojna jest do wygrania. Nie pomogło.

MICHAŁ WOŹNIAK / EAST NEWS

MICHAŁ BILEWICZ jest psychologiem społecznym i socjologiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, kierownikiem Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Jego najnowsza książka, „Traumaland. Polacy w cieniu przeszłości", ukazała się nakładem wydawnictwa Mando.

Trudno powiedzieć, czy nie pomogło. Wyobraźmy sobie, że nie byłoby tych prób opowiedzenia wojny inaczej. Jestem pełen podziwu dla ludzi, którzy mając świeżo w pamięci to, co tragiczne, próbowali jakoś to przekroczyć, wyjść z okupacyjnej bezradności. Musieli milczeć o wielu sprawach, a jednak udawało im się powiedzieć rzeczy ważne i zrobić to inaczej.

Dla ludzi z pokolenia wojennego istotne było, żeby sztuka, literatura, film z jednej strony odbijały to, co przeżyli, a z drugiej – żeby nadały temu jakiś bardziej symboliczny kształt, pomogły się od tego uwolnić. Istnieje coś takiego, co historycy kultury nazywają „pornografią przemocy", „pornografią Zagłady". Naturalistyczne przedstawienia na ogół nie służą wyzwoleniu od traumy. Chociaż myślę też o tym, że więźniowie Auschwitz potrafili zakładać pasiaki i iść w nich w pochodach pierwszomajowych.

A ile traumy da się zmieścić w dziecięcych podręcznikach?

Na pewno nie powinno być jej za dużo. Trzeba oczywiście, zwłaszcza młodzież, przygotować do konfrontacji z historią. Robiliśmy w swoim czasie dosyć rozległe badania wśród licealistów odwiedzających w ramach wycieczek szkolnych Muzeum Auschwitz-Birkenau. Mniej więcej co dziesiąty z badanych miesiąc po odwiedzinach miał objawy typowe dla zespołu stresu pourazowego, czyli nocne koszmary, problemy z koncentracją, natrętne myśli. Tam nie da się przyjechać i po prostu zwiedzać, trzeba się do takiej wizyty przygotować, trzeba o tym, co się zobaczyło, porozmawiać.

Podkreślam: 10 proc. w miesiąc po wizycie miało flashbacki i inne objawy wskazujące na PTSD. Podobny procent obserwuje się wśród weteranów wracających z wojny!

Co to oznacza?

Że uczymy w szkole o traumach, ale uczymy źle. Teraz mówi się o tym na lekcjach polskiego, na historii i na tym przedmiocie, który do niedawna nazywał się historia i teraźniejszość. Mówi się dużo, ale to jest zupełnie niezsynchronizowane. I nie myśli się o psychicznych kosztach takiej konfrontacji.

Skądinąd ciekawe, że inne badania, przeprowadzone przez Marię Lewicką i Adriana Wójcika, pokazały, że wśród osób silnie utożsamiających się z polskością, nastawionych nacjonalistycznie, częste jest przekonanie, że historia nie jest jakąś prawdą, którą się odkrywa, tylko raczej pewną opowieścią, która ma uzasadniać nasze dzisiejsze dążenia czy wzmacniać poczucie narodowej tożsamości. Innymi słowy: pewna część społeczeństwa sądzi, że historia akademicka sobie, a historia w szkole sobie. Ten instrumentalny stosunek do historii powoduje, że trudno znaleźć wspólną ramę dla naszej opowieści, bo różne formacje polityczne będą ją przystrzygać dla swoich potrzeb.

A może problem jest głębszy? Może chodzi o zasadnicze narodowe imaginarium, niezależne od bieżącej polityki, wedle którego prawdziwa historia to po prostu historia wojen, a w przypadku Polaków – wojen z przeważającymi siłami wroga?

Przydałby się dobry podręcznik historii gospodarczej Polski, prawda?

Już widzę, jak rodacy na hasło „historia gospodarcza" rzucają wszystko i czytają.

Taki podręcznik już nawet powstał, napisał go historyk Piotr Koryś, tyle że ukazał się jedynie po angielsku, polskie ↦

↦ wydawnictwa nie były zainteresowane. Niby wiadomo, że nie da się opowiedzieć naszych dziejów bez uwzględnienia tych rozmaitych przedsiębiorców, fabrykantów, kupców, którzy musieli iść na kompromisy z zaborcami, potem z okupantami, a w końcu z władzą komunistyczną. Ale czy ktoś jest taką opowieścią zainteresowany? Nie mówię, że ona ma wyprzeć tę wojenno-martyrologiczną wizję, ale powinna przynajmniej funkcjonować obok.

Inną alternatywą jest to, co nazywane bywa „ludową historią Polski". Zwrócenie się ku chłopskim korzeniom, chłopskiej perspektywie. Choć widzę, że ona też ma tendencję do popadania w martyrologię, skupiania się na cierpieniach chłopów, a nie na ich sprawczości, zaradności, samoorganizacji. Może „Chłopki" to zmienią.

Więc jak, Pańskim zdaniem, należy opowiadać historię „skrwawionych ziem"?

Na pewno powinien się znaleźć w tych opowieściach jakiś element konstruktywny.

Kiedy zwiedzający wychodzą z Yad Vashem, najważniejszego dla Żydów miejsca upamiętnienia Holokaustu, pojawia się przed nimi pejzaż dzisiejszego Izraela: niesamowity widok na wzgórza otaczające Jerozolimę. I oczywiście kryje się za tym myśl, że jednak Izrael ma swoje państwo. Że ten rozproszony po świecie naród ma miejsce, o którym może myśleć, że jest jego. Oczywiście, wiemy, że daleko tu do happy endu, a ostatnie miesiące jeszcze bardziej ten obraz skomplikowały. Ale podjęto próbę.

Wczoraj przed naszą rozmową pojechałem obejrzeć kopiec Powstania Warszawskiego, który według mnie jest trochę takim warszawskim Yad Vashem. Ten kopiec został usypany z ruin, kiedy się po nim chodzi, widać kawałki zburzonego miasta: fragmenty ścian czy kolumn, które zdobiły portale jakichś przedwojennych reprezentacyjnych budynków. A kiedy się zejdzie z tej góry ruin, porośniętej zresztą niezwykłą przyrodą, to trafia się na jeden z najbardziej atrakcyjnych warszawskich placów zabaw dla dzieci, gdzie maluchy bawią się na tyrolkach, w piaskownicach, na zjeżdżalniach. Pomyślałem sobie, że to niesamowite – pokazać, że po tych wszystkich strasznych doświadczeniach to miasto żyje, rozwija się, odradza.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

Dlaczego ryby nie mają głosu

MAREK RABIJ

Dwa lata temu Odra. Teraz zbiornik Dzierżno Duże. Kolejne ekologiczne katastrofy są tylko kwestią czasu, bo porządek prawny, jaki Polska zaprowadziła na swoich wodach, to istna kraina absurdu.

Chłopaki, którzy przyjechali wcześniej, ostrzegali, że trudno tu wytrzymać – pociąga nosem Jerzy. – Smród był faktycznie nieznośny. Zwłaszcza na płyciznach. Padłe ryby po jakimś czasie wypływały na powierzchnię, a fale niosły je w stronę brzegu. Przez dwa dni od rana do wieczora wydłubywaliśmy je spomiędzy trzcin. Podbierak mam gumowany, ale tak cuchnął, że po wszystkim go wyrzuciłem.

Nad Dzierżno Duże Jerzy Drabik przyjechał wraz z kolegami aż spod Nowej Soli. Dwa lata temu na swoim odcinku Odry też pływali pontonami, zbierając spomiędzy rzecznych ostróg dziesiątki, setki kilogramów śniętych ryb. Blisko metrowe okazy brzan, równie dorodne bolenie i sandacze. Leszcze wielkości tenisowej rakiety. Spotkanie z taką rybą to marzenie każdego wędkarza. Zwłaszcza dla kogoś takiego jak Drabik, który wędkuje od dziecka i każdą wolną chwile spędza nad wodą.

– Czegoś podobnego wcześniej tu nie widziałem, a wychowałem się nad Odrą i pamiętam, jak za PRL-u śmierdziała od mazutu i innych ścieków – kontynuuje Jerzy. – Dwa lata temu miałem nadzieję, że to tylko potworny zbieg okoliczności i że coś takiego nie może się powtórzyć na podobną skalę. Ale po tym, jak nam zabili Dzierżno, nie mam już złudzeń. Ta katastrofa to nie błąd systemu. To właśnie ten system. W tym kraju jedni dostają po kieszeni za źle posegregowane śmieci, podczas gdy inni legalnie zasyfiają rzekę tonami ścieków.

„No kill"

Pięcioosobowa ekipa Drabika spędziła nad Dzierżnem Dużym cztery dni. Kiedy przyjechali, miejscowe koło Polskiego Związku Wędkarskiego szacowało masę padłych w zbiorniku ryb na około 29 ton. Kiedy wyjeżdżali, wyliczenia wzrosły do 55 ton.

Ostatnie dane mówią już o 117 tonach zebranych z wody o powierzchni nieco ponad sześciu kilometrów kwadratowych. W 2022 r. z około 400-kilometrowego odcinka Odry

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Odławianie śniętych ryb z jeziora Dzierżno Duże. Rzeczyce, 20 sierpnia 2024 r.

między Oławą a Szczecinem usunięto około 900 ton martwych ryb.

– To nie było jakieś tam jezioro – wyjaśnia Jerzy. – Zjeżdżali się nad nie wędkarze z całej Polski. Niektórzy brali urlop, żeby tu powędkować. Generalnie wody w naszym kraju nie sprzyjają naszemu hobby, ryb jest mało, a jak są, to drobnica. Czasem cały dzień człowiek siedzi i schodzi „o kiju". Dzierżno słynęło z bogatego rybostanu, zwłaszcza z dorodnych karpi i leszczy. U mnie na rozlewiskach Odry leszcz 30 centymetrów to już osiągnięcie. Tutaj takiego pistoleta nikomu nie chciałoby się nawet mierzyć. Jak byłem tu ostatni raz na rybach, w jeden dzień wyciągnąłem osiem ponadpółmetrowych okazów. Rok temu też złowiłem mojego największego karpia, osiemnaście kilo. Teraz pewnie przekroczył dwudziestkę. O ile przeżył – dorzuca Drabik.

Dzierżno to pierwszy polski zbiornik „no kill", na którym w 2016 r. wprowadzono regułę „złów i wypuść". Schwytany okaz, po zmierzeniu i sfotografowaniu, musi wrócić do wody. Na wielu takich łowiskach wolno stosować tylko haczyki bez zadziorów; rybom przed wypuszczeniem dezynfekuje się skaleczenia, nie wolno też odkładać ich na ziemię, lecz na specjalne maty.

– Hipokrytą nie jestem, zdarza mi się zjeść złowione ryby – przyznaje Drabik. – Ale na „no kill" jedzie się dla sportowych wrażeń i dla przyrody. W Dzierżnie pływały karpie, którym miejscowi wędkarze nadawali imiona. Sprzątanie padłych ryb dla wielu tutejszych było więc trudnym doświadczeniem.

Odbijanie piłeczki

Na forum „Spławik i grunt" zrzeszającym miłośników wędkarstwa spod znaku „no kill" wątek dotyczący sytuacji Dzierżna liczy już ponad 660 wpisów, a liczba wyświetleń przebiła 89 tysięcy. Pierwsze wzmianki o śnięciu ryb w zbiorniku pochodzą z 5 sierpnia. W kolejnych mnożą się narzekania na służby państwowe, że lekceważą informacje o zagrożeniu, które przekazują wyżej wędkarze. Ktoś cytuje miejscowego ichtiologa, dr. Dariusza Ulikowskiego, który już w połowie lipca sygnalizował spółce Wody Polskie, że w zbiorniku dzieje się coś, co przypomina sytuację na Odrze sprzed dwóch lat. Bez odzewu. Trzeba było – jak zauważa z przekąsem Drabik – dopiero ton ryb gnijących na brzegu, żeby państwo wzięło się do roboty. Wtedy jednak pozostało już tylko usuwanie skutków.

– Wiesz, co mówili ludzie, z którymi sprzątałem Dzierżno? – ciągnie wędkarz. – Że to nie przypadek ani zaniedbanie. Że tę wodę zabito z premedytacją, żeby zamienić ją w akwen przemysłowy. Nie będzie w nim ryb, to nie będzie problemu. Dzierżno Duże to nie naturalne jezioro, powstało jako zbiornik zaporowy do zrzutu nieczystości. Potem, gdy śląski przemysł zaczął obumierać, rozwinęło się tu życie, a miejscowi zrobili z Dzierżna mekkę dla wędkarzy. Widocznie komuś to przestało odpowiadać – kończy.

Bezczynność instytucji faktycznie może być żyznym podglebiem dla teorii spiskowych. Podobnie jak niechęć mediów głównego nurtu do zajęcia się tym tematem, wręcz zaskakująca zważywszy na apetyt, z jakim dwa lata temu relacjonowały odrzańską katastrofę. Czy wreszcie zagubienie polityków rządzącej koalicji, którzy nagle zdali sobie sprawę, że te same zarzuty, które dwa lata temu oni tak chętnie stawiali ówczesnej władzy, dziś można śmiało postawić im. Wicemarszałek Sejmu Piotr Zgorzelski na antenie Polsatu krytykę działań rządu w obliczu tej katastrofy nazwał nawet „pisowską narracją" i ze zdziwieniem musiał przyjąć wyjaśnienia prowadzącego, że zacytowano mu jego własne słowa sprzed dwóch lat. Marszałek Szymon Hołownia poległ z kolei w konfrontacji z wysłannikiem telewizji Republika. „Dwa lata temu pytał pan, gdzie jest rząd. A gdzie rząd jest teraz?" – zapytał go po prostu dziennikarz.

„A pan dwa lata temu też pytał z nami, gdzie jest rząd, kiedy Odra umierała? Czy nie było pana z nami na pokładzie, kiedy troszczyliśmy się o to, co się dzieje z polską rzeką po tylu latach rządów pisowców?" – usiłował ripostować lider 2050.

Ludzi, którzy sprzątają Dzierżno, takie przerzucanie odpowiedzialności może jedynie zirytować. W rzeczywistości dobrze ilustruje jednak istotę problemu. ↦

↦ Ryby w polskich wodach i teraz, i przed dwoma laty, zabiło to samo. Rozmycie kompetencji.

Wodny bezład

Państwo polskie ma instytucję, która w jego imieniu zajmuje się eksploatacją i bieżącym nadzorem nad zasobami wodnymi kraju. To powołane do życia w 2018 r. Wody Polskie. Zbiornik Dzierżno, jako własność państwowa, również znajduje się w gestii Wód, które wydzierżawiły go Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu. Gdy wędkarze zaczęli zgłaszać pierwsze przypadki śnięcia ryb, Wody Polskie uznały to jednak za sprawę poza obszarem swoich kompetencji.

W rozmowie z reporterką Kanału Zero, która dociekała, jak można było zapobiec tej katastrofie, rzeczniczka tej instytucji odpowiedziała, że adresatem tak postawionych pytań nie jest jej pracodawca. I nie minęła się z prawdą, bo w porządku państwa polskiego instytucja stworzona do administrowania zasobami wodnymi kraju nie ma wśród zadań ich ochrony, lecz... eksploatację.

Wody Polskie wydają pozwolenia wodnoprawne, pilnują stanu wałów powodziowych, dzierżawią zbiorniki, legalizują urządzenia pomiarowe, pobierają opłaty od użytkowników wód, pilnują stanu torów żeglugowych. Owszem, należy do nich także „zarządzanie środowiskiem wodnym" – czyli choćby opiniowanie wpływu potencjalnych inwestycji na stan akwenów czy realizacja zadań związanych z ochroną przyrody na terenach Natura 2000 – ale już nie bieżące monitorowanie stanu samych wód. Tym ostatnim para się Główny Inspektorat Ochrony Środowiska – choć akurat nie na Odrze, bo po katastrofie sprzed dwóch lat budowę sieci punktów mierzących stan zasolenia wody w tej rzece rząd PiS zlecił głównie Instytutowi Rybactwa Śródlądowego, które podlega... resortowi rolnictwa.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska, zwierzchnik GIOŚ, zwołuje więc stałe konsultacje z partnerami społecznymi w sprawie choćby stanu wód Odry, w praktyce jednak nic z tego nie może wyniknąć, bo Wody Polskie nie podlegają pod resort Pauliny Hennig-Kloski, lecz pod Ministerstwo Infrastruktury. Kopalnie to z kolei resort aktywów państwowych. Słowem, żeby w Polsce Anno Domini 2024 wydać kopalni polecenie natychmiastowego wstrzymania zrzutu zasolonych wód dołowych, potrzeba pilnego zwołania posiedzenia całej rady ministrów.

> W urzędniczym porządku naszego państwa Wody Polskie, instytucja zarządzająca zasobami wodnymi całego kraju, **nie ma wśród zadań ich ochrony, lecz eksploatację.**

– W Polsce brakuje procedury, która określałaby, co mają robić służby i instytucje, gdy obywatele zgłoszą im informację o zanieczyszczeniu. Od lat sygnalizujemy to stronie rządowej – mówi Maria Włoskowicz, prawniczka z Fundacji Frank Bold, która specjalizuje się w działaniach na rzecz ochrony środowiska. – Brak tej procedury uniemożliwia podjęcie działań, które mogłyby zapobiec katastrofie ekologicznej, takiej jak ta na jeziorze Dzierżno Duże. Albo przynajmniej ograniczyć skalę strat. Jedyne, na co stać państwo w tej sytuacji, to akcja porządkowa po katastrofie.

Więcej ścieków, przyroda wytrzyma

Państwo polskie nie wie jeszcze jednego. Nie zna dokładniej wielkości emisji pokopalnianych zanieczyszczeń do wód powierzchniowych. Agencja Rozwoju Przemysłu szacuje, że w 2022 r. kopalnie spuściły do jezior, rzek i strumieni około 200 mln metrów sześciennych wód dołowych zawierających w sumie około 1,4 mln ton chlorków i siarczanów.

Obliczenia nie mogą być dokładniejsze, bo wedle przepisów ścieki kopalniane ze stężeniem chlorków i siarczanów powyżej 1,5 g na litr wolno zrzucać do rzek bez ograniczeń, pod warunkiem, że końcowe stężenie w akwenie docelowym nie przekracza 1 grama na litr. W przypadku największych polskich rzek oznacza to *de facto* zezwolenie na spuszczanie zanieczyszczeń bez ograniczeń. Przepisy mówią bowiem, że dopuszczalny jest „wzrost sumarycznego stężenia chlorków i siarczanów do wartości większej niż 1000 mg/l (...) o ile nie spowoduje to szkód w środowisku wodnym". Kopalnie mają więc *de facto* zezwolenie na nieustanne testowanie granic wytrzymałości środowiska naturalnego.

Pytanie o sens tego przywileju jest uzasadnione w sytuacji, gdy polskie kopalnie uprawiają przemysłową sztukę dla sztuki, wydobywając surowiec w zasadzie niepotrzebny. Produkcja węgla kamiennego w Polsce spada systematycznie od 1979 r., a w ubiegłym zjechała do poziomu z 1910 r. Kolejnym problemem jest cena. W holenderskich portach, do których przybijają masowce z Australii i Ameryki Południowej, tona węgla kosztuje obecnie średnio 120 euro, czyli niespełna 525 zł. W polskich kopalniach ceny zaczynają się obecnie od tysiąca złotych, ale nawet przy takich pułapach cenowych nasze górnictwo pozostaje nierentowne; tylko w tym roku każdy polski podatnik dołoży do tego interesu po 500 zł.

Gdyby spełnić miały się założenia ustawy przyjętej przez rząd PiS, zgodnie z którą ostatnia polska kopalnia węgla kamiennego miałaby zaprzestać działalności w 2049 r., koszty tego gospodarczego eksperymentu sięgnęłyby w przeliczeniu na jednego podatnika 7 tysięcy złotych, czyli ćwierci biliona złotych!

Z dużą dozą prawdopodobieństwa można jednak już dziś założyć, że Polska pożegna się z górnictwem nieco wcześniej. Od końca lat 90. zeszłego stulecia zapotrzebowanie na węgiel maleje rok po roku średnio o 2,7 mln ton. W tym tempie już około 2038 r. zjedzie do poziomu, który uczyni eksploatację polskich kopalń nie tylko nieopłacalną, ale

OGŁOSZENIE

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

NASZE DZIENNIKARKI i NASI DZIENNIKARZE goszczą co tydzień w „Światopodglądzie" radia Tok FM. Słuchaj nas, gdziekolwiek jesteś.

95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław | 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź | 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń | 89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin | 94,9 FM Kielce **www.tokfm.pl**

także niemożliwą do utrzymania z powodów czysto technicznych. Rząd PiS za wszelką cenę chciał utrzymać tę gałąź przemysłu przy życiu, planował rozbudowę energetyki opartej na węglu, która miała zaowocować zwiększeniem wydobycia w 2030 r. do około 65 mln ton rocznie, ale dziś wiadomo już, że to się nie uda.

Prąd z węgla to koszmarnie drogi prąd, którego cenę zawyżają koszty zakupu certyfikatów emisji CO_2. Odbiorcy energii wzięli więc sprawy w swoje ręce i w takim tempie rozbudowali przydomowe i przyzakładowe instalacje fotowoltaiczne, że już dziś w słoneczne letnie dni ponad połowę wytwarzanego prądu Polska pozyskuje ze słońca. Polskie Sieci Energetyczne muszą wręcz ograniczać odbiór energii od prosumentów, żeby w systemie nie zabrakło miejsca dla konwencjonalnych elektrowni, które z powodów technicznych nie mogą zejść z produkcją poniżej pewnego progu.

Sól za grosze

Polski węgiel już nie potanieje. Od 2027 r. kopalnie będą musiały płacić za emisję metanu, który puszczają do atmosfery wraz z powietrzem odprowadzanym z szybów. Zarazem nie słabnie presja związków zawodowych na podwyżki górniczych pensji.

W 2023 r. wydobycie tony węgla w polskiej kopalni kosztowało średnio 941,65 zł, z czego już połowa przypadała na koszty płacowe. W tych warunkach nie ma również szans na to, żeby stworzyć rynkowy mechanizm, który sprawiłby, że kopalniom przestanie opłacać się zrzucanie do rzek zasolonych ścieków.

Za każdy kilogram soli wypompowanej wraz z wodą spod ziemi muszą obecnie zapłacić 5 groszy. W tzw. specustawie odrzańskiej, która weszła w życie jeszcze za PiS, pojawił się zapis podnoszący tę stawkę do 10 groszy za kilogram, ale dopiero od 2030 r. To wciąż zbyt mało, żeby nakłonić kopalnie do inwestowania w instalacje do odsalania. Po uwzględnieniu przyszłej inflacji może się w ogóle okazać, że koszt procederu właściwie nie ulegnie zmianie.

Trwa on w najlepsze od lat. W 1999 r. Najwyższa Izba Kontroli alarmowała, że w latach 1995-1998 29 kopalń podległych czterem skontrolowanym spółkom węglowym wydobyło około 326 mln metrów sześciennych zasolonych wód kopalnianych, z czego ponad 297,4 mln, czyli aż 91,24 proc., odprowadziły do wód powierzchniowych. Kontrolerzy dalej wykazali, że z tego tytułu kopalnie obciążono opłatami w łącznej wysokości 970,4 mln zł.

Żadna z nich nie wywiązała się z tego zobowiązania w całości. Dwie nie zapłaciły ani złotówki. Spośród 29 skontrolowanych kopalń 27 miało obowiązek posiadania pozwoleń na zrzut wód dołowych, ale aż 21 robiło to bez zezwolenia. Trzem kolejnym pozwolenie wygasło w trakcie badanego okresu, ale o przedłużenie nie wystąpiły bądź go nie otrzymały. Głównym powodem odmów było przekroczenie dopuszczalnych zawartości chlorków i siarczanów w odprowadzanych ściekach.

W konkluzji kontrolerzy NIK z niejakim zdziwieniem odnotowali więc fakt, że zaległe opłaty i kary umorzono (!) wszystkim podmiotom w ramach działań oddłużeniowych. Państwo, będące właścicielem wszystkich kopalń, samo sobie narzuciło normy środowiskowe, których nie dotrzymało, a następnie samo zwolniło się z nałożonych na siebie kar.

Jerzy Drabik na koniec spotkania sięga po telefon. Film, który wyświetla, pokazuje zrzut zasolonej wody do rzeki Kłodnicy, którą do Dzierżna spływają kopalniane ścieki. Kilka kilometrów niżej, u jej wylotu do zbiornika, służby pompują w tym czasie do wody perhydrol, czyli wodę utlenioną. Ministra klimatu z dumą oświadcza na konferencji, że udało się w ten sposób zbić „poziom złotej algi w rzece Kłodnicy o 95-99 procent”. – Jasne – uśmiecha się wędkarz. – To co? Do zobaczenia za rok?

©℗ MAREK RABIJ

książki **POWSZECHNE**

Literatura potrafi zmieniać świat, bo dzięki niej stajemy się uważniejsi, bardziej krytyczni i dociekliwi. Uczymy się patrzeć oczami innych ludzi, wychodzić poza jednostkowe horyzonty myślenia i wartości. Jednak każda lektura domaga się rozmowy, bo literatura działa najlepiej, gdy wydarza się między ludźmi.

Dlatego zapraszamy na cykl spotkań i dyskusji **Książki Powszechne**, organizowany (bardzo po krakowsku) przez „Tygodnik Powszechny” i Wydawnictwo Literackie.

Jak dziś opowiadać o transformacji i narodzinach kapitalizmu w Polsce?

Gośćmi spotkania będą Robert Nowakowski („Kalikst”) oraz Michał Przeperski („Dziki Wschód”), a rozmowę poprowadzi Michał Sowiński z „Tygodnika”.

5 września, godzina 19.00 LOKATOR coffee & books, ul. Mostowa 1, Kraków

LOKATOR

WYDAWNICTWO LITERACKIE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ANDRZEJ IWAŃCZUK / REPORTER

Marcin Mastalerek i prezydent Andrzej Duda podczas otwarcia Domu Polskiego w czasie Igrzysk Olimpijskich w Paryżu. 26 lipca 2024 r.

Z tylnego siedzenia

PIOTR ŚMIŁOWICZ

Polska polityka to nie tylko nazwiska z pierwszych stron gazet. To także dzieje doradców i szarych eminencji, których rola, najczęściej ukryta przed opinią publiczną, jest kluczowa dla najważniejszych wydarzeń w kraju.

Grudzień 2023. Minister kultury Bartłomiej Sienkiewicz dokonuje wymiany zarządów spółek medialnych – TVP, Polskiego Radia i PAP. PiS grzmi, że to niezgodne z prawem, bo decyzje w tej sprawie ma prawo podejmować tylko Rada Mediów Narodowych, opanowana przez dawną władzę. Posłowie prawicy i dziennikarze wierni PiS rozpoczynają okupację budynków medialnych. W tym samym czasie rząd kieruje do Sejmu ustawę okołobudżetową, w której przeznaczone są pieniądze na media publiczne. Jeszcze trwają święta Bożego Narodzenia, gdy prezydent Andrzej Duda ogłasza, że nie podpisze ustawy, więc minister kultury dokonuje zwrotu – wycofuje się ze zmiany władz spółek, po czym stawia je w stan likwidacji. Tłumaczy to wetem Dudy, a tym samym brakiem pieniędzy.

Zdaniem wielu ekspertów, to ruch znacznie bardziej zgodny z prawem niż przemocowa zmiana władz radia, telewizji i PAP. Komentatorzy przyznają zarazem, że to prezydent podał rządowi piłkę do wycofania się ze złej decyzji. Tajemnicą poliszynela jest też, że za tą strategią stał Marcin Mastalerek (sam się do tego poniekąd przyznał w jednym z programów), od niedawna szef gabinetu prezydenta, nieformalnie doradzający Dudzie już od dawna, i namawiający go do bardziej asertywnej postawy, także wobec PiS.

Kto tu dowodzi?

Niezależnie od tego, jak ocenimy skuteczność rad Mastalerka – w opisanym przypadku efekt był odwrotny do zamierzonego – szef gabinetu ma istotny wpływ na działania prezydenta. To on stoi za zaostrzeniem linii politycznej wobec rządu po pierwszych koncyliacyjnych gestach, w rodzaju zgody na Piotra Serafina jako stałego przedstawiciela Polski przy UE.

Zmianę u Dudy widać najlepiej na przykładzie wojny o ambasadorów. Początkowo prezydent deklarował, że nie będzie się przeciwstawiał zmianom na tych stanowiskach. Zastrzegł tylko, że nie pozwoli ruszyć swoich najbliższych współpracowników, w rodzaju przedstawiciela przy ONZ Krzysztofa Szczerskiego. Potem, pod wpływem Mastalerka skorygował kurs i nie podpisuje już żadnych zmian na zagranicznych placówkach.

Andrzej Duda generalnie jest politykiem, który mocno ulega wpływom. W przeszłości, zanim jeszcze nastała era Mastalerka, do jego kluczowych doradców należeli sekretarz stanu Krzysztof Łapiński czy wspomniany Szczerski, przez większość pierwszej kadencji pełniący funkcję szefa gabinetu. Jeszcze inną rolę odgrywa wieloletni przyjaciel Wojciech Kolarski, który nie ma co prawda szczególnych kwalifikacji politycznych, ale prezydent zrzuca na niego wiele obowiązków administracyjnych. I trzeba przyznać, na razie bez większych wpadek.

Znane są też ważne decyzje Dudy, które zapadły tylko dlatego, że bezpośrednio przed ich podjęciem ktoś do niego przyszedł. Najbardziej spektakularny przypadek to zawetowanie ustaw sądowych w lipcu 2017 r. pod wpływem wizyty doradczyni Zofii Romaszewskiej, co zaskoczyło liderów PiS. Przekonani o lojalności Dudy nie zadbali o to, by wcześniej odpowiednio na niego nacisnąć. Później już było „lepiej", bo po

rozmowach z Jarosławem Kaczyńskim Duda wycofał się z niemal wszystkich zastrzeżeń do ustaw sądowych, choć jednocześnie wytargował pozbycie się z rządu Antoniego Macierewicza.

Szare eminencje

Nasz prezydent należy do polityków, których określa się jako cierpiących na „syndrom ostatniego rozmówcy". To ludzie, którzy jeśli sprawują ważne funkcje państwowe, to łatwo ulegają wpływom i są labilni, a rola ich doradców, formalnych i nieformalnych, przybiera nienaturalne rozmiary.

Ważnych polityków ulegających powyższemu syndromowi, ale też po prostu niesamodzielnych, było już w Polsce wielu. Podręcznikowym przykładem jest premier Jerzy Buzek (1997-2001). Nie tylko znajdował się pod stałym wpływem lidera Solidarności i AWS Mariana Krzaklewskiego; na jego codzienne decyzje ogromny wpływ miała Teresa Kamińska. Najpierw była ministrem i koordynatorem reform politycznych, a następnie szefem gabinetu premiera. Znaczenie miało również to, że łączyły ich w tamtym czasie bliskie osobiste relacje.

Buzek jako premier słynął z długiego podejmowania decyzji, ale wiele z nich zapadało właśnie pod wpływem ostatnich w jego biurze doradców. Niektóre miały ważne konsekwencje, jak choćby ta z maja 2000 r. o powołaniu zarządcy komisarycznego warszawskiej Gminy Centrum, co stało się pośrednim powodem wyjścia Unii Wolności z koalicji rządowej z AWS. Co z kolei doprowadziło do przebudowy obozu postsolidarnościowego: powstania Prawa i Sprawiedliwości oraz Platformy Obywatelskiej.

Podobnego typu premierem, bez wcześniejszego doświadczenia na najwyższych stanowiskach, zarazem nadmiernie uzależnionego od głosów z boku – była też Hanna Suchocka. W jej przypadku wpływy dzielił jednak zespół ludzi, który tworzyli Jan Rokita, Tadeusz Syryjczyk i Jerzy Koźmiński. Także następca Suchockiej, lider PSL Waldemar Pawlak, obejmując fotel premiera jako człowiek relatywnie młody, w wielu sprawach opierał się na głosie swego najważniejszego doradcy, trochę zapomnianego dziś prof. Franciszka Mleczki. Decyzje, jakie wtedy podejmowali, zapadały niejednokrotnie podczas rozgrywania partii szachów.

Zwykle obecność wpływowej „szarej eminencji" w otoczeniu polityka jest przedstawiana jako coś złowrogiego, świadczącego o nie do końca czystych intencjach. Tak było z wielokrotnie opisywanym związkiem prezydenta Lecha Wałęsy z szefem gabinetu (a wcześniej osobistym kierowcą) Mieczysławem Wachowskim, człowiekiem o dosyć tajemniczej biografii i kiepskim wykształceniu. Podobnie niejasną rolę pełnił przy Wałęsie jego spowiednik i kapelan ks. Franciszek Cybula, po latach jeden z bohaterów głośnego dokumentu braci Sekielskich, ujawniającego skandale pedofilskie w Kościele.

A może to normalne?

Tym niemniej, jak przyznają socjolodzy i politolodzy, każdy polityk piastujący eksponowaną funkcję potrzebuje kogoś, z kim może być do końca szczery i komu może zaufać. – To jest prawidłowość, która istnieje od początku istnienia państw – przyznaje prof. Henryk Domański. – Większość polityków na wysokich stanowiskach chce mieć wokół siebie ludzi, na których może polegać i którzy doradzają nie tylko z racji pełnionej funkcji.

Takim doradcą zostaje zwykle ktoś, kto ma kompetencje przydatne z punktu widzenia konkretnego polityka, niejednokrotnie jest to wiedza o ludziach i ich zachowaniach. Cechą ludzi sprawujących władzę, przyznaje Domański, jest też często oderwanie od rzeczywistości. Doradcy dają zaś namiastkę kontaktu z nią.

Potwierdza to socjolog i politolog prof. Bartłomiej Biskup, którego zdaniem doradcy oprócz dostarczania przydatnych informacji stanowią też oparcie psychiczne. – Mówimy tu o modelu europejskim, w którym polityk ma doradców, ale jednak finalnie sam podejmuje decyzje. Model amerykański jest inny, tam doradcy rządzą m.in. kampaniami wyborczymi, a polityk jest tam bardziej narzędziem w ich rękach – twierdzi Biskup, zaznaczając, że w dzisiejszych czasach liderzy największych partii masę decyzji podejmują na podstawie dokładnych badań socjologicznych, które przeprowadzają wynajmowane sztaby i sondażownie. Zarazem jednak wielu lubi korzystać z rad osób z tytułami naukowymi lub celebrytów, niekoniecznie znających się na polityce. – To mogą być cenne punkty widzenia. Ci, co siedzą w bieżącej polityce, są nią mocno uwarunkowani i czasem nie widzą ważnych aspektów rzeczywistości – zaznacza.

Generalnie każdy przywódca ma krąg zaufanych osób, z którymi mu się dobrze pracuje i często zestaw tych ludzi nie zmienia się latami. Takich ludzi można znaleźć też przy dwóch najważniejszych osobach w polskiej polityce, Donaldzie Tusku i Jarosławie Kaczyńskim, których nie sposób uznać za słabych liderów z „syndromem ostatniego rozmówcy".

Uszy prezesów

Kaczyński sam był superdoradcą swojego brata bliźniaka Lecha Kaczyńskiego, gdy ten piastował funkcje państwowe – szefa NIK, prezydenta Warszawy, a przede wszystkim prezydenta RP. Jako prezes PiS lubi zaś korzystać z rad osób, które niejako objaśniają mu współczesny świat, mechanizmy działania klasycznych mediów i portali społecznościowych.

Stąd też ogromna kariera duetu dawnych AWS-owskich posłów Adama Bielana i Michała Kamińskiego, zwanych kiedyś, dzięki umiejętności narzucania własnych narracji, „spindoktorami PiS". Obaj wypadli z łask około roku 2010, ale Bielan, dzięki mozolnym staraniom, w najbliższą orbitę prezesa PiS wrócił. To na jego zlecenie odbił Jarosławowi Gowinowi partię Porozumienie, by następnie, już jako Republikanów, przyłączyć do PiS.

Osoby z kręgu kierownictwa tej partii przyznają, że Bielan ma wyjątkowy talent w docieraniu do ucha prezesa i dziś jego zdanie liczy się choćby w tak kluczowej sprawie, jak wybór kandydata na prezydenta. Wiedza, jak do szefa dotrzeć, cechuje zresztą wielu długoletnich współpracowników Jarosława Kaczyńskiego czy wcześniej obu braci. Obaj zawsze dawali szczególny posłuch tym, którzy dostarczali kompromitujących plotek na temat konkurentów lub podwładnych, a także wszelkiej ekskluzywnej wiedzy. Stąd szczególne upodobanie do spotkań z przedstawicielami służb specjalnych.

Cechą Jarosława Kaczyńskiego jest również zdolność do współpracy wyłącznie z osobami bardzo zaufanymi, co latami utrudniało mu wszelką instytucjonalną współpracę w ramach struktur państwowych. Stąd brały się np. kariery kierowców, z którymi prezes spędzał wiele godzin w podróżach po Polsce, a którzy potem dostawali awanse w strukturach partyjnych, ciułając przy ↦

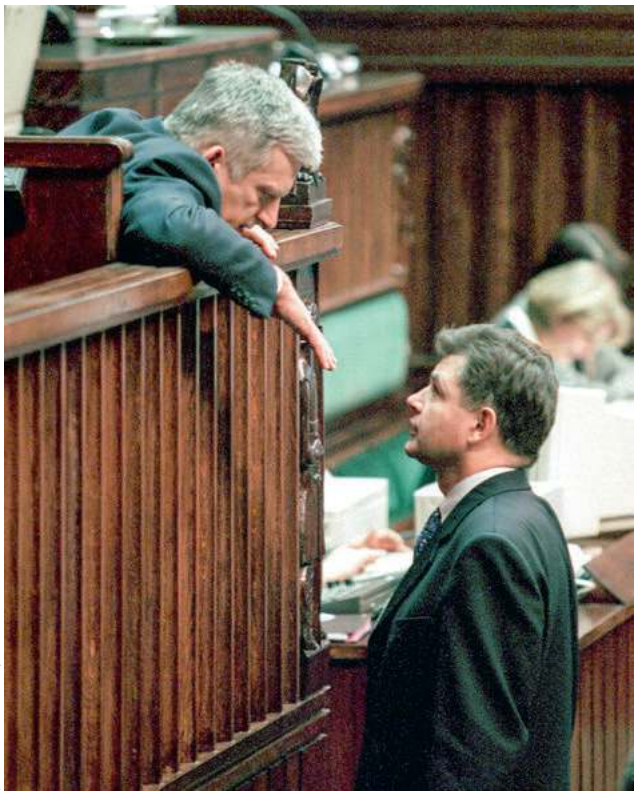

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Jerzy Buzek i Marian Krzaklewski podczas posiedzenia Sejmu. Warszawa, 19 marca 1999 r.

okazji majątek dzięki różnym funkcjom pełnionym w spółkach powiązanych z PiS, jak np. Jacek Cieślikowski.

Kaczyński posiada tę zdolność, że potrafi czasem dopraszać do najbliższego kręgu doradców reprezentujących młode pokolenie. Przez jakiś czas jego ważnym współpracownikiem był Michał Moskal, młody poseł PiS, zaś najnowszym nabytkiem w bezpośrednim otoczeniu prezesa jest Piotr Milowański. To on podobno wpadł na dobrze początkowo przyjęty przez Kaczyńskiego pomysł zmiany nazwy partii na Biało-Czerwoni.

Podobnie postępuje Donald Tusk, do bliskiego grona co jakiś czas wprowadzając świeżą krew. Gdy wrócił do Polski, by w 2021 r. przejąć PO, a dwa lata później stanąć na czele rządu – miał inne niż za pierwszych rządów otoczenie. Znaleźli się w nim Marcin Kierwiński, Borys Budka, a przede wszystkim rzecznik PO Jan Grabiec, obecnie szef KPRM. Jednak najbliższy krąg wtajemniczenia wokół premiera stanowią wciąż jego dwaj dawni współpracownicy – Paweł Graś, który obecnie jest szefem gabinetu politycznego, a także doradca ds. PR Igor Ostachowicz.

Obaj odgrywali kluczowe role już w latach 2007-14. Graś był najpierw koordynatorem służb specjalnych, a następnie rzecznikiem rządu, Ostachowicz zaś zajmował stanowisko podsekretarza stanu w KPRM. Obecnie tylko Graś pełni formalną funkcję, Ostachowicz jest schowany w cieniu, ale przez cały czas pozostaje w kontakcie z szefem rządu. W otoczeniu Tuska można usłyszeć, że doradził mu np. niedawne złagodzenie linii wobec prezydenta Dudy.

Biznesmeni u władzy

Bardzo spektakularnym przykładem wpływu zewnętrznych doradców na politykę była epoka rządów SLD. Duże wpływy miał wówczas szef gabinetu prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego Marek Ungier, zaś w rządzie Leszka Millera „szarą eminencją" stał się Lech Nikolski. Spore wpływy miała też Aleksandra Jakubowska, co zresztą zaowocowało niemal zabójczą dla SLD aferą Rywina.

Jednak osobą pociągającą za najwięcej sznurków był wówczas nieżyjący dziś biznesmen Jan Kulczyk. To on decydował o składach rad nadzorczych kluczowych spółek, np. Orlenu, on również wpływał na wiele decyzji gospodarczych. Znaczenie miała jego szczególnie bliska relacja z Kwaśniewskim oraz zdolność docierania do różnych środowisk.

– Kontakty z Kulczykiem ułatwiały komunikację z ludźmi biznesu, ale byli oni nie tylko lobbystami swoich środowisk czy wręcz samych siebie. Przekazywali też informacje na temat ustrojowych problemów, oczekujących na rozwiązanie – mówi Bartłomiej Biskup.

Szczególne miejsce na liście „szarych eminencji" zajmuje Artur Balazs, który nieraz postrzegany był jako człowiek do politycznych zadań specjalnych. W AWS-owskim rządzie Buzka pełnił funkcję ministra rolnictwa, a wcześniej zasiadał w gabinetach Tadeusza Mazowieckiego i Jana Olszewskiego. Zarazem to jego nieformalne wpływy w środowiskach rolniczych i wiejskich zaowocowały mocno w okresie pierwszych rządów PiS, gdy doprowadził do zawarcia koalicji tej partii z Samoobroną. To on zaprosił na wspólny obiad Jarosława Kaczyńskiego i Andrzeja Leppera, podczas którego obaj liderzy się do siebie przekonali i przypieczętowali sojusz.

Balazs nie znikł ze sceny politycznej. Ostatnio wywarł istotny wpływ na to, że z list KO w 2023 r. wystartował lider Agro-Unii Michał Kołodziejczak, co odebrało część wpływów PiS na wsi.

Medialne lobby

W naszej układance nie sposób zapomnieć o mediach. W obu okresach rządów PiS duży wpływ na decyzje polityków miał o. Tadeusz Rydzyk. Jego siła brała się z tego, że kierowana przez niego rozgłośnia oraz telewizja cieszą się dużą popularnością w elektoracie prawicy. Paradoksalnie, kiedyś podobną rolę u innych wyborców odgrywał redaktor naczelny niezwykle wpływowej w latach 90. i na początku XXI w. „Gazety Wyborczej", czyli Adam Michnik. Był on nawet kimś w rodzaju „superdoradcy" prezydenta Kwaśniewskiego, co wyszło na jaw przy okazji prac pierwszej komisji śledczej, badającej aferę Rywina.

Dziś tenże Kwaśniewski sam bywa doradcą, choć np. kierownictwo obecnej lewicy rzadko korzysta z jego usług, a powodem są animozje personalne między nim a Włodzimierzem Czarzastym. Część ekspertów jest zdania, że gdyby lewica z rad Kwaśniewskiego potrafiła korzystać częściej, nie groziłaby jej polityczna anihilacja.

Bo doradcy, wbrew rozpowszechnionej opinii, niekoniecznie muszą być złymi duchami polityków. Nierzadko są ich aniołami stróżami, potrafiącymi ustrzec przed poważnymi wpadkami. O tym jednak najczęściej się nie dowiadujemy, na szczęście.

©℗ PIOTR ŚMIŁOWICZ

TOMASZ

Stawiszyński:
Przetestuj się

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech polaryzacji jest przekonanie, że nas ona nie dotyczy. Tymczasem, jak się po raz kolejny okazuje, dotyczy w stopniu znacznie większym, aniżeli jesteśmy sobie w stanie wyobrazić.Ale najpierw – prosty test. Czy potrafisz wskazać jakieś oburzające nadużycia dokonane przez polityków, których popierasz? Czy potrafisz podać przykłady mowy nienawiści stosowanej przez twoich ideowych pobratymców wobec twoich ideowych przeciwników?

Jeśli to niemożliwe, ponieważ oburzających nadużyć dokonują wyłącznie politycy, których nie popierasz, ci zaś, których popierasz, miewają co najwyżej pecha albo dają się niekiedy zwieść tym złym – podlegasz polaryzacji. Jeśli to niemożliwe, mowa nienawiści kieruje się bowiem tylko do twoich ideowych pobratymców, twoich ideowych przeciwników natomiast spotyka co najwyżej zasłużona (owszem, czasem może nieco za ostra, ale jednak zrozumiała) krytyka – podlegasz polaryzacji.

Czyli – co demonstrują badania opublikowane właśnie na łamach „Journal of Behavioural and Experimental Economics" – jednej z dominujących sił kształtujących życie społeczne i polityczne w USA (a w Polsce, z całą pewnością, co najmniej w równym stopniu). Dokonane przez Jonathana Halla ze szwedzkiego Uppsala University i Sama Whitta z High Point University w Północnej Karolinie analizy wskazują, że w ostatnich latach to zjawisko intensyfikuje się i rozszerza. Zwolennicy obu wiodących w Ameryce partii, republikańskiej i demokratycznej, nienawidzą się coraz bardziej właściwie z tygodnia na tydzień.

Ale to nie wszystko. I nie tylko w USA, bo także w Wielkiej Brytanii, Belgii oraz Hiszpanii. Z innych publikacji, jakie ostatnio ujrzały światło dzienne – m.in. tekstu Edwarda Carminesa i Rity Nassar, który ukazał się na łamach „Journal of Elections, Public Opinion and Parties" – wynika, że uprzedzenia polityczne są dziś źródłem antagonizmów głębszych i rozleglejszych aniżeli uprzedzenia na tle... rasy, religii, języka czy pochodzenia.

Słowem, nienawidzimy się coraz bardziej, a fundamentalnym agregatem tej nienawiści jest polityczna przynależność. To ona dzieli nas mocniej niż cokolwiek innego, a proces ten systematycznie się pogłębia. I – wbrew pozorom oraz utartym przekonaniom – wykształcenie, wiedza, obycie, wcale przed tym nie chronią. Przeciwnie – zdobyte dyplomy pozytywnie korelują z intensywnością motywowanych politycznie uprzedzeń. Im lepsza edukacja, tym więcej pogardy i niechęci do tych, którzy wybierają inaczej. A zarazem – tym większa ślepota na własną pogardę i niechęć.

Co z tego jednak wynika?

Po pierwsze – pogrążanie się zachodnich społeczeństw w coraz większej ułudzie. Im mocniej umysł się polaryzuje, tym bardziej zatapia się w świecie własnych projekcji i fantazji. Czyli tym jest dalej od rzeczywistości. Przy czym tę ostatnią da się modelować podług ideologicznych interesów tylko w ograniczonym stopniu. Na umysł, zwłaszcza zatopiony w sobie, można natomiast wpływać niemal bez limitów.

Po drugie więc – coraz mniej wolności. Rodzi się ona przecież m.in. ze zdolności do rozpoznawania uwarunkowań i ograniczeń, nauki na błędach, wyciągania wniosków na podstawie uczciwej analizy własnych doświadczeń. Polaryzacja zaś całe zło, uwarunkowania, ograniczenia i błędy lokuje w innych. Tym samym – patrz punkt pierwszy – uniemożliwia realistyczną ocenę położenia w świecie. *Ergo* – prowadzi do zniewolenia.

Po trzecie – i być może dziś najważniejsze – więcej władzy w ręce spin doctorów i korporacji. Wpojenie ludziom przekonania, że identyfikacja polityczna jest sprawą życia i śmierci – i że wyznacza granice pomiędzy dobrem a złem, przyzwoitością a hańbą, patriotyzmem a zdradą, pięknem a ohydą – jest jedną z najdoskonalszych metod socjotechniki, jaką kiedykolwiek wynaleziono. Nieprzypadkowo wielkie międzynarodowe koncerny tak ochoczo podłączają się pod taką propagandę. Jedną ręką eksploatują pracowników, wykorzystują tanią siłę roboczą w krajach trzeciego świata i drenują lokalne rynki w sposób niemający nic wspólnego z żadną „wolną konkurencją". Drugą zaś – wdrażają rozmaite programy (rzekomo) emancypacyjno-równościowe wedle najnowszych wzorców politycznej poprawności. A potem dumnie obnoszą się ze swoją rzekomą szlachetnością i progresywizmem.

Uświadomienie sobie tych niebezpieczeństw wymaga tylko i aż jednego. Zrozumienia, że polaryzacja – a zatem skłonność do przemocy, mowy nienawiści i wykluczania odmiennie myślących – nie przydarza się wyłącznie „im". Że my także jej podlegamy. Ba, tańczymy, jak nam tylko polaryzacyjne nuty zagrają. W najlepsze zarzucamy innym to, co z równą zapalczywością usprawiedliwiamy u siebie. Dostrzegamy zło wyłącznie na zewnątrz. Używamy brutalnego języka wobec tych, którzy „nie są z nami", a zarazem podnosimy wielkie larum, kiedy ktoś użyje go wobec nas.

Tym samym narażamy się na trzy wymienione wyżej niebezpieczeństwa. Jak ich uniknąć, a przynajmniej ograniczyć prawdopodobieństwo ich wystąpienia? Na początek odpowiedzmy sobie raz jeszcze na pytania z krótkiego testu, od którego zaczął się niniejszy felieton. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności" i „Reguł na czas chaosu".

Z ODDECHEM

KRÓL POMIDOR

Nie da się bez niego żyć, przyznacie. Szczególnie teraz, w sezonie, raduje na śniadanie, obiad i kolację. I każdy z nas ma swoje sekretne źródło, z którego pochodzi ten skarb.

BARTEK KIEŻUN

Włoskie pomo d'oro, czyli złote jabłko, jakoś mieści się w głowie, nawet jeśli kolor się nie zgadza. Francuzi, jak to Francuzi, musieli namieszać i wyskoczyli z *pomme d'amour*, jabłkiem miłości. Tylko Hiszpanie trzymali się tego, co usłyszeli od Azteków i mówili na pomidora *tomatl*.

Z polskiej nazwy pomidora można wysnuć wniosek, że nad Wisłą pomidory pojawiły się razem z włoskimi kucharzami, bo przyczepiliśmy się do złotego jabłka – tyle że ułatwiliśmy sobie wymowę, wymieniając jedną samogłoskę. Trzeba jednak rozgryźć inną zagadkę. Skąd ten złoty kolor, skoro większość pomidorów w sklepie jest intensywnie czerwona? A może chodzi o kolor królów?

Pamiętajcie o przedrostkach

Na kulinarnej mapie świata pomidor pojawił się mniej więcej wtedy, kiedy Perykles kładł podwaliny pod ateńską demokrację. Było to około dwóch i pół tysiąca lat temu. Ówczesna demokracja była nieco kulawa, bo dotyczyła wyłącznie męskiej i bogatej części społeczeństwa, ale nie od razu przecież Rzym zbudowano. W tym samym czasie w Ameryce Środkowej też się działo, tyle że na niwie rolniczej: miłośnicy pomidorów zaczęli bardzo starannie selekcjonować ich nasiona.

Zanim do tego doszło, pomidory nijak nie przypominały tego, z czym dziś się kojarzą. Te pierwsze, pochodzące z zachodniej części Ameryki Południowej, były małe i twarde. Przypominały owoce wiśni. Niektóre z nich były czerwone, inne żółte.

Badania genetyczne potwierdziły, że te niewielkie pomidory narodziły się na terenach dzisiejszego Ekwadoru lub Peru. Zbierano je z rosnących dziko roślin, a ich duża ilość i powszechna dostępność owoców sprawiły, że nikt specjalnie nie zajmował się ich uprawą. Dla ich przetrwania niebywałe znaczenie miał fakt, że krzewy pomidorów były imponująco odporne i mogły rosnąć w zasadzie wszędzie. Niestraszne im były upały i silne wiatry, skoki temperatur czy brak wody.

Do upowszechnia pomidorów i osłabienia ich sił jako roślin przyczyniły się migracje rdzennych ludów Ameryki na północ i staranna selekcja nasion na terenie dzisiejszego Meksyku. Prace ogrodników sprawiły, że owoce (bo pomidory to owoce, a konkretnie jagody!) stawały się większe, a niejako przy okazji szalenie zróżnicowane. Pojawiły się pomidory

Sortownia pomidorów na targu w Dhunat Upazila w Bangladeszu.

ABDUL MOMIN / EAST NEWS

zielone i fioletowe. Sporo było żółtych. Miały wiele kształtów i rozmiarów.

Mieszkańcy Tenochtitlán, stolicy państwa Azteków, zajadali się nimi na surowo, a także w wersji gotowanej. Bardzo popularny był sos z pomidorów, którego używano do całego mnóstwa rzeczy. Wiadomo, że doprawiano go ostrą papryką wędzoną, podawano z kawałkami dyni albo z fasolą i grzybami. Rdzenni mieszkańcy składali także kolorowe owoce w ofierze bogom, wierząc, że każdy, kto zje nasiona pomidora, zostanie obdarzony mocą wróżenia i widzenia przyszłości.

Jeśli przyjrzeć się relacjom podróżników i pielgrzymów przybywających do Ameryki po 1492 r., wyjdzie jednak na jaw, że nie do końca wiadomo, co tak naprawdę Aztekowie jedli. Po swoim przybyciu Europejczycy zobaczyli, że na targach można kupić owoce o nazwie *xitomatl* oraz drugie podobne, na które mieszkańcy Tenochtitlán mówili *miltomatl*. Najeźdźcom przedrostki *xi-* oraz *mi-* niewiele mówiły, więc wszystkie podobne do pomidorów owoce nazywali tak samo: *tomatl*, czyli „spuchnięty owoc". A różnica była, wbrew pozorom, spora.

Xitomatl to pomidor, który pojawia się dziś na talerzach, *miltomatl* to miechunka pomidorowa, nazywana także meksykańską czereśnią, i po dziś dzień wykorzystywana w Meksyku do przygotowania *salsa verde*. Niektórzy z badaczy piszą wprost, że różne gatunki miechunki były w kulturze Azteków i Majów dużo ważniejszą rośliną niż pomidor.

Lot wilkołaka i inne skutki

Franciszkanin i etnograf Bernardino de Sahagún z prowincji Leon w Hiszpanii pojechał w XVI wieku do Meksyku i zapamiętał wielką różnorodność pomidorów na azteckim rynku w Tenochtitlán! Zapisał, że widział duże pomidory, małe pomidory, słodkie pomidory, duże pomidory wężowe, pomidory w kształcie sutków (czyżby odnotował obecność przodka słynnych neapolitańskich *Pomodorini del Piennolo del Vesuvio DOP*?) oraz pomidory w różnych kolorach, od najjaśniejszej czerwieni po najgłębszą żółć. Tyle że, oczywiście, nie wiadomo, czy nie wymieszał w relacji pomidorów i różnych gatunków miechunki.

Hernán Cortés, pakując ukradzione złoto na statki, zostawił także nieco miejsca na nasiona i w ten sposób pomidory dotarły do Europy. I mogło być wspaniale, gdyby nie fakt, iż od razu zauważono, że roślina jako żywo przypomina inne znane już w Europie, należące do rodziny psiankowatych. W mig wyłapano pokrewieństwo z wilczą jagodą – rośliną śmiertelnie trującą. Obsadzono więc pomidorami klomby i cieszono się tylko widokiem pięknych owoców w nieokreślonym kolorze. To znaczy, pomidory na pewno miały jakiś kolor, ale trudno dziś wywnioskować jaki, bo coraz więcej osób przypuszcza, że pierwsze europejskie pomidory były jednak... żółte.

W Neapolu opowiadają nawet, że pomidory zmieniły kolor dopiero wtedy, gdy posiano je w bogatych wulkanicznych glebach na zboczach ↦

Wezuwiusza. Choć oczywiście nie można tego wykluczyć, to nie przywiązywałbym się do tej plotki zbyt mocno, bo Włosi są mistrzami kulinarnych opowieści. Są bardzo przekonujący, nawet gdy nie mają najmniejszego oparcia w faktach.

Na pewno wiadomo za to, że w pomidorach zakochał się na zabój Ludwik XIV. Człowiek, który twierdził, że „Francja to ja", nakazał obsadzenie ogrodów w Wersalu pomidorami, by zadziwiać przyjaciół. Biegał od krzewu do krzewu, ciągnąc za sobą cały dwór, i pokazywał dziwną roślinę z małymi żółtymi kwiatkami oraz kolorowymi, często żółtymi kuleczkami.

I to właśnie ów żółty kolor jest źródłem „złotego jabłka", które nadal obecne jest w kilku słownikach. Za europejską nazwę pomidora odpowiada urodzony w Sienie włoski botanik i lekarz Pierandrea Mattioli, który w 1544 r. napisał, że w Europie pojawiła się nowa odmiana bakłażana. Zalecił też jednocześnie, by jeść pomidory z solą, pieprzem i oliwą, co akurat wydaje się dość dobrą intuicją. Musiało minąć dziesięć lat, by Mattioli zmienił zdanie. Nie w stosunku do dodatków smakowych, ale gatunku. W 1554 r. naukowiec orzekł, że pomidor to nie bakłażan i po łacinie nazywać się będzie *mala aurea*. W dosłownym tłumaczeniu na włoski pojawiło się *pomo d'oro*, czyli „złote jabłko".

Opętani miłością Francuzi, jak to Francuzi, musieli powiązać pomidora z łóżkiem i uwierzyli, że pomidor, mimo że trujący, to na pewno działa cuda z libido. Nazwali go więc „jabłkiem miłości". Wydaje się jednak, że możliwe jest także, iż pierwszy Francuz, któremu pokazano pomidory, był po prostu głuchy i nie dosłyszał, że jabłko jest złote, więc uzupełnił nazwę o własne fantazje i wyszło mu jabłko miłości. Jak mawiają niektórzy – połowę filmu wnosimy do kina sami.

Niemcy byli zdecydowanie bardziej metodyczni. Na widok pomidora orzekli (choć zdaje się raczej, iż zapożyczyli to od Linneusza, a ów od Galena), że nowa roślina podobna jest do wilczej jagody, ale większa, więc okrzyknęli ją *Wolfspfirsich* – wilczą brzoskwinią (logicznie, co nie?) i dorobili jej wszystkie cechy wilczej jagody. Pomidory miały sprawiać, że człowiek mógł latać i zamieniać się w wilkołaka.

Byle nie z cyną

Pod słońcem Toskanii złote jabłka wzbudziły zachwyt porównywalny z tym w Wersalu. Medyceusze oczarowani pomidorami nakazali ich uprawę w willi Torre del Gallo na wzgórzu górującym nad miastem, a zebrane pomidory polecali wysyłać w koszach do Florencji, by ozdabiać nimi stoły podczas wystawnych uczt. Nasiona otrzymali dzięki obecności na florenckim dworze Eleonory di Toledo, której ojcem był Pedro Álvarez de Toledo y Zúñiga, wicekról Neapolu, który do pomidorów miał ułatwiony dostęp dzięki ciepłym kontaktom z Madrytem.

Botanicy nie próżnowali. Badania naukowe potwierdziły intuicję. Rzeczywiście, pomidor należał do rodziny roślin psiankowatych i zawierał trujące substancje, jednakże w ilościach niezdolnych do wyrządzenia nikomu krzywdy. Liczone w tysiącach lat doświadczenia pomidorowe z Ameryki były tego najlepszym dowodem.

Była jednak jedna znacząca różnica. W Tenochtitlán nikt nie używał cynowych talerzy, popularnych w renesansowej Europie. Toksyczna solanina nikomu nie szkodziła, bo występowała głównie w pędach roślin – gorzej z naturalnym kwasem występującym w pomidorach. Kwas uwalniał ołów z cynowych naczyń, prowadząc do zatrucia organizmu, a czasem nawet do śmierci.

Najlepszym dowodem na niebezpieczeństwo cynowych naczyń niech będzie śmierć książąt mazowieckich Stanisława i Janusza, braci, którzy z ziemskim padołem pożegnali się odpowiednio w 1524 i 1525 r. Pomidorów nie jedli, a zmarli, wydawałoby się, w niewyjaśnionych okolicznościach. W związku z ich śmiercią dwie kobiety spalono na stosie, a podejrzany o przygotowanie trucizny aptekarz Jan Alantsee uciekł z Mazowsza do Krakowa, gdzie otrzymał list żelazny od króla i zaczął prowadzić aptekę na Grodzkiej. Następstwem śmierci młodych książąt było przyłączenie Mazowsza do Korony, a to od lat marzyło się królowej Bonie. Wnioski nasunęły się same: Włoszka otruła ostatnich Piastów, by podporządkować sobie kolejne ziemie.

Prawda była jednak mniej sensacyjna. Książęta z Mazowsza po prostu mieli problemy ze zdrowiem. Historycy jednym tchem wymieniają gruźlicę, kiłę oraz... podtrucie ołowiem. Mazowszanie uwielbiali pić wino z cynowych kubków, a z rachunków książęcych wynika, że przez lata pili na umór. Wracajmy jednak do pomidorów.

Koronacja

Kulinarnie na serio zajęto się pomidorami w XVII wieku. Antonio Latini, pracujący w Neapolu jako nadworny szef kuchni hiszpańskiego wicekróla, w 1692 r. wydał książkę pod tytułem „Lo scalco alla moderna", czyli „Nowoczesny zarządca", która oprócz wielu rad na temat prowadzenia domu i zarządzania służbą zawierała również przepisy kulinarne. Pierwszy z dwóch tomów dzieła Latiniego zawiera przepis na sos *alla spagnuola*, czyli sos po hiszpańsku, i jest to pierwsza zanotowana europejska receptura na sos pomidorowy. Europejska, podkreślam, bo w stolicy państwa Azteków sos pomidorowy był rzeczą zupełnie zwyczajną.

Sos Latiniego nijak nie przypominał tego, co dziś traktujemy jako oczywistość. W wydaniu królewskiego szefa kuchni powstawał z opiekanych na żarze pomidorów, które należało dokładnie obrać i posiekać razem z cebulą. Następnie koniecznie należało doprawić go papryczką chili i tymiankiem, a na koniec solą, oliwą i odrobiną octu. Nie był przeznaczony do makaronu. Na to trzeba było jeszcze poczekać. Sos Latiniego podawano wicekrólowi jako dodatek do pieczonego mięsa.

W kwestii pomidorowego sosu nie można też nie wspomnieć o Vincenzo Corrado, który przygotowywał eleganckie bankiety na dworze szlachty Neapolu, koordynując małą armię lokajów, służących i paziów, tak by uczty zachwycały nie tylko pomysłowo dobranymi daniami, ale też popisami choreograficznymi przywodzącymi na myśl taniec. Corrado w 1773 r. opublikował książkę „Il cuoco Galante" – podręcznik *haute cuisine*, który, jak łatwo się domyślić, zawierał przepis na sos pomidorowy.

Ippolito Cavalcanti pochodził z toskańskiej rodziny szlacheckiej. Jego przodkowie podjęli jednak decyzję o przeprowadzce do Królestwa Neapolu. Młody urodził się w Kalabrii,

ABDUL MOMIN / EAST NEWS

Badania naukowe potwierdziły, że **pomidory zawierają trujące substancje, jednakże w ilościach nieszkodliwych.** Liczone w tysiącach lat doświadczenia pomidorowe Ameryki były tego najlepszym dowodem.

ale wychował w cieniu groźnego Wezuwiusza i tam też opublikował w 1837 r. książkę „Cucina teorico-pratica", która była zbiorem przepisów kuchni włoskiej. Pracy tej poświęcił dwadzieścia pięć lat życia. Dla miłośników makaronu z sosem pomidorowym to ważne, bo tam znajduje się pierwszy przepis na to danie.

Dominator

Włosi nie byliby jednak Włochami, gdyby nie zaprzeczyli samym sobie. Część historyków kulinariów podaje, że pierwszą włoską książką kucharską, która zawierała ten przepis, była „L'Apicio Moderno", autorstwa rzymskiego kucharza Francesco Leonardiego. Miał on zapisać recepturę na makaron z pomidorami już w 1790 r., a Cavalcanti miał jedynie przepis upowszechnić. Z opinią tą nie zgadzają się oczywiście Neapolitańczycy, upierając się, że byli pierwsi.

Gwoli sprawiedliwości czuję się jednak w obowiązku dodać, że na pomysł wymieszania pomidorów z makaronem wpadli też Hiszpanie, a przepis znajduje się w książce „Nuevo arte de cocina", którą napisał niejaki Juan Altamiras. Był to pseudonim Raimundo Gómeza, franciszkanina pracującego w kuchniach klasztoru San Diego w Saragossie. Dzieło zawierało ponad dwieście przepisów na ekonomiczne jedzenie, dostępne nie tylko dla bogatych.

W tym samym mniej więcej czasie sos pomidorowy pokochały także inne regiony w Europie. Pochodzące z Ameryki jagody stały się popularne w Baskonii i w Prowansji, a także w Rosji, gdzie włoski kucharz gotował dla carycy Katarzyny Wielkiej. Na Europie się oczywiście nie skończyło.

Na Bliskim Wschodzie pomidory zostały wprowadzone do kuchni przez Johna Barkera, brytyjskiego konsula w Aleppo, pod koniec XVIII wieku. Jedni uważają, że to świetnie, inni nieco się smucą. Do tych drugich należy Vedat Başaran. Ten turecki szef kuchni i badacz historii kulinariów ze Stambułu przez lata czytał i tłumaczył książki o kuchni osmańskiej, i ponownie wprowadzał zapomniane potrawy na stoły Stambułu. Başaran nie ma najlepszego zdania o pomidorach. Mówi wprost, że zaszkodziły kuchni tureckiej. Ich pojawienie się sprawiło, że wszystkie dania zaczęły być duszone w pomidorach, co przyczyniło się do unifikacji smaku. Argument Vedata Başarana o unifikacji mogliby też przywołać mieszkańcy Lewantu, stawiając na stole szakszukę. To danie w przeszłości również nie miało nic wspólnego z pomidorami.

Pogawędkę na temat pomidorów ucięliśmy sobie z Başaranem na tarasie jego restauracji w Stambule i kiedy perorował, że pomidory są najgorsze na świecie, wróciłem myślami do menemenu – kultowego tureckiego śniadania. Bez pomidorów nie da się go przygotować. Kiwałem głową ze zrozumieniem, nie chcąc denerwować żywej legendy, ale pomyślałem jednak, że ci, których patelnia pełna jajek z pomidorami o poranku cieszy, na pewno są Johnowi Bakerowi wdzięczni.

Historycy twierdzą, że dzieje menemenu, bliskiego kuzyna dzisiejszej szakszuki, zaczynają się gdzieś na południu Francji lub Italii. Pracownicy winnic mieli zmieszać pomidory i paprykę zebrane z okolicznych pól z jajami kupionymi od mieszkańców wsi, wymyślając ten bardzo smaczny posiłek.

Król królów

Wędrując po targach w Stambule nie znalazłem jednak najlepszych pomidorów. Co więcej, mało tam było nawet pomidorów dobrych. Nie ma ich także na targach w Italii, gdzie z niewiadomych przyczyn wzbudzam popłoch, pytając o *pomodori dolci*. Włoski pomidor powinien być bowiem nieco zielony i twardy. Rozumiem, że taki jest obietnicą świeżości, ale tę mam za nic, bo za wzór pomidora robi mi wielki, nieregularny, czerwony jak czapka ewzonów pomidor z Grecji.

Kiedy po raz pierwszy zaszyłem się na Peloponezie, przez cały dzień nadstawiałem ucha. Czekałem na dźwięk klaksonu oznaczający, że pod domem przejeżdża mi właśnie targ, czyli wielka załadowana owocami i warzywami ciężarówka. Porzucałem wówczas lekturę i wybiegałem na ulicę, żeby przez przypadek kierowca nie odciął mnie od najlepszych pomidorów na świecie. Trzeba to bowiem głośno powiedzieć: pomidory wspaniałe, niepowtarzalne, pomidory najlepsze na świecie mają u siebie Grecy. Nie Włosi i nie Hiszpanie, tylko Grecy.

Po piętach depcze im jednak Pani Pomidorowa, sprzedająca różnokolorowe pomidory na jednym z krakowskich bazarów. Wybaczcie jednak – nie powiem wam, na którym. Za bardzo kocham bowiem pomidory, a sezon się kończy nieubłaganie.

© BARTEK KIEŻUN

Autor jest dziennikarzem i blogerem kulinarnym. Z wykształcenia antropolog kultury, z zamiłowania kucharz. Właśnie wydał kolejną książkę „Neapol. Łakomym okiem".

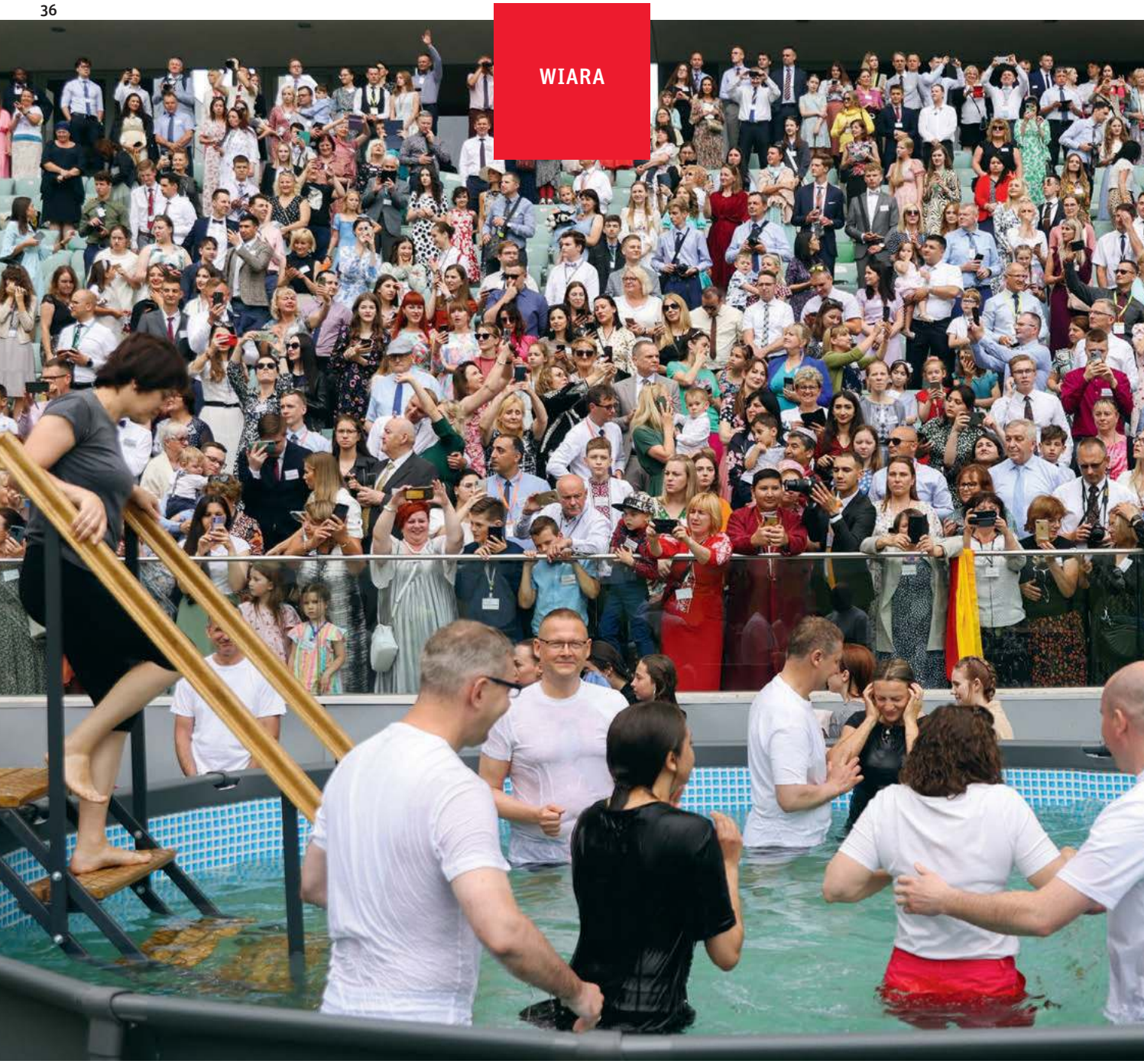

Doroczny kongres świadków Jehowy na stadionie Legii Warszawa, 24 czerwca 2023 r.

BEZ ŚWIADKÓW

Gdy zaginęła Izabela, wróciły kontrowersje na ich temat. W co wierzą świadkowie Jehowy i czym jest wykluczenie z ich społeczności?

ŁUKASZ GAMROT

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Izabela zaginęła w piątek 9 sierpnia. Ślad po 35-letniej kobiecie urwał się po rozmowie telefonicznej z ojcem, którego miała odebrać ze szpitala we Wrocławiu. Jej auto zepsuło się na autostradzie A4. Była godzina 19.30. Telefon został w środku. Dzwonił. Jedenaście dni później wygłodzona i wycieńczona kobieta zapukała do drzwi swoich znajomych w Bolesławcu. Poprosiła, żeby nie informować męża i rodziny o jej miejscu pobytu.

Poszukiwana przez świadków Jehowy

W niedzielę, dziewięć dni wcześniej, 120 świadków Jehowy przeszukiwało okolicę, w której zaginęła Izabela. Pojawiły się informacje, że kobieta nie mieszkała z mężem. Świadkowie Jehowy szukali na stacjach kolejowych, w hostelach i okolicznych miejscowościach. Rozwieszali plakaty. W sobotę, 17 sierpnia policjanci przeprowadzili blokadę na odcinku drogi A4, na którym zaginęła Izabela. Do akcji wkroczyły psy tropiące. W poniedziałek 19 sierpnia prokuratura w Jeleniej Górze podjęła decyzję o wszczęciu śledztwa w sprawie porwania Izabeli P. W sieci pojawiało się nagranie zarejestrowane 9 sierpnia około godziny 21, z którego wynika, że za samochodem pozostawionym na autostradzie stał radiowóz policyjny z włączonymi sygnałami świetlnymi. Nastąpił przełom. We wtorek przed godziną 14.00 do mediów przedostała się informacja, że poszukiwana kobieta pojawiła się w Bolesławcu, u swoich znajomych i nie życzy sobie kontaktu z rodziną. Jest wykończona. Trafia do szpitala. Jej życiu nie zagraża niebezpieczeństwo.

Co roku w Polsce znika 18 tys. osób. Puste auto przy autostradzie i kobieta, która zostawiła telefon wewnątrz rzadko przebijają się do mediów. Wzmianka o tym, że 35-letniej szczupłej blondynki poszukuje ponad setka świadków Jehowy błyskawicznie rozniosła się w sieci. Insynuacje i komentarze skupiły się na jednej z najstarszych i najliczniejszych grup wyznaniowych w Polsce. Dlaczego jej szukają? Czy Izabela próbowała uciec ze zboru?

Świadkowie Jehowy wciąż fascynują, bo ich białe koszule, ciemne garnitury, schludne spódnice za kolano i wypastowane lakierki lśnią na ulicach wielkich miast, jednocześnie skrywając ciche tajemnice, które zrozumieć można wyłącznie będąc częścią organizacji.

Ochotnicy budują Salę Królestwa

7 sierpnia na lokalnym portalu informacyjnym związanym z Bolesławcem pojawia się artykuł dotyczący nowej inwestycji w regionie. Świadkowie Jehowy budują Salę Królestwa z salą wykładową i 160 miejscami siedzącymi. Parking pomieści 34 auta. Na zebraniach pojawią się głównie rodziny z dziećmi. Do udziału w budowie zgłosiło się stu ochotników, którzy w większości pomagają bezpłatnie. Mężczyźni, kobiety, młodzież, specjaliści i osoby, dla których taka praca to sposób na naukę. Osiemnastoletni ochotnik wspomina, że to będą najlepiej spędzone wakacje w jego życiu.

Sala Królestwa to jeden z ponad 660 tego typu budynków w Polsce i jeden z 63 tys. na świecie. Nadzór i własność nad budową Sal Królestwa na całym świecie sprawuje Ogólnoświatowy Dział Projektowo-Budowlany, który ma siedzibę w Biurze Głównym Świadków Jehowy. Podlega on pod Komitet Wydawniczy Ciała Kierowniczego Świadków Jehowy.

W artykule nie ma informacji o tym, że większość, jeżeli nie wszyscy ochotnicy to członkowie lokalnego zboru świadków Jehowy. W Polsce społeczność wyznaniowa liczy 116 307 głosicieli, czyli osób, które oficjalnie uczestnicą w służbie kaznodziejskiej. Na koniec miesiąca składają sprawozdanie ze służby, wskazując liczbę godzin, które spędzili głosząc oraz liczbę i rodzaj wręczonych podczas służby materiałów, takich jak czasopismo „Strażnica", książki, traktaty. Nie każdy świadek Jehowy musi być głosicielem. W praktyce trudno, żeby było inaczej.

Nadzorcy, słudzy i wykluczeni

Świadkowie Jehowy należą do zborów, których w Polsce jest 1267. Każdy zbór liczy około 100 osób. Dlatego z jednej Sali Królestwa korzystają zazwyczaj dwa zbory. Zbory łączą się w obwody, a obwody w okręgi. Do każdego obwodu i okręgu przypisany jest nadzorca, który regularnie odwiedza zbór. To duże wydarzenie w życiu społeczności. Nadzorcy zatrzymują się zazwyczaj u jednej z rodzin, ale każdego dnia swojej dwutygodniowej wizyty odwiedzają innych członków zboru podczas obiadów i kolacji. W większości ochotnicy znajdują się błyskawicznie. To przywilej gościć u siebie nadzorcę, który zazwyczaj przywozi ze sobą ciekawe opowieści. Kiedy jesteś dzieckiem, chłoniesz każdą z nich. Nadzorcy są jak superbohaterowie, którzy odmawiają najlepsze modlitwy, szkolą z praktycznych metod głoszenia, wygłaszają wykłady soczyste od porównań i przykładów. Kiedy mieszkasz w dwudziestotysięcznej miejscowości, to naprawdę robi wrażenie.

Zdarza się, że starsi zboru, czyli doświadczeni świadkowie Jehowy ↦

↦ sprawujący funkcje nadzorcze, sugerują wybór członków zboru, których nadzorca powinien odwiedzić. To osoby, które potrzebują wsparcia duchowego albo borykające się z jakimiś problemami, nierzadko nieczynni głosiciele lub rodziny, w których jedna z osób jest „wykluczona" ze społeczności. Nadzorcy zboru, obwodu, okręgu nie pobierają wynagrodzeń za pełnione funkcje. Podobnie jak głosiciele, pionierzy stali (osoby, które zobowiązują się przeznaczać stałą liczbę godzin na działalność kaznodziejską, minimum 600 rocznie) i pomocniczy (min. 30 godzin w służbie miesięcznie), słudzy pomocniczy (funkcja nadzorcza, wspierają starszych), przewodniczący zboru. Każdy z nich wykonuje swój niezależny zawód, ma normalną pracę i rodzinę.

Po każdym zebraniu (spotkaniu/nabożeństwie w Sali Królestwa) inna rodzina zostaje godzinę dłużej. Trzeba posprzątać budynek i przygotować do kolejnego zebrania. W międzyczasie co najmniej dwójka braci (członkowie wspólnoty nazywają się braćmi i siostrami) podchodzi do drewnianych skrzynek z napisami: „dobrowolne datki" umieszczonych dyskretnie, przy wejściu na Salę Królestwa. Dwa razy w tygodniu, po każdym zebraniu, wyciągają kilka banknotów i monet. Raz w miesiącu podczas zebrania odczytywane jest oficjalne sprawozdanie finansowe z wpływami i kosztami. Zbór finansowany jest z datków wyznawców. Druga ze skrzynek to skarbonka, w której zbierane są datki dla „ogólnoświatowej działalności świadków Jehowy". To pieniądze, które przekazywane są dla Towarzystwa Strażnica. Z nich oficjalnie finansowane są drukowane czasopisma i inna działalność organizacji. Środków zazwyczaj nie brakuje.

Koszt wiary

O świadkach Jehowy mówi się i pisze głównie z perspektywy kontrowersyjnych przekonań, które we wczesnych latach dziewięćdziesiątych i dwutysięcznych elektryzowały opinię publiczną. Odmowa transfuzji krwi w przypadku zagrożenia zdrowia wydaje się przecież co najmniej nierozsądna. Jeżeli dotyczy dziecka i decydują się na to rodzice, zakrawa wręcz na bestialstwo. Każdy dorosły świadek Jehowy co roku wypełnia dobrowolne oświadczenie, które wkłada do swojego portfela. To informacja dla służb medycznych, że w przypadku sytuacji, która zagraża jego życiu lub zdrowiu nie zgadza się na przyjęcie transfuzji krwi. Dzieci-głosiciele noszą podobne oświadczenia wypełnione przez ich rodziców. Zazwyczaj wypełniają je wspólnie. Aktualizują je co roku. Na oświadczeniu podają kontakt do współmałżonka lub do starszego w zborze, który może udzielić szczegółowych informacji. W każdym zborze znajduje się przeszkolona ds. kontaktów ze szpitalami osoba, która w razie wypadku, w którym uczestniczył świadek Jehowy, pojawia się w szpitalu i informuje lekarzy o procedurach. Kładzie się bardzo duży nacisk na substytuty krwi, które można podać takiej osobie.

Świadkowie Jehowy robią to ze względów religijnych, nie medycznych. Podobnie jak niektóre kobiety, które nie godzą się na aborcję nawet w przypadkach zagrażających ich życiu. Dzieci postępują zgodnie z wiarą rodziców. Zdarzają się przypadki, że umierają. Taki bywa koszt wiary.

Koszty wiary zazwyczaj liczone są przez osoby, których wiara nie dotyczy. Podliczane precyzyjnie są przez świadków Jehowy, którzy odłączają się od społeczności lub zostają z niej wykluczeni.

Świadkowie Jehowy nie spożywają alkoholu. Po prostu uważają, że upijanie się nie jest właściwe. Trudno się z tym nie zgodzić. Nie palą. Starają się nie kłamać, nie kraść, nie cudzołożyć. Żyją wedle zestawu zasad, które są tożsame z biblijnymi zasadami stosowanymi przez większość chrześcijan. Jednak wyróżniają się w tłumie. Czyżby kłuli w oczy, bo można żyć inaczej?

Ludzie ze „świata", ludzie szatana

Świadkowie Jehowy posiadają monopol na prawdę. Pewnie tak jak większość religii. W przypadku wielkich religii, jak katolicyzm, ten monopol został oswojony, przeniknął do naszej codzienności za pośrednictwem tradycji. Przez tysiąclecia i swoją masowość stępiły mu się zęby i nabrał kolorytu milionów wyznawców.

Świadkowie Jehowy są społecznością ekskluzywną. Nie ma w niej miejsca dla myślących inaczej. Odstępstwo od zasad ma jasno sprecyzowane konsekwencje: wykluczenie. I wykluczenie to funkcjonuje na wielu poziomach. Pierwszy z nich to odcięcie od wszystkiego, co oferuje tak zwany „świat", czyli rzeczywistość poza organizacją.

Czym on tak naprawdę jest? „Świat" to twoja babcia niebędąca świadkiem Jehowy, twoja nauczycielka, przyjaciel ze szkoły, książki fantasy, komiksy, muzyka popularna. To wszystko są elementy pochodzące ze „świata" i skażone złym wpływem szatana, który w religii świadków Jehowy jest bardzo realną postacią. To nie metaforyczna zła siła, tylko upadły anioł, który wraz z demonami przebywa na Ziemi i próbuje za wszelką cenę odciągnąć Cię od służenia Jehowie, przy okazji chcąc zniszczyć świadków Jehowy. Robi to, podstępnie kusząc członków do popełniania grzesznych występków, jak i atakując organizację. Dlatego każdy przejaw krytyki organizacji jest działaniem diabła. Również krytyki wewnętrznej, która jest niedopuszczalna.

Jedyną wykładnią właściwego postępowania jest literatura świadków Jehowy oraz pełniący funkcje nadzorcze doświadczeni świadkowie Jehowy. Zawsze są to mężczyźni. Najbardziej podstawową jednostką sprawowania władzy w organizacji jest rodzina, gdzie władzę wykonawczą sprawuje ojciec, który jest rodziny głową. Oczywiście żona wspiera go przy wykonywaniu funkcji nadzorczych i duszpasterskich, ale zarówno ona, jak i dzieci podlegają wyłącznej władzy ojca.

Co czeka odstępców i ludzi ze świata? Śmierć w Armagedonie. Tylko posłuszni odziedziczą Ziemię, czyli dostąpią przywileju życia wiecznego w Raju, który zapanuje pod rządami Jezusa Chrystusa i 144 tysięcy „pierwszych owiec", czyli powołanych spośród świadków Jehowy do rządzenia w niebie po ogólnoświatowym zmartwychwstaniu. Reszta zginie w Armagedonie.

A co czeka „niegodziwców" po śmierci? Nic. Pustka. Ciemność. Świadkowie Jehowy nie wierzą w duszę ani w życie po śmierci. Dlatego zostaje im życie w organizacji, którym zasłużą sobie na miejsce w Raju (miejsca w niebie są już zarezerwowane) lub zmartwychwstanie (dla tych, którzy nie doczekają) – jeżeli będą służyć Jehowie w sposób odpowiadający wytycznym przekazywanym regularnie w literaturze Towarzystwa Strażnica.

Całkowite wymazanie

Kiedy nadejdzie Armagedon? Już. Za chwilę. Może jutro. Na pewno niedługo. Żyjemy w tak zwanych „dniach ostatnich", więc poczucie nadchodzącej zagłady towa-

KRZYSZTOF CESARZ / PAP

Policja prowadzi poszukiwania śladów zaginionej Izabeli P. na autostradzie A4 koło Kwiatowa, 17 sierpnia 2024 r.

rzyszy dzieciom od momentu, w którym nauczą się mówić. Jedne z pierwszych obrazków w przeznaczonych dla dzieci książkach „Opowieści Biblijne" pokazują świat zamieszkiwany przez „niegodziwców", których do nogi wytopił w Potopie Jehowa. I już niedługo wydarzy się dokładnie to samo, tyle że z powierzchni Ziemi znikną sklepy wielkopowierzchniowe, żłobki, sierocińce oraz ty i twoja rodzina. Chyba że jesteś świadkiem Jehowy.

To dość mocna motywacja, żeby w wierze trwać i przychodzić na cotygodniowe zebrania, głosić i nie negować prawd, które Jehowa przekazuje głosicielom w Bolesławcu za pomocą czasopisma „Strażnica", a do którego trafia dzięki bezpośredniemu kanałowi komunikacji, jakim jest „niewolnik wierny i roztropny", czyli ciało kierownicze świadków Jehowy przygotowujące „duchowy pokarm" dla członków organizacji. Dlatego wszelkie niepożądane myśli, słowa, książki i artykuły są zakazane. Niemile widziane są również studia wyższe i rozwijanie pasji, które odciągają od zboru i narażają cię na kontakt ze „światem". I dlatego też wykluczenie jest tak radykalne. Nie ma odcieni szarości, bo osoba pozostająca poza organizacją może mieć zły wpływ na członków zboru. Może zmącić wodę w tym gładkim i spokojnym stawie.

Wykluczenie to całkowite wymazanie. Wykluczenie to niepodawanie ręki przez ludzi, wśród których się wychowałeś. Wykluczenie to rodzice, którzy z dnia na dzień przestają odzywać się do swoich dzieci. Wykluczenie to utrata znajomych, przyjaciół, społeczności, wspólnej modlitwy przed każdym posiłkiem, wspólnego czytania codziennych fragmentów Pisma Świętego, wspólnego przygotowywania się do służby, komentowania wypowiedzi współbraci w wierze podczas wykładów na zebraniach. Wykluczenie to samotność, na którą skazują się osoby, które nie chcą postępować zgodnie z zasadami świadków Jehowy.

Dlatego niektórzy wybierają ucieczkę. Dlatego niektórzy pozostają w zawieszeniu, nie pozwalając się wykluczyć, ale ucinając kontakt ze zborem.

Żeby wykluczyć świadka Jehowy, należy przeprowadzić cały proces, w którym ważną rolę odgrywają świadkowie potwierdzający grzeszne postępowanie wyznawcy, komitet sądowniczy, który prowadzi rozmowy z taką osobą, ocena „kategorii" grzechu oraz tego, czy oskarżony wyraża skruchę. Jedną z bardziej krzywdzących dla kobiet zasad w organizacji jest ta, która stanowi, że kobieta, z którą rozwiódł się mąż, nie może wyjść za mąż ponownie, jeżeli przyczyną rozwodu nie było cudzołóstwo męża. Zazwyczaj rozwód to jedna z przyczyn wykluczenia.

Raz wykluczony może wrócić do organizacji, ale po dłuższym okresie, w którym współwyznawcy traktują go jak powietrze. Jeżeli zależy mu na powrocie, to poza wstydem, jakiego doznaje, słysząc publiczne oświadczenie wygłaszane przed całym zborem, że zostaje wykluczony i nie jest dłużej „naszym bratem", musi mieć świadomość wstydu, który będzie towarzyszył mu przez kolejne miesiące, a nierzadko lata. Przychodząc na zebrania, nie ma prawa zabierać głosu, siada z tyłu i ponad sto par rąk i oczu braci i sióstr, których znał od trzydziestu lat, prześlizguje się przez niego z zimną obojętnością. Dwukrotnie. Każde zebranie zaczyna się i kończy podaniem rąk. Każde.

Na dobre i na złe

Świadkowie Jehowy to organizacja, która daje poczucie przynależności do społeczności. Jest to przynależność warunkowa. Przynależność na zasadach, które nie są przed nikim ukrywane, po prostu nie zdajesz sobie z nich do końca sprawy. W szczególności, kiedy rodzisz się w rodzinie świadków Jehowy. One po prostu są. Żyjecie w symbiozie. Do czasu.

Świadkowie Jehowy to społeczność, w której 120 niespokrewnionych ze sobą osób organizuje się, żeby przeczesać hostele, stacje kolejowe i wioski w poszukiwaniu żony jednego ze swoich braci. To społeczność, w której dobrowolność datków, służby, pracy jest zupełnie naturalna. Świadkowie Jehowy to sposób organizacji życia i czasu w sposób totalny, poprzez zajęcia i działania, w większości dobrowolne, ale bez których niemożliwe jest bycie częścią tej społeczności: zebrania dwa razy w tygodniu (dawniej odbywały się trzy razy w tygodniu), służba kaznodziejska, zgromadzenia obwodowe i okręgowe w salach kongresowych, przygotowanie do zebrań, przygotowanie do wykładów, spotkania między członkami społeczności, rodzinne studia Pisma Świętego, obozy pionierskie...

Świadkowie Jehowy to organizacja, w której nie ma przestrzeni na niebycie świadkiem Jehowy. Nie ma na to czasu, bo świadkowie Jehowy przychodzą na świat, żyją i umierają w „dniach ostatnich".

Świadkowie Jehowy to samotne życie osób wykluczonych z organizacji, przypominające pobocze autostrady, na której stoi porzucone auto. W środku ktoś zostawił telefon. Nikt nie dzwoni.

© ŁUKASZ GAMROT

Autor jest poetą („Żółć", 2020), pisarzem (pracuje nad powieścią „Zbór"), był dziennikarzem. Prowadzi firmę w branży consultingowej i podkast biznesowy Meet Your Client. Mieszka na stałe w Toskanii. Wychowywał się w rodzinie świadków Jehowy.

PONTIFICAL ATHENAEUM W PUNE / MATERIAŁY PRASOWE

Prof. Francis Gonsalves (w środku), rektor Pontifical Athenaeum – Jnana Deepa, przy stole z pracującymi w seminarium siostrami (pierwsza z lewej to s. Patricia), Pune, lipiec 2023 r.

Gender w indyjskich seminariach

ZUZANNA RADZIK

Feministyczna teologia uczona w każdym seminarium i domu formacyjnym? Dobrze pamiętam, jak z niedowierzaniem czytałam ten punkt zaleceń biskupów Indii.

Gdy w 2010 r. episkopat Indii przegłosował dokument „Polityka genderowa Kościoła katolickiego w Indiach", wszyscy przecierali oczy ze zdumienia, że coś takiego jest w ogóle możliwe. W polskich kręgach katolickich antygenderowa histeria nie rozpętała się jeszcze na dobre , a w Indiach już istniał przyjęty przez biskupów dokument używający słowa „gender". Drogę do niego wykuły pokolenia hinduskich katolickich feministek i ich współpraca z episkopatem (który okazał się na nią gotowy). Pozostawała obawa, że zalecenia pozostaną na papierze.

Najmniej wierzyłam w możliwość wprowadzenia w życie zapisu o nauczaniu teologii feministycznej we wszystkich domach formacyjnych i seminariach. Być może dlatego, że z perspektywy kraju, w którym teologia feministyczna jest na wydziałach kościelnych dziedziną wyklętą, ten postulat wydawał się zupełnym *science fiction*.

A teraz spotkałam ją: zakonnicę, którą wysłano na studia wyższe, by ten postulat stopniowo wprowadzać w życie.

Ze slumsów na uczelnię

– Moi profesorowie poprosili mnie, żebym dołączyła do wydziału teologii Jnana Deepa Institute w Pune jako kierowniczka centrum studiów kobiecych, więc musiałam się przygotować – siostra doktor Patricia Santos RJM tłumaczy mi, czemu po ośmiu latach pracy w slumsach Bombaju wróciła na studia. – Proponowali mi to już kilka lat wcześniej, ale wtedy myślałam, że moją teologię dobrze jest stosować oddolnie. Duży wpływ wywarły na mnie teologia wyzwolenia i opcja na rzecz ubogich. Dopiero zaczynałam swoje życie w zgromadzeniu zakonnym i chciałam pracować z ubogimi.

Była szczęśliwa, przebywając z ludźmi i służąc im. Ale codzienne słuchanie ich historii było trudne. Zwłaszcza historii kobiet maltretowanych. Nawet jeśli finansowo nie mogły sobie pozwolić na posiadanie dzieci, miały ich trójkę czy czwórkę. – Pracowałam tak przez siedem lat. Po szóstym roku poczułam, że potrzebuję czegoś więcej – wyjaśnia s. Santos. – Jedną rzeczą jest słuchanie i praca charytatywna, pomoc w edukacji, dożywianie. Ale pozostaje pytanie, jak przerwać ten cykl. Myślenie teologiczne zmuszało mnie do refleksji, jak zmienić ich sytuację. Dlatego poczułam, że potrzebuję dalszej edukacji – wyjaśnia.

A ja po lekturze jej doktoratu już wiem, że szukając czegoś więcej, nie straciła tych pierwszych ośmiu lat, które sprawiły, że stoi blisko badanych kobiet.

Teologię uprawiała na marginesach Kościoła, zanim stało się to modne w erze papieża Franciszka. Kiedy ją o to dopytuję, wyjaśnia: – Chodzi o to, by naprawdę słuchać teologii, która pochodzi od ubogich. Zostali wykluczeni, a są zdolni do ofiarowania wglądu w sprawy wiary. Za-

wsze byli „przedmiotami” teologii, ale teraz staramy się patrzeć na nich jak na jej podmioty. Mają do zaoferowania swoje pytania, swoje świadectwo, sposób, w jaki praktykują wiarę.

„Nie jestem feministką”

Początkowo wcale nie chciała studiować teologii feministycznej ani nawet dołączyć do ruchu kobiecego. Myślała, że są w nim kobiety, które mają coś przeciwko mężczyznom, a ona się z tym nie utożsamia. Zdanie zmieniła pod wpływem pracy z ubogimi. – Kiedy ponownie zapytano mnie, czy chciałabym pracować w centrum studiów nad kobietami, natychmiast się zgodziłam – mówi i opowiada o swojej edukacyjnej ścieżce.

Najpierw w Bostonie ukończyła kursy psychologii kobiet i dotyczące przemocy domowej, ale przyglądała się także kobietom w Starym i Nowym Testamencie. Potem skończyła studia doktoranckie na Katolickim Uniwersytecie w Leuven. – Nie jestem radykalną feministką – zastrzega. – Jestem osobą, która patrzy w kategoriach pełnego rozwoju na życie kobiet. Nie lubię używać słowa *empowerment* (równouprawnienie/wzmocnienie), przyjmuje ono sens agresywny. Wszyscy jesteśmy stworzeni przez Boga i mamy równą godność. Ale dlaczego są tacy, którzy zawsze są ofiarami nadużyć lub przemocy? Dlaczego kobiety muszą cały czas żyć w strachu? Niektóre radykalne feministki próbują oddzielić się od mężczyzn. Myślę, że jest wielu wspierających mężczyzn, którzy są przekonani, że kobiety są dyskryminowane, i będą z nami współpracować. Można pracować razem, aby doprowadzić do równości.

Jak to się robi

Swój doktorat z teologii napisała metodą bardzo etnograficzną. Kiedy przyjechała do Leuven na studia doktoranckie, z jakiegoś powodu umieszczono ją w instytucie teologii praktycznej. Tłumaczono, że będzie miała większą swobodę w badaniu kwestii dotyczących kobiet. Teologia praktyczna patrzy na kwestie sprawiedliwości społecznej z perspektywy życia codziennego. W efekcie jej badania skupiły się na katolickich organizacjach pracujących na rzecz wzmocnienia kobiet. Zadała sobie pytanie: Co tak naprawdę powstrzymuje kobiety przed doświadczaniem pełni życia i jakie są możliwości, aby mogły tego doświadczyć? Jak jednostki i organizacje mogą im pomóc?

Przyglądała się metodzie patrz-oceń-działaj, znanej z katolickiej nauki społecznej i zapoczątkowanej przez belgijskiego kardynała Josefa-Léona Cardijna. – Wydawało mi się, że to bardzo zdystansowane podejście, w którym cała odpowiedzialność spoczywa na badaczu. To badacz zastanawia się nad sytuacją i ją ocenia, nie ma tu interakcji – wyjaśnia swoje metodologiczne zastrzeżenia s. Santos.

– Zastosowałam metodę teologicznych badań w działaniu, które wyłamują się z tego schematu. Opierają się na badaniach uczestniczących, w których odpowiedzialność nie spoczywa wyłącznie na badaczu, ale jest dzielona z uczestnikami badania. Wspólnie próbują dowiedzieć się, na czym polega problem, a także szukać rozwiązań. Do tej socjologicznej metody teologiczne badania w działaniu dodają wymiar wiary i Boga – mówi s. Santos o swoim podejściu badawczym.

Postanowiła zatem włączać grupę, której problemy są badane, w analizę teologiczną. Jak to się robi?

– Niczego nie zakładam. Zaczynam słuchać kobiet, wchodzić z nimi w interakcje, obserwować, a następnie w oparciu o historie, którymi się dzielą, próbuję zobaczyć, jakie tematy się wyłaniają – wyjaśnia pierwsze etapy swojej pracy. – Następnie wspólnie weryfikujemy, czy są to naprawdę kwestie, które ich dotyczą. Potem zastanawiamy się, w jaki sposób możemy znaleźć rozwiązanie. Najpierw angażuję się w empatyczną rozmowę, a następnie staram się skłonić kobiety do krytycznego myślenia. W przeciwnym razie zatrzymamy się na opowiadaniu historii, a tu ważne jest skłonienie ich do odpowiedzi, w czym tkwi problem – tłumaczy.

Teologia dnia powszedniego

Uderza mnie, jak bardzo socjologiczne jest jej podejście. – Wprowadzenie aspektu teologicznego ma na celu skłonienie kobiet do refleksji z perspektywy wiary i poczucia sensu – odpowiada na moje wątpliwości. I ciągnie: – Uczestniczki badań mówiły: badacze zawsze przychodzili z zestawem pytań, ale nikt nigdy nie zapytał nas, jaki widzimy sens naszej pracy, co nas wzmacnia. Gdy pytałam, czy ich religia odgrywa jakąkolwiek rolę w ich życiu, odpowiadały, że nie. Ale kiedy odwróciłam pytanie i zapytałam, co tak naprawdę daje poczucie sensu, mówiły o Bogu i wierze. Przyznały, że refleksja nad tym, co nadaje sens życiu, była podnoszącym na duchu doświadczeniem.

Zazwyczaj uprawianie teologii kojarzy się z analizą Pisma Świętego i tradycji. Siostra Santos idzie do ludzi i rozmawia z nimi o tym, jak zdefiniować i rozwiązać ich problemy. Jak to się ma do teologii?

– Oba podejścia są potrzebne – mówi wykładowczyni z seminarium w Pune w Zachodnich Indiach. – Potrzebujemy teologii akademickiej, fundamentalnej i dogmatycznej, ale potrzebujemy też tej drugiej, praktycznej strony. W przeciwnym razie teologia stanie się zbędna, bo nie będzie dotyczyła naszej dzisiejszej sytuacji.

A ja przypominam sobie pogardę, z jaką wielu dogmatyków mówi o teologii pastoralnej czy praktycznej.

Czy tego właśnie uczą studentów w seminarium w Pune? – Przywiązujemy dużą wagę do części teoretycznej, nauk teologicznych, wykładu wiary, Biblii. Ale studenci wiedzą, jak to wszystko zastosować w praktyce – odpowiada.

Skąd wiedzą? Na to też ma odpowiedź: – Co tydzień chodzą do parafii, slumsów, pracują z ubogimi. W ramach każdego kursu muszą kontekstualizować to, czego się nauczyli. Czyli umieszczać teologię w realiach danego miejsca i grupy społecznej. Pod koniec drugiego roku mamy projekt teologii kontekstualnej, w którym cały rocznik podejmuje jeden konkretny temat i dowiaduje się od ludzi, czy treść studiów pokrywa się z ich doświadczeniem.

Przykłady? Po pandemii studenci zadali pytanie, gdzie był Bóg w tym całym doświadczeniu, jak ono wpłynęło na ludzi.

Kto zjada resztki?

Kampus w Pune jest w przeważającej mierze męski. Wśród 700 studentów tylko 50 to kobiety. Siostra Santos jest jedyną wykładowczynią na wydziale, więc co roku ma trudne zadanie, by przekonać studentów o znaczeniu teologii feministycznej. Jak jej to idzie?

– Na początku zawsze jest dystans. Nie rozumieją, czego jeszcze kobiety chcą, skoro coraz częściej robią kariery zawodowe. Podejrzewają, że kobiety chciałyby święceń kapłańskich, a to dla nich postulat trudny do przyjęcia – opowiada o reakcjach studentów. – Tłumaczę im, ↦

↦ że nie ma powodu, dla którego kobiety nie mogą być wyświęcane, ale najwyraźniej Kościół wciąż potrzebuje na to czasu. Pokazuję im filmy dokumentalne, słuchamy ludzi dzielących się swoimi doświadczeniami i wtedy zaczyna do nich docierać, o co chodzi w teologii feministycznej. Rozmawiamy o ich rodzinach: kto podejmuje decyzje w domu? Kto zjada resztki? Zaczynają zwracać uwagę na przejawy dyskryminacji.

Jej kurs jest obowiązkowy na pierwszym roku studiów, musi go zrobić każdy seminarzysta. Zwycięstwo polityki sprzed 14 lat! Siostra Santos przyznaje, że wciąż nie dzieje się tak we wszystkich seminariach. Czasem uczą czegoś na temat studiów kobiecych lub historii kobiet.

Problem tylko w tym, że na pierwszym roku trudno wyjaśnić wszystko, ponieważ studenci nie mają podstawowego zrozumienia teologii. – Co ciekawe, po tym, jak ja zaczęłam uczyć, wielu profesorów zaczęło wprowadzać feministyczne lektury teologiczne do swoich kursów – zauważa. – Zatem niezależnie od tego, czy chodzi o studia biblijne, systematyczne czy pastoralne, studenci dostrzegają feministyczną perspektywę teologiczną. Niektórzy wykładowcy zadają nawet pytania związane z teologią feministyczną podczas egzaminów.

Jak reagują studenci? W końcu Indie, oprócz polityki genderowej katolickiego episkopatu, mają wiele problemów z przemocą wobec kobiet i nierównościami, których te doświadczają.

ARCHIWUM PRYWATNE

S. Patricia Santos

Santos przyznaje, że dla niektórych studentów kurs teologii feministycznej jest trudny do przyjęcia: – Niektórzy studenci pochodzą z południa Indii, gdzie męski szowinizm jest bardzo silny. Ale nawet wśród nich są tacy, którzy naprawdę się zmienili. Czasami piszą mi potem, że używają teologii feministycznej w szkole, w której uczą.

Symboliczna pensja

Interesują mnie jeszcze jej studentki. Owe wspomniane 50 kobiet to zakonnice. Pytam więc siostrę zakonną, będącą profesorką teologii, jak zgromadzenia zakonne patrzą na swoje siostry studiujące teologię. – Opór ze strony żeńskich zgromadzeń przed wysyłaniem sióstr na studia bazuje na tym, że bycie teolożką nie jest w Indiach płatną pracą – wyjaśnia Santos.

A mi staje przed oczami inna zakonnica z Azji, która podczas dyskusji po spotkaniu z s. Santos na wydziale teologii w Leuven podkreślała, jak dręczy ją to, że wróci z tych studiów w nieznane. Nie czeka na nią etat na wydziale teologii, jak na studiujących z nią kolegów. Siostra Santos też zauważa, że nawet te kobiety, które faktycznie ukończyły studia teologiczne, pracują tylko w swoich własnych kongregacjach w ramach formacji dla bardzo małej grupy. Tak więc nie przyczyniają się do rozwoju teologii. Dodaje, że większość zgromadzeń zajmuje się edukacją lub pracą społeczną i to właśnie z pensji w tych zawodach się utrzymują. Zaś profesorowie teologii nie otrzymują pensji, tylko rodzaj niewielkiego stypendium.

Brzmi to, jakby ekonomiczny system ich lokalnego Kościoła, ale też pewnie wielu innych Kościołów, powstrzymał kobiety i żeńskie zgromadzenia przed studiowaniem i nauczaniem teologii.

– Gdy zaczęłam uczyć i zobaczyłam, ile zarobię, wiedziałam, że nie będę wiele dokładać do kasy zgromadzenia – mówi o ekonomicznych realiach nauczania. – Teologia nie jest czymś, co wydaje się najbardziej potrzebne. Kiedy zachęcam zgromadzenia do wysyłania sióstr na studia, pytają: po co, skoro kobiety nie zostaną wyświęcone?

Polityka genderowa episkopatu Indii nie działa więc w próżni. Wygląda na to, że dopłaca do niej zgromadzenie s. Patricii Santos, godząc się na jej symboliczną pensję na wydziale teologicznym. Jednak dzięki temu każdy student seminarium w Pune kończy studia zaliczywszy – czy chce, czy nie chce – podstawowy kurs teologii feministycznej. © ZUZANNA RADZIK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Jak religia miesza się z polityką

TOMASZ MAĆKOWIAK

W polaryzującej się Słowacji coraz większą rolę odgrywa skrajnie katolicka rodzina Kuffów, próbująca wciągać Kościół do polityki. Ks. Tomáš Halík mówi o „smutnym dziedzictwie słowackiego, katolickiego faszyzmu”.

YOUTUBE / ROZHOVORY S MIMI ŠRAMOVOU

Ks. Marián Kuffa w rozmowie z Mimi Šramovą, znaną blogerką parlamentarną (i asystentką posła Słowackiej Partii Narodowej), Bratysława, wrzesień 2023 r.

Od przejęcia na Słowacji rządów przez populistów jesienią ub. roku rośnie znaczenie rodziny Kuffów. Ksiądz Marián Kuffa, a także jego brat Štefan wraz z synem Filipem stali się gwiazdami w politycznym środowisku katolickich narodowców. Brylują w mediach i parlamencie, budują w mediach społecznościowych potężną sieć wyznawców. Choć lider obozu rządzącego Robert Fico deklaruje się jako lewicowiec i jest byłym komunistą, z Kuffami łączy go wspólny wróg: Unia Europejska, NATO, gender, „ideologia LGBT” i w ogóle Zachód.

Przerwany spektakl

W ostatnich dniach najgłośniej było o Štefanie Kuffie. Jest on obecnie sekretarzem stanu w Ministerstwie Ochrony Środowiska. W ub. tygodniu w rodzinnej wiosce Kuffów, Malej Frankovej na Spiszu, przerwał gościnny występ koszyckiego Teatru Narodowego. Wystawiano „Moje Baby” irlandzkiej pisarki Eloine Murphy – opowieść o życiu trzech pokoleń kobiet: babci, córki i wnuczki. Kuffa w trakcie spektaklu wszedł na scenę i zaczął podniesionym głosem domagać się wyjścia z sali osób nieletnich, bo – jego zdaniem – sztuka jest niemoralna i niestosowna dla dzieci i młodzieży.

Wybuchła awantura, od kilku dni trąbią o tym wszystkie media w kraju. Wójt Malej Frankovej rzecz jasna broni Kuffy, ale liberalne media i środowisko artystyczne jest oburzone, szykuje się publiczny protest, bo od tygodni trwają na Słowacji czystki w największych i najlepszych teatrach i galeriach. Ministra kultury Martina Šimkovičová nawet nie próbuje ukrywać swoich intencji: słowacka kultura została zdominowana przez środowiska liberałów i LGBT i jej zadaniem jest przywrócenie proporcji ideowych.

Šimkovičová do polityki dostała się z list tej samej partii, co Štefan Kuffa – Słowackiej Partii Narodowej (SNS), konserwatywnej i antyzachodniej. Poparcie ma niewielkie, ale do koalicji została dołączona jako „przystawka”. Z jej szeregów kandydowali do parlamentu właśnie tacy ludzie jak Šimkovičová – dawniej znana prezenterka w popularnej telewizji śniadaniowej, w czasie pandemii zradykalizowała się i w internecie została gwiazdą ruchu antyszczepionkowego.

Powołany do bezdomnych

Štefan Kuffa w porównaniu z nią jest weteranem, w parlamencie zasiada od 2012 r. w rozmaitych ugrupowaniach i zawsze prezentował tam poglądy skrajnie konserwatywne, narodowe, antyzachodnie. Gwiazdą został dzięki nazwisku, bo jego starszy o dwa lata brat, Marián Kuffa, jest jednym z najbardziej rozpoznawalnych w kraju katolickich księży. Od początku lat 90. prowadzi on założony przez siebie Instytut Chrystusa Pana. Powołany został do opieki nad ubogimi, bezdomnymi, osobami uzależnionymi. Kuffa od samego początku przykuł uwagę, bo wobec silnych po upadku komunizmu nastrojów rasistowskich jako jeden z pierwszych księży zaczął systemowo zajmować się społecznością Romów, bronił ich przed nacjonalistami, wspierał materialnie i organizacyjnie. Dzięki tej postawie zyskał sobie w całym kraju szacunek nawet w środowiskach bardzo katolicyzmowi niechętnych.

Narodził się nawet rodzaj kultu, do siedziby jego Instytutu zaczęły garnąć się całe pielgrzymki pobożnych ludzi z całego kraju. Założyciela zaczął otaczać nimb tajemnicy. Jak przystało na wyjątkowego człowieka, i w jego życiu nie mogło zabraknąć wydarzeń mitycznych. Od lat on i jego otoczenie powtarzają opowieść o tym, jak w 1990 r. Marián w czasie wyprawy na Gerlach spadł z wysokości 20 metrów ze skały. Ratownicy przez 13 godzin transportowali go do szpitala. Kuffa nie ma wątpliwości: to Bóg uratował mu życie. Sam uznał, że ten dar powinien teraz Bogu zwrócić, poświęcając życie ludziom najbardziej potrzebującym. To był początek duchowego ↦

↦ przebudzenia. Cztery lata później, po skończeniu seminarium Marián został wyświęcony na księdza.

Naprawianie gejów

Utalentowany organizator, charyzmatyczny ksiądz, oddany opiekun potrzebujących szybko, jeszcze w latach 90., zaczął wypowiadać się w sprawach publicznych. Nie krył konserwatyzmu, ale nie było w tym jeszcze śladów ekstremizmu.

Jako znany ksiądz w 2014 r. udzielił wywiadu konserwatywnemu tygodnikowi „Týždeň". Stwierdził w nim wprost, że żaden gej ani lesbijka nie doświadczają cierpień z powodu swojej orientacji. Przyznał, że ma takich ludzi wśród swoich podopiecznych, ale – jak dodał – są to osoby, które swoją orientację seksualną „chcą naprawić". Skarżył się natomiast na środowiska gejowskie, które „naprawiania" nie chcą. „Kupią prokuratorów, sędziów, nawet psychiatrów i wywrócą wszystko na lewą stronę: to nie ja jestem chory, wy jesteście chorzy! To diabelskie. To są masowi zabójcy. To ludobójstwo całego narodu".

Kilka tygodni później dodawał: „Kiedy się troszczę o alkoholika, nie mogę mu podsuwać flaszki z wódką. Kiedy troszczę się o homoseksualistę, nie mogę tolerować nieuporządkowanego seksu. Dobry ojciec nie może pozwalać dzieciom na wszystko".

Wypowiedzi księdza Kuffy wywołały skandal i przyniosły mu ogromną popularność, także pozytywną, bo w kraju wielu chętnie takich deklaracji słuchało. Ksiądz przestał być kojarzony tylko z działalnością charytatywną, stał się osobowością z centrum ideowej debaty, która trwa przecież we wszystkich krajach Zachodu, w tym na Słowacji.

Awanturnictwo

Podziały polityczne w tym kraju idą jednak w poprzek ideowych sporów, dlatego Kuffa nie został od razu skojarzony z konkretną opcją polityczną. Od dwóch lat w ławach parlamentu zasiadał jego młodszy brat, Štefan. Ale i on nie zwracał na siebie wtedy wielkiej uwagi. Oryginałów w słowackiej polityce nie brakuje, a akurat ten poza sławnym bratem nie miał wielu atutów. Zasłynął wprawdzie postulatem karania więzieniem kobiet, które zdecydują się na *in vitro*, ale ponieważ już wcześniej obaj z bratem byli znani z takich poglądów, nikt nie zwrócił na to wielkiej uwagi. Także realne wpływy Kuffów na politykę były wtedy mizerne, sprowadzały się głównie do wywoływania skandali.

Wypowiedzi księdza Kuffy o „naprawianiu" osób LGBT wywołały skandal i przyniosły mu ogromną popularność na Słowacji.

Dziennikarze zainteresowali się nimi i ustalili np., że spora część rodziny (Štefan ma siedmioro dzieci, wszystkie już dorosłe) ma na karku rozmaite zarzuty prokuratorskie, głównie związane z utarczkami z sąsiadami z Zamagurza. W aktach oskarżenia można czytać o pogróżkach „ja ich wystrzelam!", „rozwalę mu gębę", „stracisz zęby". Jedną z ofiar sam Štefan miał złapać za nos – jak precyzyjnie opisuje prokurator – palcem wskazującym i środkowym – wykręcać go boleśnie krzycząc: „wyrwę ci ten tłusty ryj!".

W kolejnych wyborach Štefan Kuffa wchodził w kolejne alianse z rozmaitymi dziwnymi partiami i dostawał się do parlamentu. W ubiegłym roku trafił wręcz do Ministerstwa Kultury jako sekretarz stanu. Jesienią, świeżo po nominacji, wystąpił na uroczystej mszy w katedrze w Trnavie. Wśród koncelebransów był m.in. nuncjusz apostolski i wielu biskupów. „Obiecuję w imieniu Ministerstwa Kultury, że zainicjujemy jak najszybszą intronizację Chrystusa Króla na monarchę Słowacji" – oznajmił Kuffa. Biuro Konferencji Episkopatu i lokalny biskup natychmiast się oficjalnie zdystansowali od takiego pomysłu, podobnie zrobiła szefowa Ministerstwa Kultury. Krótko po tym zamieszaniu Štefana Kuffę przeniesiono na równoległe stanowisko do Ministerstwa Ochrony Środowiska (którym na Słowacji kierują osoby znane głównie z tego, że zaprzeczają globalnemu ociepleniu).

Grzechem głosy na liberałów

Nieco wcześniej jego brat, ks. Marián Kuffa odbierał w Bratysławie ważną nagrodę im. J. M. Hurbana, przyznawaną przez kierownictwo parlamentu. „Filozofia gender zabija ciało, psychikę i duszę" – wywodził przed zebranymi. Dziękował politykom, którzy angażowali się publicznie przeciwko Konwencji Stambulskiej. Dziennikarze podkreślali, że choć poglądy księdza były dobrze znane już wcześniej, to jednak po raz pierwszy miał okazję głosić je w prestiżowym miejscu w stolicy, w dodatku nie w kościele, ale w siedzibie parlamentu kraju. Słowacją rządzili wtedy jeszcze liberałowie. Ówczesna prezydentka Zuzana Čaputová oraz tymczasowy premier Ľudovít Ódor odmówili udziału w tej uroczystości i nie był to przypadek. W końcu jeden z bliskich Kuffom biskupów, Ján Orosch z Trnawy, w czasie kampanii wyborczej publicznie mówił, że głosowanie na liberalną Čaputovą to grzech ciężki – taki, z którego już trzeba się spowiadać.

Te kolejne wydarzenie powodują, że rodzina Kuffów staje się centrum konserwatywnego, słowackiego katolicyzmu. W czasie kampanii prezydenckiej na wiosnę otwarcie poparli kandydata populistów, co skrytykowała nawet część biskupów. W tej chwili w rządzącej koalicji mają niewielkie wpływy, populiści raczej traktują ich jako egzotyczny dodatek i lekceważą. Ich wpływy jednak od lat rosną, w miarę jak pogłębia się polaryzacja polityczna w kraju. Jednocześnie powoduje to coraz intensywniejsze wciąganie Kościoła w politykę.

Widać to było jeszcze przed wakacjami, w czerwcu, kiedy Marián Kuffa agitował za głosowaniem na konkretnych posłów w czasie kazań głoszonych podczas mszy w swoim kościele. Tym razem po raz kolejny jego biskup wyraził rozczarowanie i zapowiedział, że porozmawia o tym z charyzmatycznym księdzem.

Zareagował też znany i szanowany także na Słowacji czeski teolog, ks. prof. Tomáš Halík. „Ten człowiek wyjątkowo pięknie dba o bezdomnych. Mógł zostać świętym, ale chyba popularność uderzyła mu do głowy" – powiedział. „On się sam pasował do roli proroka i teraz z dużą pewnością siebie wypowiada się na tematy, o których nie ma pojęcia". Dodał też, że wykorzystywanie religii w polityce to „smutne dziedzictwo słowackiego, katolickiego faszyzmu".

Kuffa nie dał długo czekać na odpowiedź. „Mój współbrat Tomáš Halík będzie się spowiadał przed Panem Bogiem. Jeśli ktoś mnie nazywa faszystą, to ja odpowiadam, że on sam jest liberalnym neonazistą".

© TOMASZ MAĆKOWIAK

ZUZANNA

Radzik:
Biskupim szlakiem

Francuski interior to przede wszystkim dyscyplina spożywania posiłków w porach tu przyjętych. W urokliwych miasteczkach z kamienia, z których niemal każde ma romański kościół, nikt nie okaże litości, gdy obiad postanowisz zjeść po czternastej, gdy pojawisz się na kolacji bez rezerwacji, lub gdy zajmiesz stolik bez pytania. Pokora przydaje się w kontakcie z restauracjami najbardziej. W przeciwnym razie przychodzi przeżyć pół dnia na orzeszkach, bo nawet sieciowa pizzeria zamyka się po południu. Ale gdy już się opanuje ten reżim, można halsować od romańskiej wieży kościoła do kolejnego zamku, szukając przy okazji miejsca na obiad i kawę, i próbując tych wszystkich regionalnych specjałów z ziemniaka i lokalnej kiełbasy. Oraz koniecznie ciasta z suszoną śliwką.

Między te leniwe wakacyjne przyjemności niepostrzeżenie wplątali mi się, a jakże, biskupi. I to biskupi o bardzo różnych obliczach. A wraz z nimi kawał historii Kościoła.

Miasteczko, którego fundatorem był kardynał Richelieu, minister Ludwika XIII, powstało w miejscu, z którego pochodził. Nazywa się oczywiście Richelieu, bo to był dumny i wszechwładny kardynał. Piął się na szczyty kościelnej i państwowej kariery bez skrupułów. Mimo wakacji i bliskości Loary Richelieu jest senne. Trzy restauracje karmią tylko wczesnym wieczorem, wrażenie poprawia piątkowy targ, na którym warzywa wykładane są w wiklinowych koszach, a miejscowi, niczym w modnej kooperatywie, przychodzą z plecionymi siatkami podobnie jak wiele dziesięcioleci temu, przed erą reklamówek. Kardynał w rodzinnej okolicy budował do końca życia ogromny, strojny pałac, dekorowany tkanymi złotem i srebrem obiciami, z komnatami o złotych sufitach oraz zawierający imponującą kolekcję ówczesnej sztuki i największą w Europie kolekcję rzymskich antycznych rzeźb. Nie zdążył zamknąć projektu przed śmiercią. Nieukończoną budowę odwiedzali możni ówczesnej Europy, wspominając jej przepych. Jednak po pałacu w Richelieu nie został niemal ślad. Zaskoczeni zgadujemy, że może gniewny lud rozebrał go w czasie rewolucji. Pudło. Rzeczywistość jest banalna. Zarządca niszczejącej nieruchomości sprzedał go na materiały budowlane w 1805 r. okolicznym chłopom. W ich obejściach do dziś można pewnie znaleźć fragmenty dumnej kardynalskiej budowli. Krucha okazała się ziemska chwała.

Między Richelieu a Poitiers jest tylko godzina drogi i nieco ponad 50 km w prostej linii, a jaka przepaść. Oprócz dwóch ważnych średniowiecznych bitew, Poitiers, dziś niewielkie i niezbyt turystycznie atrakcyjne, słynie ze świętego biskupa. Ten starożytny duchowny jest ponoć do dziś popularnym we Francji świętym, oczywiście proporcjonalnie do popularności samego chrześcijaństwa. Hilary urodził się w Poitiers w dobrej, pogańskiej rodzinie, która zapewniła mu wykształcenie retora. Jednak pod wpływem lektury Pisma Świętego ochrzcił się w 345 r. wraz z żoną i córką Abrą, a pięć lat później został wybrany biskupem. Takie to były czasy, że w zarządzaniu młodym Kościołem nie przeszkadzała rodzina, a biskupów wybierali wierni. Chwilę później w sporze z arianami opowiedział się po stronie Atanazego z Aleksandrii, który bronił bóstwa Chrystusa, za co cesarz Konstancjusz zesłał go do Frygii w Azji Mniejszej. Spędził kilka lat na poznawaniu teologii i obyczajów chrześcijańskiego Wschodu, po czym zyskał opinię pierwszego ekumenisty, dążącego do porozumienia Wschodu z Zachodem. Po powrocie budował jedność Kościoła Galii wokół nicejskiego *credo*. Wielki biskup małego miasta.

Na tym nie kończy się biskupia turystyka. Zupełnie przypadkowo zajeżdżamy bowiem na zamek Chalais. Przyznaję, pobudki były niskie, szukaliśmy niewielkiego, lecz urokliwego miejsca na kawę. Tutejsze opactwo ma rozmytą deszczem i wiatrem romańską fasadę, ale za to niewielkie *chateau* za zwodzonym mostem zaprasza do restauracji równie sennej, jak sama miejscowość. Czekając, aż któryś z piątki kelnerów zlituje się i wreszcie zrobi kawę swoim jedynym gościom, czytam, że w tym *chateau* Talleyrand, swego czasu też biskup, spędził najpiękniejsze dwa lata swojego dzieciństwa. Owszem, duchownym został tylko dlatego, że zmusiła go to tego rodzina, uznając, że kulawa noga dyskwalifikuje go jako dziedzica. Na zamek w Chalais trafił zaś, gdy zaniedbanego u niańki odnalazł go wuj. To tu uczył się o dworskich obyczajach od wspominającej służbę na dworze Króla Słońce prababki. Do kapłaństwa przekonały go lektury o politycznie potężnych duchownych i wuj, sam będący biskupem. Pierwsze święcenia uczcił przy grobie Richelieu. Biskupem został, choć bardzo się starał nim nie być. Diecezję opuścił po miesiącu, żeby wsiąknąć w paryską politykę. Charakteryzowały go koniunkturalizm, niezwykła dyplomatyczna sprawność, rozpusta i łapówkarstwo. Nie jest to modelowy biskup, ale tak też bywa.

Kończy się lato i wakacje, tymczasem trzy ważne polskie metropolie czekają na swoich nowych arcybiskupów. Ciekawe, z którego modelu biskupiej posługi czerpać będą nowi metropolici Warszawy, Krakowa i Poznania. Myślicie, że z Poitiers? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet”.

SUDŻA CUCHNIE PADLINĄ

Na drodze prowadzącej w stronę frontu wiatr niesie fetor rozkładających się w upale krowich trucheł. Nienaturalnie powykręcane, leżą na asfalcie. Ludzkie ciała zebrano szybko, te zwierzęce gniją powoli.

TEKST I ZDJĘCIA: ANTONINA PALARCZYK Z OBWODU KURSKIEGO (ROSJA)

Jadąc z miasta Sumy w stronę rosyjskiej granicy i dalej do powiatowego miasteczka Sudża, można by pomyśleć, że walki, których śladami podążamy, zaczęły się jeszcze po ukraińskiej stronie.

Wioseczki ukraińskie, te położone w pasie granicznym, mijanym teraz przez rozpędzone terenówki i pojazdy opancerzone, wyglądają jak zmiecione z powierzchni ziemi. Zajęte przez Rosjan w pierwszych dniach pełnoskalowej wojny, zostały wprawdzie po kilku miesiącach oswobodzone, jednak, inaczej niż w miejscowościach pod Kijowem, przywrócenie nad tym regionem ukraińskiej kontroli nie przyniosło spokoju.

Pozostało sąsiedztwo rosyjskiej granicy – i wystrzeliwane zza niej dowolne rodzaje pocisków, przed którymi na tak krótkim dystansie nie da się nijak uciec. W ostatnim czasie ich liczba zwiększyła się do nawet kilkudziesięciu bomb kierowanych, które w ciągu doby spadają na ukraiński obwód sumski. Upadek takiej bomby, zwiastowany ponurym szumem, zamienia typowy ukraiński dom wiejski z białej cegły w wielką dziurę.

– DWA LATA TEMU dokładnie tutaj stał spalony czołg. Dawno już go stąd odciągnęli – Muslim, siedzący na przednim siedzeniu terenówki, ogląda pobocza i wspomina.

Razem z siedzącym za kierownicą Khalidem, Muslim należy do czeczeńskiego batalionu imienia Szejka Mansura, walczącego po stronie Ukrainy. Zimą-wiosną 2022 r. jednostka brała udział w obronie Kijowa, a potem przez jakiś czas operowała właśnie tutaj, pod granicą rosyjską – w obwodzie sumskim.

Rozpoczęta 6 sierpnia ofensywa sił ukraińskich na terytorium Rosji ponownie ściągnęła ich jednostkę w ten rejon. O ile dla Ukraińców wkroczenie do Rosji ma, poza skutkami operacyjnymi i politycznymi, znaczenie w podniesieniu morale, to dla Czeczenów zdaje się być jeszcze ważniejsze. Na wojnie z Rosją Muslim jest od 30 lat. Siwobrody i przeorany ranami, weteran obu wojen czeczeńskich, zmuszony został przez Rosję do opuszczenia ojczystej krainy kilkanaście lat temu. Khalid, młodszy, narwany i energiczny, o typowym kaukaskim temperamencie, urodził się już na emigracji, z dala od Czeczenii.

– JESZCZE KILKA METRÓW – gorączkuje się Khalid, gdy terenówka wjeżdża w cień uszkodzonych bramek granicznych.

– Czy jesteśmy już w Rosji? – pyta retorycznie Muslim, popatrując z uśmieszkiem na młodszego towarzysza.

– Jesteśmy! Stary, jesteśmy w Rosji! Apti Alaudinow, szykuj się! – woła Khalid. Przywołuje nazwisko dowódcy oddziałów „Achmat" – uchodzących za elitę jednostek złożonych z wiernych Kremlowi czeczeńskich żołnierzy. Znanych z obecności w obwodzie kurskim głównie dzięki licznym zdjęciom, które przedstawiają wziętych w niewolę kadyrowców. Zdjęcia pojawiły się w sieci na początku ukraińskiej operacji. Zaskoczona jej tempem, część żołnierzy „Achmata" nie zdołała uciec spod Sudży przed Ukraińcami.

PRZEJŚCIE GRANICZNE wygląda tak, jakby przeszedł przez nie huragan. Nie inaczej wszystko, co znajduje się za nim. Teren wzdłuż asfaltu upstrzony jest spalonymi pojazdami pancernymi, czołgami i zwykłymi samochodami. Rosyjskimi i ukraińskimi. Te drugie rozpoznawalne są po bielejącym się na nich trójkącie – to znak rozpoznawczy operacji kurskiej. Choć ofensywa, będąca dla Rosjan zaskoczeniem, uchodzi za sukces Ukrainy, szybko z obwodu kurskiego zaczęły napływać informacje o wysokich ukraińskich stratach w technice.

MIASTECZKO SUDŻA leży w odległości ok. 8 km od granicy z Ukrainą. To największa do tej pory miejscowość zdobyta przez Ukraińców. Według komunikatów sztabowych pod ich kontrolą jest obszar ponad tysiąca kilometrów kwadratowych.

Widać, że Rosjanie uciekali stąd szybko. Wiele budynków nie zostało naruszonych w znaczny sposób. Zniszczenia powstałe podczas walk są dosyć powierzchowne. Te większe mogą pochodzić od rosyjskich bomb kierowanych, zrzucanych już po tym, jak Ukraińcy zajęli miasto. Jeżeli się tu utrzymają, z dużym prawdopodobieństwem lotnicze bombardowania, od dłuższego czasu kluczowy element rosyjskiej taktyki, nasilą się.

NAJWIĘCEJ MÓWIĄ zniszczenia dokonane przez żołnierzy ukraińskich już po zajęciu Sudży. Stojący przed podziurawionym domem kultury pomnik Lenina najpierw pozbawiono głowy, następnie został zupełnie zgruchotany. Na cokole podtrzymującym jego kikut podpis przekreślono czarnym sprejem i zastąpiono słowem *pidar* (to najczęściej używane określenie Rosjan).

Błyskawiczny proces dekomunizacji Sudży odbył się na każdym szczeblu i z najwyższą pieczołowitością. Począwszy od pomnika, a skończywszy na zamazanych sprejem sowieckich jeszcze symbolach. Tych można znaleźć niespodziewanie dużo we wszystkich właściwie placówkach publicznych.

Jak na miejscowość położoną wciąż na linii walk, Sudża jest cicha. Główny kierunek ukraińskiego natarcia znajduje się już ponad 20 km na północ od miasta. Zaś szara strefa, o wciąż nierozstrzygniętym statusie, tego dnia leży wciąż na wschodnich obrzeżach Sudży. Co jakiś czas nad naszymi głowami rozlega się seria wystrzałów artyleryjskich. Muslim zadziera głowę, próbując dostrzec na niebie drona, rosyjskiego lub ukraińskiego.

SUDŻA CUCHNIE padliną. Na drodze prowadzącej w stronę frontu oczy łzawią, gdy przez uchylone okna auta wiatr przynosi fetor rozkładających się w upale krowich trucheł. Nienaturalnie powykręcane, leżą na asfalcie. Na wjeździe do miasta, obok rozbitych aut osobowych – rosyjskich i ukraińskich, tych z symbolem trójkąta (osobowe auto to częsty środek transportu ukraińskiej piechoty) – rozkładają się martwe zwierzęta domowe. Ludzkie ciała zostały szybko zebrane, te zwierzęce gniją powoli. Przejechane koty, ogłuszone eksplozjami ptactwo.

Po mieście kręci się opuszczone stado baranów, w cieniu jednego z budynków administracyjnych kryje się kilka indyków. Muslim długo wpatruje się w nie, stojąc nieruchomo przed terenówką. – Im chce się bardzo pić – stwierdza po chwili, a Khalid sięga za siedzenie po butelkę z resztką wody. Wylewa ją przed ptakami, tłumacząc im, żeby się napiły choć trochę, bo upał okropny. ↦

Sudża, 21 sierpnia 2024 r.

Od góry: Khalid w oknie budynku lokalnych władz rosyjskich w Sudży. Zniszczone czołgi (nie udało się ustalić, rosyjskie czy ukraińskie) w pobliżu granicy. Zniszczony pomnik Lenina przed Domem Kultury w Sudży. Obwód kurski, Rosja, 21 sierpnia 2024 r.

↦ **ROSYJSKIM MIESZKAŃCOM** Sudży, którzy nie uciekli wraz z wycofującym się wojskiem rosyjskim, poświęcono wiele uwagi. Już w kilka dni po zajęciu miasta powołana została ukraińska administracja wojskowa. Ma dbać o potrzeby nielicznych cywilów. Ci, jakby oszołomieni, korzystając z relatywnego spokoju, wyszli z piwnic swoich domów i po prostu zabierają się za próbę powrotu do dawnego życia. Jakby mimo obecności ukraińskich żołnierzy.

W dół ulicy pędzi szkolny autobus z wysprejowanym napisem „wojskowa komendantura". Szukając drogi do centrum, Khalid zatrzymuje się kilkukrotnie przy idących poboczem babuszkach. Choć narwany, umie być czarujący.

Pięknym rosyjskim pyta o drogę. Babcie odpowiadają równie uprzejmie i dalej prowadzą swoje rowery. Najwyraźniej wracają z punktu, gdzie wydawana jest woda pitna. Wyglądają identycznie jak ukraińskie babuszki w przyfrontowych miasteczkach i wsiach, które odmówiły opuszczenia rodzinnej miejscowości. Z tak samo zamotanymi chustkami na głowach, idą wzdłuż tak samo pokiereszowanych ścian.

PYTAM KHALIDA o jego odczucia. – Chociaż Muslim się ze mnie śmieje, to i tak powiem: uważam to za historyczny moment. W ciągu ostatnich 10 lat, odkąd istnieje nasz batalion, zbliżaliśmy się tylko do granicy „Kacapetii", jak mówimy o Rosji, nigdy jej nie przekraczaliśmy. Zimą byliśmy pod granicą obwodu biełgorodzkiego. I wreszcie, wreszcie się udało, co za radość w duszy!

Zza jego pleców dobiega dobroduszny śmiech. Khalid kontynuuje: – Najważniejsze, żeby teraz ukraiński rząd nie ustępował, nie godził się na żaden rozejm. To pozwoli tylko wzmocnić się Rosji, uzupełnić rezerwy. Pamiętamy, jak przebiegało to w czasie wojen czeczeńskich: daliśmy im wiarę, a oni zdradziecko to wykorzystali. Dlatego teraz należy ich dobić. I trzeba pomocy Europy.

Przekroczenie granicy Federacji Rosyjskiej przez czeczeńskich bojowników zbiegło się w czasie z wizytą Putina w Czeczenii – pierwszą od 2011 r. Wspomniany przez Khalida rozejm

rosyjsko-czeczeński, zawarty w Chasawjurcie w 1996 r. i zerwany przez Rosję trzy lata później, jest często przywoływany w dyskusji przez przeciwników rozmów.

OPERACJA KURSKA i zdobyte terytorium rosyjskie w razie ewentualnych negocjacji miałyby być kartą przetargową Kijowa. A także manewrem odmieniającym obraz Ukrainy w oczach zachodnich partnerów, pokazującym ją jako wciąż zdolną do kontrataku.

Inny prawdopodobny cel to odciągnięcie sił rosyjskich z obwodu donieckiego, gdzie te cały czas z powodzeniem idą naprzód, każdego dnia zajmując kolejne kilometry. W ciągu tylko kilku tygodni padło miasto Nju Jork i znajdujące się wokół niej pozycje, bronione jeszcze od 2014 r. Największe postępy Rosjanie notują na odcinku pokrowskim, gdzie od czasu zajęcia w lutym Awdijiwki przemieścili się o kilkadziesiąt kilometrów w głąb Ukrainy, w kierunku dwóch sąsiadujących ze sobą dużych miast, Pokrowska i Myrnohradu.

To drugie jest w odległości ok. 5 km od rosyjskich pozycji, w zasięgu artylerii i małych dronów kamikadze. Tak samo jak strategiczne drogi prowadzące z Pokrowska do Konstantynówki i do drugiego z kluczowych węzłów obrony po stronie ukraińskiej: aglomeracji Kramatorska i Słowiańska.

WBREW NADZIEJOM ukraińskich strategów, z chwilą rozpoczęcia operacji kurskiej rosyjska ofensywa w obwodzie donieckim jak dotąd wcale nie osłabła. Przeciwnie: Rosjanie nie wypuszczają Donbasu z rąk i napierają coraz mocniej.

Jurij Butusow, znany ukraiński dziennikarz, który niemal przez cały czas relacjonuje z frontu przebieg wojny, w czwartek 22 sierpnia napisał, że jest coraz bardziej zaniepokojony tą sytuacją. Butusow wyraził przekonanie, że „nawet pięćdziesiąt takich miasteczek jak Sudża nie jest wartych jednego Pokrowska". Jego upadek, dowodził dziennikarz, może doprowadzić do zajęcia przez armię rosyjską całego obwodu donieckiego – i dać jej dobrą pozycję wyjściową do natarcia na kolejny obwód, dniepropietrowski.

© ANTONINA PALARCZYK

Kulturkampf w Turyngii

TEKST I ZDJĘCIA: ŁUKASZ GRAJEWSKI Z TURYNGII

Prowadzona przez Björna Höckego Alternatywa dla Niemiec zmierza po wyborcze zwycięstwo we wschodnich landach. Czego chce? I co na to mieszkańcy? Obserwujemy kampanię AfD.

Betonowe bloki stoją równymi szeregami w niewielkiej od siebie odległości. Różnią się wysokością i kątem położenia. Dla jednych są symbolem mordu dokonanego na milionach ludzi. Dla innych przedstawiają niewzruszoną brutalność dyktatury. Berliński pomnik Pomordowanych Żydów Europy – bo o nim mowa – jest fascynującym i frapującym miejscem odwiedzanym przez miliony turystów.

Teraz, kilkaset kilometrów od niemieckiej stolicy, powstała jego kopia, stworzona z myślą tylko o jednym człowieku.

Aby zobaczyć tę kopię, trzeba udać się do Bornhagen. Ta niewielka wieś, licząca zaledwie trzystu kilkudziesięciu mieszkańców, leży na granicy dwóch landów, Turyngii i Hesji. Nad domami z muru pruskiego górują zamkowe ruiny. Cała okolica wygląda tak, jakby została żywo wyjęta ze średniowiecznej ryciny.

Działka po sąsiedzku

W Bornhagen za ewangelickim kościołem trzeba obejść dom, który niegdyś należał do pastora, następnie przejść przez pole i przez kolejne ogrodzenia. Potem, przedzierając się przez chaszcze, dojść do niewielkiego podwórka.

To właśnie tutaj stoją – w międzyczasie podniszczone już – bloki, które imitują symbolicznie berliński pomnik ofiar Holokaustu. Symbolicznie, gdyż jest ich tylko kilkanaście. Jednak swoją formą jednoznacznie nawiązują do oryginału.

Tylko z okien jednego domu ma się dobry widok na całą tę zagadkową konstrukcję. Mieszka w nim Björn Höcke, 52-letni lider skrajnie prawicowej Alternatywy dla Niemiec (AfD) w landzie Turyngia.

„My, Niemcy, jesteśmy jedynym narodem na świecie, który wzniósł pomnik hańby w sercu własnej stolicy" – tak mówił Höcke w 2017 r. do swoich zwolenników zebranych w Dreźnie. Zaapelował wtedy o zwrot o 180 stopni w niemieckiej polityce historycznej. Koniec z biciem się w pierś, koniec z roztrząsaniem kilkunastoletniego okresu III Rzeszy. Historia Niemiec jest wielka i w końcu należy ją odpowiednio docenić.

Właśnie w odpowiedzi na te słowa kolektyw artystyczny, określający się jako „Centrum Politycznego Piękna", wykupił działkę sąsiadującą z domem Höckego i postawił na niej minireplikę berlińskiego pomnika. Aktywiści zażądali od polityka AfD, żeby się opamiętał i w ramach skruchy ukląkł przed betonowymi blokami.

Jednak kontrowersyjna akcja nie przyniosła spodziewanych rezultatów. Björn Höcke jest dziś jeszcze bardziej radykalny. A jego ugrupowanie zmierza po zwycięstwo w wyborach landowych w Turyngii, które odbędą się w niedzielę 1 września.

Na erfurckim blokowisku

Gdy wychodzi na niewielką scenę, tłum zaczyna rytmicznie skandować jego nazwisko.

W ostatnich tygodniach Höcke codziennie odwiedza jedną lub nawet dwie miejscowości na terenie Turyngii. Dzisiaj jest w Erfurcie, a autor „Tygodnika" mu towarzyszy. Ponad 200-tysięczny Erfurt, stolica Turyngii, nie należy do tych miejsc, w których AfD dominuje. W tegorocznych wyborach do rady miasta najwięcej głosów, bo jedną czwartą, dostała tu chadecka CDU, zaś AfD była druga, z poparciem 20 procent. Dwa kolejne miejsca zajęły SPD i Partia Lewicy ↦

↦ (po kilkanaście procent), a potem Zieloni (kilka procent).

Lecz właśnie tutaj, w Rieth, dzielnicy Erfurtu położonej w północnej części miasta, frustrację mieszkańców da się łatwo politycznie „zmonetyzować" na poparcie dla AfD.

Rieth to blokowisko z wielkiej płyty, pamiętające czasy komunistycznej NRD. Mieszka w nim dużo ludzi, którzy źle wyszli na pozjednoczeniowej transformacji. Koniec NRD, dokonany 34 lata temu, był dla nich też końcem pracy i nadziei na przyszłość. Wiele z ich dzieci powieliło potem schemat losu rodziców.

Ponieważ wynajem mieszkań na tym osiedlu jest względnie tani, od lat chętnie wprowadzają się imigranci. To połączenie generuje konflikty.

– Afgańczycy, Ukraińcy, oni w ogóle nie pracują. To my musimy pracować na nich – mówi „Tygodnikowi" para zwolenników AfD na chwilę przed tym, zanim Björn Höcke wychodzi na scenę.

Gdy Höcke wchodzi na scenę, kilkuset mieszkańców Erfurtu rytmicznie skanduje jego nazwisko.
Tu, na blokowisku z czasów NRD, poparcie dla AfD jest silne.

„Chcą was zastąpić"

Björn Höcke najwyraźniej zna poglądy swojego elektoratu. Gdy zaczyna mówić, niemal od razu przechodzi do sedna: – Kartel polityczny rządzący w Niemczech chce stworzyć nowy naród. Chcą was zastąpić! – nawiązuje tym do popularnej teorii spiskowej. Ta głosi, że międzynarodowe elity chcą zastąpić rdzennych mieszkańców państw Zachodu obcokrajowcami.

W Turyngii, tak jak w całych Niemczech, imigracja jest dziś tematem numer jeden.

Höcke już wiele razy swoimi wypowiedziami szokował kraj, w którym blisko co trzeci mieszkaniec ma korzenie imigracyjne. Lider AfD przyznał w tym roku, iż potrafi sobie wyobrazić, że w Niemczech żyłoby 20-30 proc. ludzi mniej, mając na myśli większość mieszkańców, która nie może pochwalić się niemieckimi dziadkiem i babcią.

Największe poparcie przynosi mu to właśnie na wschodzie kraju. Tu migrantów jest znacznie mniej niż na zachodzie. Różnica jest na tyle duża, że stojąc na środku większych niemieckich miast można z łatwością rozpoznać, czy jesteśmy na zachodzie, czy wschodzie. Jeśli widać ludzi o przeróżnym kolorze skóry, jesteśmy pewnie gdzieś w Düsseldorfie, Hanowerze albo Frankfurcie nad Menem. Jeśli dominują biali Niemcy, znajdujemy się pewnie w Dreźnie, Chemnitz albo właśnie w Erfurcie.

W czasach, gdy w latach 60. XX w. do Niemiec Zachodnich zaczęli masowo sprowadzać się imigranci zarobkowi z Turcji, Włoch czy Grecji, rządzone przez komunistów NRD pozostawało krajem etnicznie homogenicznym. Również po zjednoczeniu w 1990 r. nowi przybysze woleli zachodnie landy, ze względu na lepsze płace i istniejące tam już społeczności imigranckie.

„Osuszyć bagno"

Podczas swojego przemówienia w Erfurcie Höcke szkicuje obraz Niemiec, które stoją na skraju katastrofy. – Coraz więcej wpłacacie do Unii Europejskiej. Dostajecie coraz więcej multi-kulti. Tylko Niemiec jest coraz mniej. I przyszłości dla Niemiec – Höcke lubuje się w krótkich i podniosłych zdaniach.

Kandydat AfD na premiera landu Turyngia pokrótce szkicuje też rewolucję kulturalną, która ma rzekomo przywrócić etnicznym Niemcom ich własny kraj.

Alternatywa chce oto, po przejęciu władzy, przeprowadzić reformę szkolnictwa (w Niemczech edukacja leży w kompetencjach rządów landowych). Nacisk ma zostać położony na kształcenie zawodowe. – Nie potrzebujemy tylu maturzystów ani studentów – przekonuje Höcke i otrzymuje gromkie brawa od kilkuset zgromadzonych mieszkańców Erfurtu.

To postulat dobrze skrojony pod elektorat partii, na którą często głosują drobni przedsiębiorcy i rzemieślnicy, dumni z tego, że zarabiają na chleb ciężką pracą fizyczną. AfD chętnie pozbędzie się też wszelkich kojarzonych z lewicowym światopoglądem kierunków studiów, jak *gender studies*. Höcke wymienia Węgry Orbána jako przykład dobrze rządzonego kraju.

Dlatego nie dziwi, że lider AfD zapowiada także zakończenie finansowania ze środków publicznych organizacji pozarządowych i utrudnienie im pozyskiwania środków z zagranicy. Mówi o „wielkich pieniądzach zza Atlantyku", które mają płynąć do Niemiec, żeby przeprowadzać na niemieckim społeczeństwie lewicowe eksperymenty. Używając języka Donalda Trumpa, podkreśla, że trzeba będzie „osuszyć skrajnie lewicowe bagno".

Lekcja z historii

Takie rewolucyjne zapędy polityków szczególnie w Turyngii wywołują jed-

Wiec wyborczy AfD z udziałem Björna Höckego, lidera tej partii w landzie Turyngia (występuje na scenie), a także kontrdemonstracja przeciwników AfD (poniżej).

Erfurt, 21 sierpnia 2024 r.

noznaczne historyczne skojarzenia. To w tym kraju związkowym narodowi socjaliści po raz pierwszy doszli do władzy: w 1930 r. to właśnie tutaj Narodowosocjalistyczna Niemiecka Partia Robotników (NSDAP) Adolfa Hitlera, wraz z kilkoma innymi konserwatywnymi ugrupowaniami, utworzyła rząd koalicyjny.

Wilhelm Frick, bliski współpracownik Hitlera, objął miejscowy resort spraw wewnętrznych i edukacji. W sferze kultury Frick wypowiedział wojnę wpływom „obcych ras". Na efekty nie trzeba było długo czekać. Obrazy artystów uważanych za lewicowych zaczęły znikać ze ścian galerii i muzeów. Na cenzurowanym znaleźli się twórcy słynnej weimarskiej szkoły artystycznej Bauhaus: Wassily Kandinsky, Lyonel Feininger, Paul Klee. Rząd Turyngii uznał ich sztukę za „zdegenerowaną". Promowania warta była tylko czysta, niemiecka sztuka.

Działania nazistów w Turyngii były szeroko nagłaśniane przez samego Hitlera i aparat propagandowy NSDAP. Region ten stał się laboratorium, w którym testowano sposoby rozmontowywania ładu demokratycznego. Oprócz walki z niezależną kulturą, sukcesywnie wymieniano personel kierowniczy na uniwersytetach, w urzędach i sądach.

List do mieszkańców

Z tych historycznych analogii doskonale zdaje sobie sprawę Jens-Christian Wagner, historyk i dyrektor miejsc pamięci i muzeów działających w Turyngii na terenie byłych obozów koncentracyjnych Buchenwald i Dora.

Wagner nie ma wątpliwości: AfD to partia propagująca historyczny rewizjonizm. Dlatego jako dyrektor zabronił politykom tej partii brania udziału w okolicznościowych wydarzeniach organizowanych na terenie byłych obozów koncentracyjnych.

– Nie chcemy, żeby wciąż żyjący byli więźniowie niemieckich obozów musieli siedzieć obok ludzi, którzy negują historię i umniejszają ich cierpienie – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem". – Poza tym nie chcę, aby ich ekstremistyczne poglądy podlegały w ten sposób niejako normalizacji – dodaje.

Muzeum w Buchenwaldzie zaangażowało się teraz w kampanię wyborczą i na jej finiszu wysłało list do wszystkich mieszkańców Turyngii starszych niż 65 lat. W swoim krótkim liście Jens-Christian Wagner zwraca uwagę na nieakceptowalne podejście AfD do niemieckiej historii i namawia do głosowania na partie demokratyczne.

– Chcemy w ten sposób dotrzeć do ludzi, którzy może niekoniecznie korzystają z mediów społecznościowych – mówi „Tygodnikowi".

„Kręcimy się w kółko"

Choć za swoje angażowanie się przeciwko AfD Jens-Christian Wagner musi teraz mierzyć się z groźbami śmierci, które trafiają na jego skrzynkę mailową, to bynajmniej w tym sprzeciwie nie jest sam.

– Dziś już wiemy, jak się sprawy potoczyły w latach 20. i 30. XX wieku. I dlatego jesteśmy o wiele bardziej czujni – tłumaczy wielką mobilizację przeciwników AfD.

Niemal przy każdej instytucji kultury w regionie widać logo kampanii „Turyngia otwarta na świat", która – choć nie nazywa zagrożenia po imieniu – to podkreślając znaczenie tolerancji i wartości demokratycznych, jest znakiem sprzeciwu przeciw autorytarnym zapędom Björna Höckego i jego partii.

W kampanii biorą udział niemal wszystkie muzea i teatry, Kościoły ewangelicki i katolicki, stowarzyszenia, a także ↦

↦ liczne przedsiębiorstwa, które w regionie mają swoje siedziby i zakłady produkcyjne. W ramach kampanii codziennie odbywa się przynajmniej kilka akcji, koncertów i dyskusji.

– Ale i tak mimo tego wszystkiego, co robimy, w sondażach AfD nadal ma 30 proc. poparcia. Z kolei Sojusz Sahry Wagenknecht, który jest dla mnie taką „AfD light", ma 19 procent. Mam wrażenie, że kręcimy się w kółko. Dlatego jestem ostatnio mocno sfrustrowany – przyznaje Wagner.

Wybory i co dalej?

To polityczne napięcie i emocje na pewno nie skończą się wraz z dniem wyborów.

AfD bez wątpienia zajmie w nich pierwsze miejsce, ale raczej nie uzyska bezwzględnej większości w landowym parlamencie. W sondażach drugie miejsce, z wynikiem ok. 21 proc., zajmuje obecnie chadecka CDU. Chadecy wykluczają współpracę z Alternatywą. Na trzecim miejscu znajduje się lewicowo-populistyczny Sojusz Sahry Wagenknecht. Ten nowy twór na niemieckiej scenie politycznej z jednej strony nie chce koalicji z AfD, ale z drugiej wyklucza współpracę z partiami, które opowiadają się za dalszym wspieraniem Ukrainy. A do takich zalicza się CDU.

W sondażach najgorsze notowania mają partie, które w Berlinie na szczeblu federalnym wchodzą w skład koalicji kanclerza Olafa Scholza: socjaldemokratyczna SPD, Zieloni i liberałowie z FDP mogą w Turyngii nie przekroczyć progu 5 proc. głosów.

Podobnie sytuacja wygląda w sąsiadującym z Turyngią landzie Saksonia, gdzie również 1 września wybierany jest landowy parlament.

W ostatnich czterech latach w Erfurcie rządził już mniejszościowy gabinet partii lewicowych, który był tylko tolerowany przez chadeków, żeby zapobiec chaosowi. Jednak teraz do powtórki takiego modelu może zabraknąć głosów lub chętnych. Próba powstrzymania AfD przed utworzeniem przez nią landowego rządu może szybko doprowadzić do powtórnych wyborów.

Pewne jest jedynie, że prawdziwy thriller polityczny rozpocznie się dopiero po wrzuceniu ostatniej karty do głosowania do urny.

„Lokalne władze już się boją"

Wyników wyborów z niecierpliwością wypatrywać będzie Maik, pedagog z Jeny.

Nieco ponad stutysięczna Jena to miasto, w którego centrum trudno jest spotkać sympatyków AfD. Renomowany Uniwersytet Friedricha Schillera przyciąga studentów z całych Niemiec i z zagranicy, tak samo jak silny miejscowy biznes.

Oprócz pracy w jednej z miejskich szkół Maik prowadzi dodatkowo wiele zajęć edukacyjnych, których celem jest budowanie demokratycznego społeczeństwa obywatelskiego. Obawia się, że po najbliższych wyborach AfD wstrzyma pieniądze na tego rodzaju działania.

– Już w ostatnich latach jest trudniej o środki, bo lokalne władze boją się, że AfD zasypie ich pytaniami i oskarżeniami – tłumaczy w rozmowie z „Tygodnikiem". Wszystko, co postrzegane jest jako lewicowe, w tym np. warsztaty dla uczniów propagujące tolerancję, może zostać uznane za podejrzane.

Również jego partnerka z niepokojem wypatruje dnia wyborów. Pochodzi z Turcji i zawodowo angażuje się na rzecz społeczności imigranckiej. Z tego powodu chce pozostać anonimowa.

– AfD po dojściu do władzy na pewno odebrałoby nam środki publiczne – uważa kobieta. Jednak deklaruje, że nie zamierza biernie patrzeć na rozwój sytuacji. Wraz z innymi przedstawicielami społeczności tureckiej zakłada właśnie stowarzyszenie, które będzie promować w regionie dialog międzykulturowy.

Ciąg dalszy nastąpi

To zapewne nie był przypadek, że właśnie w uniwersyteckiej i liberalnej Jenie Björn Höcke musiał po raz pierwszy w czasie swojej kampanii wyborczej skapitulować. We wtorek 20 sierpnia ponad dwa tysiące ludzi zablokowało wszelkie możliwe dojazdy do miejsca, w którym lider AfD miał wziąć udział w wiecu wyborczym. Wiec został odwołany.

Nie da się zaprzeczyć, że Alternatywa rozbudziła na wschodzie Niemiec niespotykaną dotąd energię polityczną. Zarówno wśród swoich zwolenników, jak i – może nawet jeszcze bardziej – wśród przeciwników. A tych drugich wciąż jest znacznie więcej.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

Korzenie Kamali

JAKUB SZUMSKI
Z BERKELEY (KALIFORNIA, USA)

Urodziła się i wychowała w mieście, które jest symbolem młodzieżowego buntu lat 60. XX w. Dziś to może być problemem dla centrowych wyborców. Ale czy z radykalnej tradycji Berkeley coś jeszcze zostało?

Zaskoczenia nie było: reprezentanci stanów i terytoriów, głosując w alfabetycznej kolejności, nominowali 59-letnią Kamalę Harris na kandydatkę Partii Demokratycznej w wyborach prezydenckich. Jej awans dokonał się w wyjątkowych okoliczno-

AGUSTIN PAULLIER / AFP / EAST NEWS

Kamala Harris, Barack Obama i Luther King na muralu artysty 4eene Vision. Los Angeles, 19 sierpnia 2024 r.

ściach: w ciągu niecałego miesiąca doszło do kompromitacji urzędującego prezydenta w telewizyjnej debacie, próby zamachu na jego oponenta i wycofania się tego pierwszego z walki o reelekcję.

Naturalnym jest, że wielu analityków i dziennikarzy zadaje dziś sobie pytanie o źródła jej postaw i poglądów. Pierwsze 12 lat życia, z małymi przerwami, Harris spędziła w Berkeley. To 120-tysięczne miasto, położone na wschodnim brzegu Zatoki San Francisco, jest siedzibą jednej z najlepszych uczelni świata, Uniwersytetu Kalifornijskiego. Ale, z drugiej strony, jest też epicentrum kontrkultury i młodzieżowego buntu końca lat 60. i lat 70. XX stulecia.

Gdy jej przeciwnicy z obozu Republikanów określają dziś Kamalę Harris mianem marksistki i komunistki, często mają na myśli właśnie tę wyjątkową dla Stanów kulturę polityczną północnej Kalifornii. Miejsca, które reprezentowała ona jako stanowy prokurator generalny i następnie członkini Senatu USA.

Najbardziej zróżnicowane

Idąc w gorący sierpniowy dzień Telegraph Avenue, główną ulicą śródmieścia Berkeley, czuć w powietrzu zapach marihuany – w Kalifornii palonej legalnie już od prawie 10 lat. Słychać też muzykę dochodzącą z ustawionych na ulicy głośników.

Telegraph Avenue pełna jest sklepów muzycznych, second-handów oraz handlarzy biżuterią, obrazami i hinduskim kadzidełkami. Między rozstawionymi na chodniku stolikami przechodzą tłumy turystów, mieszkańców miasta i studentów. Wraz z sąsiadującym z nim od południa Oakland, Berkeley to jedno z najbardziej zróżnicowanych kulturowo i etnicznie miast w USA.

Berkeley z lat 60. i 70. XX w. – czasów dzieciństwa Kamali Harris, urodzonej w 1964 r. właśnie w Oakland – dopiero rozpoczynało tę drogę.

– Gdy zaczynałem pracę w Berkeley, wśród studentów i studentek dominowały swobodne ubiory. Mężczyźni zazwyczaj nosili długie włosy i brody – opowiada mi George Breslauer. Ten 78-letni dziś politolog i specjalista od Rosji wie, o czym mówi. Profesorem na Uniwersytecie Kalifornijskim został w 1971 r. i pracował tu aż do przejścia na emeryturę dekadę temu. Dodatkowo przez 15 lat sprawował wysokie funkcje w uczelnianej administracji, gdzie doszedł do stanowiska wicerektora do spraw naukowych. Dziś wciąż prowadzi zajęcia; wciąż też, już od pół wieku, obserwuje zmiany w mieście i na uczelni.

„Tu nigdy nie było ciszy"

– W tamtych czasach atmosfera była naelektryzowana. Na kampusie nigdy nie było ciszy. Jeżeli nie odbywały się protesty antywojenne, słychać był śpiewy ruchu Hare Kryszna. W moim biurze często nie dało się pracować – wspomina Breslauer.

Prestiż uniwersytetu przyciągał wówczas talenty z całej Ameryki i ze świata – jest tak do dziś. Tak trafiła tutaj pochodząca z urzędniczej rodziny z południowych Indii Shyamala Gopalan, matka późniejszej wiceprezydent. Na początku lat 60. XX w. zaczęła studia doktoranckie z żywienia i endokrynologii.

Z kolei Donald Harris nad Zatokę San Francisco przybył z Jamajki, by studiować ekonomię. Harris zastanawiał się, jak gospodarcze planowanie może pozwolić postkolonialnym krajom, takim jak jego rodzinna wyspa, wyrównać różnice w rozwoju z bogatą Północą globu. Inspirował się także teoriami polskiego ekonomisty Michała Kaleckiego (ten zajmował się m.in. wpływem globalnej koniunktury na dochód narodowy).

Przyszli rodzice Kamali Harris poznali się, gdy oboje zaangażowali się w radykalne grupy dyskusyjne i ruch na rzecz praw obywatelskich.

60 lat temu: akcja i reakcja

Dlaczego to właśnie Berkeley stało się centrum studenckich i młodzieżowych protestów tamtej epoki? Kluczowy jest rok 1964 – rok urodzenia Kamali Harris (imię, jakie nadali jej rodzice, w sanskrycie znaczy „kwiat lotosu").

Wtedy to właśnie uniwersytet wydał zakaz rozpowszechniania politycznych tekstów na swoim terenie. Część studentów odebrała to jako zamach na gwarantowane przez konstytucję USA prawo do wolności słowa. Na zasadzie akcji i reakcji – z jednej strony radykalnych grup studenckich, a władz uczelni i sił porządkowych z drugiej – protesty eskalowały. Dochodziło do przemocy.

Do obrońców swobody politycznej agitacji na uniwersytecie dołączyły ↦

↦ grupy reprezentujące inne kwestie, w tym ruch przeciw prowadzonej przez USA wojnie w Wietnamie, Partia Czarnych Panter (promująca separatyzm Afroamerykanów), a także domagający się równych praw latynoscy pracownicy sezonowi. Działania wszystkich tych środowisk wiele różniło. Ale łączyło je odrzucenie ślepego poparcia dla „amerykańskiego projektu" jako, ich zdaniem, niesprawiedliwego i opartego na wyzysku biednych oraz mniejszości.

Zachęceni liberalną atmosferą i początkowymi sukcesami protestujących, do Berkeley zaczęli zjeżdżać młodzi ludzie z innych miast Kalifornii i kraju. Z drugiego brzegu Zatoki San Francisco przybyli hipisi, ubiorem i zwyczajami odrzucający etos poprzedniego pokolenia. Narodziła się „Ludowa Republika Berkeley", mająca realizować alternatywne idee.

Czas emancypacji

Tymczasem także w życiu rodziny Harrisów następowały duże zmiany. Gdy Kamala miała siedem lat, rodzice się rozwiedli; prawo do opieki nad nią i jej młodszą o dwa lata siostrą Mayą otrzymała matka.

Shyamala zamieszkała z dziewczynkami w domu w robotniczej dzielnicy Berkeley (dziś lokalni politycy chcą wpisać go do rejestru zabytków). Marsze i protesty miały być jej doświadczeniem codziennym – tak pisała Kamala w wydanej w 2019 r. książce. Na niektóre demonstracje rodzice mieli zabierać ją jeszcze w wózku. „Jako dziecko pamiętam morze poruszających się nóg, energii, krzyków i śpiewów. Sprawiedliwość społeczna była głównym tematem rodzinnych dyskusji" – wspominała.

Jej Berkley to przede wszystkim miejsce emancypacji ciemnoskórej społeczności, która dla Shyamali stała się podstawą tożsamości, i do której została przyjęta z otwartymi rękoma. Kamala należała do Kościoła baptystycznego, służącego czarnej społeczności. Jako drugi rocznik dowożona była autobusem z biedniejszej południowej części Berkeley do bogatszej północnej jego części, aby zdesegregować podzielone rasowo szkoły i zwiększyć szanse dla uboższych uczniów. Po szkole uczęszczała na zajęcia do domu kultury Rainbow Sign, gdzie zbierały się dzieci czarnoskórej inteligencji, i gdzie spotkać

ARCHIVIO GBB / ALAMY STOCK PHOTO

Kamala Harris, zdjęcie z okresu studiów na Uniwersytecie Howarda w Waszyngtonie, 1986 r.

można było lokalnych polityków, poetów, artystów i muzyków.

Po przenosinach do Montrealu w Kanadzie w 1977 r. (matka otrzymała pracę na tamtejszym uniwersytecie), Kamala wraz z siostrą – kontynuując niejako kalifornijską tradycję – zorganizowały protest przeciw zakazowi grania w piłkę na trawniku pod ich budynkiem. Do Kalifornii powróciła po 10 latach – najpierw studiowała tu prawo (w San Francisco), potem rozpoczęła prokuratorską i polityczną karierę.

Czas radykalizacji

Gdy dla jednych naelektryzowana atmosfera Berkeley była okazją do samorealizacji, inni patrzyli na nią ze sceptycyzmem.

Młodzieżową rewoltę w Berkeley na co dzień obserwował Czesław Miłosz. Tego przybyłego na uczelnię w 1960 r. wykładowcę slawistyki raził – jak pisał – niedojrzały i niepoważny charakter ruchu. Gdy w 1964 r. studenci zwrócili się przeciw rektorowi i zakłócali jego wystąpienie ze względu na zakaz agitacji na terenie kampusu, Miłosz zapisał, że „potęga zbiorowej emocji była nieproporcjonalna do błahych, racjonalnie rzecz biorąc, powodów". „Władza, wyłoniona przez zły porządek i chroniąca tego porządku, jest czystym złem" – rekonstruował myślenie lewicowych buntowników.

W istocie, ruch się wówczas radykalizował, sięgał po okupację budynków, padały nawet ofiary śmiertelne. W 1974 r. porwana została Patty Hearst, wnuczka magnata prasowego. Berkeley znów znalazło się w centrum uwagi świata.

Od hipisów do japiszonów

Jednak koniec końców wyczekiwana przez wielu rewolucja nigdy nie nadeszła. Już na początku lat 80. XX w. lokalni reporterzy zaczęli zauważać, że hipisów i yippisów (członków radykalnych grup młodzieżowych) zaczęła zastępować inna grupa: yuppies, japiszoni, czyli nastawieni na karierę i konsumpcję przedstawiciele wolnych zawodów. Dla tych młodych ludzi, którym zaawansowana technologicznie gospodarka północnej Kalifornii oferowała wysoko płatne posady, radykalna tradycja miasta mogła być atrakcyjnym dodatkiem, ale nie determinowała ich życiowych i politycznych wyborów.

Ponadto wielu niedawnych działaczy młodzieżowych weszło z czasem do oficjalnej polityki i pogodziło się z Partią Demokratyczną, dominującą w Kalifornii. Inni wybrali biznes. I tak, niegdysiejsza aktywistka Alice Waters otworzyła restaurację Chez Panisse, która wymagającej klienteli oferowała dania z organicznych lokalnych produktów i z czasem rozpowszechniła ideę *slow food* w całych Stanach. Z kolei byli pracownicy założonej w Berkeley kawiarni Peet's odpowiedzialni byli za sukces sieci Starbucks, korporacyjnego giganta, który kontroluje obecnie 80 tys. kawiarni na całym świecie.

Dawny protest przeciw plastikowej, konformistycznej kulturze powojennych Stanów sam stał się więc kolejnym produktem na sprzedaż.

Zdystansowani wobec rodziców

Podobną ewolucję widzimy także w późniejszej biografii i karierze Kamali Harris.

Dziś jej sztab usiłuje odtwarzać – na razie z dużym sukcesem – optymistyczną atmosferę z pierwszej kampanii prezydenckiej Baracka Obamy z 2008 r. Wtedy to ów mało znany czarnoskóry senator ze stanu Illinois, występujący z hasłem „Zmiana!", wywołał entuzjazm i nadzieję wśród zmęczonych wojną w Iraku i globalną recesją wyborców – i został 44. prezydentem USA.

Podobieństw między Kamalą Harris a Barackiem Obamą jest więcej. Trzy lata od niej starszy, Obama jest – tak jak ona – dzieckiem radykalnych intelektualistów. Pochodzący z Kenii jego ojciec, Barack Obama Senior, to – podobnie jak ojciec Harris – krytyczny ekonomista wywodzący się z globalnego Południa,

TED STRESHINSKY / CORBIS / GETTY IMAGES

Zamieszki w People's Park w Berkeley. Kalifornia, 1 czerwca 1969 r.

który dzięki wiedzy i doświadczeniu, zdobytych na najlepszych uczelniach USA, pragnął polepszyć położenie swojego rodzinnego kraju w stosunku do światowego centrum.

Jednak, mimo okazjonalnych wspomnień, oboje – i Obama, i Harris – w ich dorosłym życiu dystansowali się od radykalnej przeszłości rodziców. Zamiast kontynuować walkę jako aktywistka, zaraz po studiach Kamala Harris została prokuratorem. Zamiast szukać politycznego określenia na lewicy, związała się z maszyną Partii Demokratycznej, która rządzi Kalifornią nieprzerwanie od ponad 30 lat.

Lekcją, jaką zdała się wyciągnąć z doświadczeń swego rodzinnego miasta, było to, że zmian dokonywać można tylko, gdy jest się w środku systemu, a także dostosowując się do większych trendów i społecznych nastrojów.

Park Ludowy: legenda i życie

Wróćmy na ulice Berkeley. Opisanych powyżej zmian nigdzie nie widać tak dobrze, jak w położonym w centrum miasta *People's Park*, Parku Ludowym.

W 1969 r. grupa studentów i aktywistów zajęła niezagospodarowany plac w centrum i ogłosiła go dostępnym dla wszystkich parkiem. Tego samego roku w starciach w jego obronie i przeciw planom uczelnianej administracji zginął student postrzelony przez policjantów. Ówczesny gubernator Kalifornii, Republikanin Ronald Reagan, raz po raz wysyłał tu stanową Gwardię Narodową (myślący już wtedy o prezydenturze Reagan określał to miasto jako „azyl dla sympatyków komunizmu, demonstrantów i seksualnych dewiantów").

W końcu, po trwających 10 lat próbach zagospodarowania tego terenu, podczas których dochodziło do starć ulicznych, w 1979 r. działka przy głównej handlowej ulicy oficjalnie została parkiem. Był to wielki sukces aktywistów. Park, wraz ze Sceną Wolnego Słowa (na wzór londyńskiego Hyde Parku), stał się miejscem spotkań, demonstracji i koncertów.

Z czasem jednak w tę przestrzeń, niekontrolowaną przez policję, wnikać zaczęli inni. Już w latach 70. pojawili się bezdomni. Problem narastał, z każdym rokiem rosło obozowisko namiotów i drewnianych domków. Informacje o popełnianych tam przestępstwach i handlu narkotykami niezbyt pasowały do legendy świętego dla wielu skrawka ziemi, wywalczonego od uniwersytetu.

Wreszcie, na początku 2024 r., w asyście policjantów i ochroniarzy usunięto przebywających w parku. Teren zastawiono kontenerami transportowymi. Dziś wejścia do niego strzeże wysoki drut kolczasty. Niedługo zacznie się tu budowa nowych akademików.

Bez napięcia

– Ta hippisowska utopia skończyła się jako opanowana przez dilerów melina – mówi mi ochroniarz, który pilnuje terenu dawnego parku. – Teraz protestować przeciw budowie przychodzi kilkanaście osób, stale tych samych. Nie mogą pogodzić się, że ich lata świetności skończyły się 50 lat temu – dodaje. Na oko pięćdziesięcioletni, krępy mężczyzna w mundurze nie ukrywa niechęci do oponentów zamknięcia parku i tego, co reprezentują.

Budująca swoją kampanię na autorytecie byłej prokurator stanowej Kamala Harris nie wystąpiła oczywiście w obronie Parku Ludowego. Kolejna instytucja z heroicznych czasów Berkeley odchodzi do historii.

– Gdy dziś patrzę na moich studentów, są oni dużo poważniejsi, dużo bardziej skupieni na nauce i karierze – uważa George Breslauer.

W 2020 r. ponad jedną trzecią z nich stanowili Azjaci, a większość kobiety. Zamiast radykalizmu i marzeń o rewolucji, dominują wśród nich poglądy centrowe, liberalne. Wśród obecnych studentów Uniwersytetu Kalifornijskiego nie widać też jakiegoś wielkiego napięcia politycznego. – Największe protesty w najnowszej historii Berkeley, w roku 2009 i 2011, nie dotyczyły bezpośrednio polityki – dodaje Breslauer. – Głównym powodem były podwyżki opłat za studia.

Jedno się nie zmieniło – Berkeley nadal przyciąga talenty z całego świata. Jednym z nich jest Katarzyna Uniewicz, biolożka z Warszawy. Katarzyna mieszka nad Zatoką San Francisco od roku. – To nadal jest jedno z najbardziej ekscytujących miejsc do życia, jakie można sobie wyobrazić – mówi. Oglądając ze wzgórz spowite mgłą miasto, trudno się z tym nie zgodzić.

Ameryka środka

Kamala Harris zapewne jest świadoma, że mimo jej starań może być identyfikowana z tamtym dawnym rewolucyjnym Berkeley. Oraz że może zaszkodzić jej to w wyborach wśród wyborców o umiarkowanych, centrowych poglądach. Zapewne także dlatego jej kandydatem na wiceprezydenta został gubernator Minnesoty Tim Walz: przedstawiciel Ameryki środka.

„Te rzeczy są dziwne – mówił Walz w wywiadzie dla stacji MSBC, komentując poczynania republikańskich przeciwników. – To wydaje się po prostu dziwne". Aby krytykować rywali, Walz użył tu słowa „dziwne". W złotych latach Berkeley bycie „dziwakiem" było cnotą. Dziś, za Walzem, amerykańscy Demokraci i ich kandydatka chcą przekonać wyborców, że reprezentują normalność.

Berkeley chyba też musi więc trochę znormalnieć. © JAKUB SZUMSKI

IRENA ŁUCYK, z domu Zaremba, urodziła się w 1921 r. w wielkopolskim Kępnie. Od 1928 r. mieszkała w Białymstoku, gdzie jej matka Alina pracowała w seminarium nauczycielskim.

Ślub Ireny z Pawłem Łucykiem odbył się 1 września 1939 r. w Białymstoku. W 1940 r. przyszło na świat ich pierwsze dziecko. W tym samym roku, z obawy przed wywózką na Sybir – Białystok był w sowieckiej strefie okupacyjnej – musieli potajemnie opuścić miasto. Do końca wojny ukrywali się, prowadząc tajne nauczanie, w różnych miejscowościach na terenie Białostocczyzny.

Po powrocie w 1947 r. do Białegostoku Irena zajmowała się domem i dziećmi (od roku 1950 już czworgiem), pracowała jako planistka i księgowa, a potem jako nauczycielka i lektorka francuskiego i angielskiego. Prócz języków jej miłością były Tatry. Uzdolniona plastycznie i literacko, pisała wiersze.

Zmarła w 2018 r. w wieku 97 lat. Jej „Wspomnienia 1937-1944" zostały wydane (przez Agencję Gajus) w 2023 r. staraniem rodziny w niewielkim nakładzie. Drukujemy ich fragmenty.

© SZYMON ŁUCYK (WNUK)

ARCHIWUM RODZINNE

Irena Łucyk z dziećmi Zuzanną i Andrzejem, luty 1943 r.

HISTORIA

MÓJ WRZESIEŃ '39

W kościele ciemno, ponuro. Zaczyna się ceremonia. Nagle słyszę śpiew kobiet: „Wieczny odpoczynek racz...". Ktoś je ucisza: „Nie widzicie, tam ślub?!". Umilkły. Powtarzam słowa przysięgi. Wewnątrz pustka. Świat mych dziewczęcych marzeń legł w gruzach.

IRENA ŁUCYK

1 września. Poranek

Piąta rano. Jakiś nieznośny warkot w powietrzu. I raptem huk. Jeden, dwa, trzy. Wycie syren. Wyskakuję z łóżka, pędzę na balkon. Nic nie widać. Dzień dopiero się budzi. Wychyliło się słońce, niebo czyste, błękitne. „Będzie znowu piękna pogoda" – myślę.

W progu staje Paweł, narzeczony. „Wojna" – mówi zdławionym głosem. Był komunikat w radio, Niemcy atakują wzdłuż całej zachodniej granicy, bombardowano wiele miast. Co na to Francja i Anglia? Cały świat? Tysiące pytań. Tak nie może być! Mam 18 lat. W tym wieku nie ma miejsca na pesymizm. Zwyciężymy. Sojusznicy dołączą. Pocieszam Mamę i Pawła.

Czas na wykorzystanie wiedzy z zajęć przysposobienia wojskowego. Pytam Pawła, czy pozwoli zrobić uszczelnione pomieszczenie ze swojej kawalerki. Pokazuję maski gazowe, którymi wcześniej nas obdarowano. Mam trzy, dla każdego. Paweł akceptuje projekt. Sam idzie do urzędu.

Biorę się do dzieła według instrukcji. W radiu marsze wojskowe, przerywane szyfrowanymi komunikatami, np. „A koma 5, uwaga, uwaga, nadchodzi". Ciekawe, jaki szyfr ma Białystok. Kleję na każdej szybie paski papieru, przecinające się po przekątnej. Okna zostawiam lekko niedomknięte, przybijam do framugi stare koce i kołdry. Uszczelniam drzwi.

1 września. Ślub

Kończę, gdy wbiega rozdygotany Paweł: „Przebierz się. Prędko! Umówiłem ślub!". Zaskoczenie. Jak to? Przecież... „Prędzej!" – słyszę.

Chce mi się płakać. Tak, mieliśmy się pobrać. Zapowiedzi wyszły w lipcu. Ale wcale mi się nie spieszyło. I co mam ubrać? Materiał na suknię – u krawcowej. Model wybrany, śliczny. Obiecała uszyć w trzy dni, gdy ustalimy datę. A ja, pełna wahań i lęku, wolałabym poczekać, odwlec. A tu ta nagła jego decyzja. „Gotowa jesteś?" – woła.

„Chwileczkę". Drżącymi rękoma wciągam spódniczkę, białą bluzkę i żakiet zamiast wymarzonej sukni. Mama pogania, ma być świadkiem. A co z drugim? Na ulicy Paweł łapie kolegę, on będzie tym drugim.

Znów wycie syren. Na ulicy przerażony tłum. W bramie przeczekujemy jeden, drugi alarm. Jest późne popołudnie, gdy docieramy do kościoła. Okazuje się, że nie mamy obrączek. Paweł wtyka mi pieniądze i wysyła do jubilera. Sam ze świadkami spisze akt ślubu.

Wpadam do złotnika na Sienkiewicza. Żyd rozkłada ręce. W sklepie nie ma złota, wszystko ukrył w domu. Co robić? „Nu, jeśli to pilne, mam tombakowe. Może tymczasem, do jutra?". Kupuję, wybiegam. Na Rynku Kościuszki łapie mnie alarm. Znów warkot nad głowami. Obniżają lot, strzelają do ludzi. A gdybym tak teraz zginęła? Nie! Chcę żyć!

Samoloty odlatują. Biegnę z tłumem. Ktoś chwyta mnie za ramię, to Paweł. Zdenerwowany, ciągnie w stronę fary. Akt sporządzony, kładę podpis. Obrączki? Pokazuję tombak. „Głupstwo. Po wojnie kupimy złote" – pociesza.

W kościele ciemno, ponuro. Zaczyna się ceremonia. Dobiega śpiew kobiet: „Wieczny odpoczynek racz...". Ktoś je ucisza. Śpiewają dalej. Ktoś głośno: „Nie widzicie, że tam ślub?!". Umilkły. Automatycznie powtarzam słowa przysięgi. Sen to czy jawa? Czuję, jakbym była widzem, nie uczestnikiem. Wewnątrz pustka. Świat mych dziewczęcych marzeń legł w gruzach.

Pustą ulicą docieramy do domu. Zostaję z Pawłem w odtąd naszym „uszczelnionym" mieszkaniu. Wypijam herbatę, łykam proszek. Ból rozsadza mi czaszkę. Ot, uczta weselna. Wybucham długo hamowanym płaczem. Boże! Jak jeden dzień potrafi odmienić życie.

9 września. Ewakuacja

Przed północą, ciemnymi uliczkami przemykamy w tłumie spieszących w kierunku dworca kolejowego. Paweł, Mama i ja. Każde z walizeczką. Ewakuacja urzędów, sądów, prokuratury. Pociąg pod parą, skład towarowy. Ludzie cisną się, dobierają rodzinami, grupami znajomych. Paweł odnajduje „swoich". Wdrapujemy się do wagonu. Jest wolny kącik.

Konduktor nawołuje do pośpiechu. Wtem ktoś wywołuje Pawła po nazwisku. Paweł wyskakuje. Po chwili wraca i informuje, że musi zostać: zmobilizowano go do odwiezienia kasy jego urzędu. Nam każe jechać. On za parę dni dojedzie.

Chcę wysiąść, bo co za sens jechać bez niego? Ale pociąg rusza, o wydostaniu się z wagonu nie ma mowy. Nie wiem, czy bardziej jestem zrozpaczona, czy zła. Jeszcze nie zdążyłam „pobyć" mężatką, gdy poczułam się prawie wdową. Taka to moja podróż poślubna.

10 września. Słonim i dalej

Rankiem pociąg dowleka się do Słonima. Zjawiają się niemieckie samoloty i zaczynają ostrzał. Ruszamy dalej. Pociąg jedzie powoli, przepuszcza transporty wojskowe. Żołnierze machają, coś krzyczą, nie sposób usłyszeć. Mija nas strzaskany pociąg sanitarny.

Baranowicze. Syreny, nalot. Gdzieś rwą się bomby. Z wagonów uciekamy w pole. Przywieram do ziemi wstrząsanej falą wybuchów. Czy to się nie skończy?

Bombowce odlatują. Gramolimy się z bruzd. Szukamy naszego pociągu. Jest! Nic mu się nie stało. Każdy wraca na swój skrawek podłogi. Coś by się zjadło gorącego, ale trzeba zadowolić się kanapkami. Niedługo ich braknie. Któż mógł przewidzieć, ile potrwa podróż.

Zaraz wieczór, a nasz pociąg stoi i stoi. Na co czekamy? W wagonie gwarno. Co rusz wybuchają śmiechy, sypią się żarty. Może tak trzeba. Nie mogę oderwać się myślą od Pawła. Gdzie jest, czy bezpieczny? Szarpnęło wagony, ruszamy.

Niedaleko ujechaliśmy. Znowu czarne krzyże nad nami. Sypnęło jak grochem po dachu wagonu. Odleciały. Stoimy w polu. Z dala odgłosy nalotu, czyżby na Baranowicze?

Niebo już czyste. Jedziemy wolno, często przystając. W wielu miejscach tory zerwane, trzeba czekać, aż je na nowo ułożą.

Rano docieramy do Drohiczyna Poleskiego. Część ewakuowanych tu zostaje, głównie sądy i prokuratura. Reszta jedzie dalej, do Janowa Poleskiego. Wśród nich ja z Mamą.

12 września. Janów Poleski

Pociąg dalej nie jedzie.

Nareszcie prawdziwy posiłek: obiad w dworcowej restauracji. Przemili właściciele i troje ich uroczych dzieci. Żal wychodzić. Przed budynkiem czekają furmanki, mają nas dowieźć do Janowa. Posileni, w radosnym nastroju, jedziemy. Aż tu nagle – warkot samolotów nad głowami. Sypnęło kulami po bruku. Szukamy schronienia w bramach, woźnice biegną z nami. Tylko konie zachowują spokój. Samoloty oddalają się.

Już w Janowie, kwatermistrz nazwiskiem Rawet rozlokowuje ludzi po ↦

↦ domach. Dostajemy pomieszczenie razem z państwem Ireną i Aleksandrem Tyszkiewiczami. Zżyłam się z nimi, to bardzo mili ludzie.

Idę obejrzeć miasteczko. Główna ulica, którą jechaliśmy ze stacji, prowadzi do rynek. Prawy bok stanowi kościół. Po lewej stronie sklepy, restauracja i fryzjer. Na środkowym boku – sklepiki, budki, kramiki. Na placu obelisk upamiętniający męczeństwo św. Andrzeja Boboli (w 1657 r. zginął tu, zabity przez kozaków – red.). Wzdłuż głównej ulicy schludne, przeważnie parterowe domki z ogródkami. Dużo zieleni, co działa kojąco. Kilka bocznych ulic. Dalej już wieś: chałupki, stodoły, pola i łąki. W tle – pas lasu.

Okna „naszego" pokoju wychodzą na obelisk. Po drugiej stronie ulicy mieści się wojskowy punkt zborny. Panuje tam ruch dniem i nocą. Podobno tu formuje się oddziały z rozbitych jednostek.

Widać Niemcy czegoś się domacali, bo zaczynają dzień po dniu naloty na Janów. Mieszkańców ogarnia panika. Po każdym nalocie płoną domy i stodoły, ryczy bydło.

Nocą ewakuuje się punkt wojskowy. Sklepy pozamykane. Restaurator uciekł. Zamiera życie. Zaczyna być głodno. Mama z pomocą kilku pań organizuje stołówkę w porzuconej restauracji, właściciel zostawił nieco żywności. Resztę, na dobre kilka dni, przysyła proboszcz.

Ciągłe naloty, pożary. Stali mieszkańcy uciekli. Są tylko uciekinierzy, proboszcz i jego gosposia.

16 września. Przyjazd do Motola

Zapada decyzja o naszej ewakuacji. Kwatermistrz Rawet działa energicznie, cudem wynajduje furmanki. Jedziemy. Mijamy płonące zabudowania. Znów samoloty. Woźnice przynaglają biedne zwierzęta batem, każde z tych smagnięć odczuwam niemal fizycznie.

Wjeżdżamy w las. Znów samoloty. Zrzucają bomby nad Janowem. Odleciały. Ruszamy dalej.

Chmura przysłoniła słońce. Nadlatuje gwałtowna burza. Przemoczeni do nitki, siedzimy na wozach. Powoli burza przycicha, deszcz przechodzi w gęsty kapuśniaczek, który towarzyszy nam aż do celu podróży. Jest nim miasteczko Motol, na północ od Janowa.

Docieramy mokrzy, głodni i zziębnięci. Ludzie wychodzą nam na spotkanie. Witają, dopytują. Goszczą po chałupach, suszą ubrania, podają kaszę ze skwarkami ze wspólnej misy, mleko do popicia. Dzielą się tym, co mają. Opowiadają, jak sami uciekali w czasie I wojny, ile cierpieli. W ich oczach widzę współczucie i życzliwość. Pocieszamy ich i siebie, że wojna niedługo się skończy, Niemcy przegrają. Chcemy płacić. Ależ skąd, im też kiedyś pomagano. Polecają nas Bożej Opiece. Bóg zapłać!

Trudno uwierzyć, że nazajutrz będą się bali do nas odezwać. Będą udawać, że nas nie znają. A tak się stało, bo nazajutrz był 17 września.

16 września, noc. Kwatera w Motolu

Niezastąpiony Rawet przydziela nam i państwu Tyszkiewiczom dwa pokoje u Żydów (jest ich dużo w miasteczku). Ponoć największych komunistów, choć bardzo pobożnych. Dostajemy kilka snopków słomy, robimy legowiska. Cienkie koce, zabrane na szczęście z domu, muszą zastąpić prześcieradło, poszewkę i nakrycie.

Owinięci kocykami, kładziemy się rzędem na warstewce słomy. Chce się pić. Nogi jak sople lodu. Sen nie nadchodzi. W mózgu myśli. Czy długo tak wytrzymamy? Jutro trzeba się rozejrzeć, gdzie można kupić coś do jedzenia. Paweł dał nam trochę pieniędzy. W dniu ewakuacji wszyscy pracownicy otrzymali trzymiesięczne pobory.

Co z nim się dzieje? Wiem tylko, że żyje. Dotarł tu jego kolega i przywiózł taką wieść.

17 września, nad ranem. W pułapce

Wszyscy śpią. Tylko ja myślę i myślę. Raptem – pukanie do okna. Siadam na legowisku, zrywa się też pan Olek. To jeden z jego kolegów. Poruszony. Słuchał radia: Sowieci przekroczyli granicę Polski. Mogą pojawić się za parę godzin i tutaj.

Rozpacz, przerażenie. Dokąd uciekać? Tam Niemcy, tu Rosjanie. Co robić? Otaczają nas bagna i rozlewiska Prypeci. Z Motola nie można wydostać się inaczej, jak tylko jedyną drogą, którą przybyliśmy tu z Janowa.

Powoli schodzą się i inni, naradzają się. Ale co tu można zrobić? Przeczekać?

W rogu pokoju stoi piec. Panowie zaczynają akcję palenia niebezpiecznych dokumentów, dowodów udziału w wojnie 1920 r., niszczą odznaki i odznaczenia.

Trzeba wziąć się w garść, nie panikować. Nadchodzi ranek. Idę z Mamą, by umyć się przy studni. Wtem Mama odpina żeton powstańczy z 1863 roku, należący do śp. Dziadka i – zanim spostrzegam się, co chce zrobić – wrzuca do studni. Nigdy się z nim nie rozstawała, to najcenniejsza pamiątka. „Dlaczego?" – płaczę. „Po wojnie przyjedziemy, wydobędziemy".

Wracamy. Około dziesiątej zjawia się nasz kwatermistrz. Ostrzega, by nie wychodzić z domu, bo będą sprawdzać, czy ktoś z nas nie ma broni. Panowie, którzy zachowali rewolwery, są obowiązani zdać je „miejscowym władzom tymczasowym". Cóż to za twór?

Mimo to wyszłyśmy. Miasteczko jak wieś: apteka, sklep, szkoła to jedyne atrybuty miejskości. Na ulicy mało ludzi. Zachodzimy do nauczyciela – mieszka przy szkole, nędza wygląda u niego z każdego kąta. Częstuje herbatą. Jeszcze nie wie o inwazji. Przeraża go ta wiadomość. Jest żonaty, ma malutkie dzieci. Płacze.

Wracamy. Na ulicy więcej ludzi. Nikt jednak nie manifestuje wrogości.

17 września, po południu

Zjawiają się osobnicy z czerwonymi opaskami. Ktoś mówi, że budują bramę powitalną dla Armii Czerwonej, i że zwołano wiec na popołudnie („armiści" nie zjawią się ani tego dnia, ani do końca września, gdy wreszcie otrzymamy zgodę na wyjazd z Motola).

Wiec jest burzliwy. Czytany jest nakaz Moskwy, by „bieżeńcom" zapewnić przydział żywności nieodzownej do przeżycia. I tak, przyznano każdemu z nas dzienne porcje chleba i kaszy, raz na parę dni kawałeczek słoniny, Żydom zaś – dwa jajka.

Mamy kaszę, po trzy łyżki na osobę. Gotujemy u nauczyciela. W sklepie u Żyda dało się kupić rondelek. Sprzedał, choć innych odsyłał do Warszawy. „Tam wam przygotowali" – mówił. Jedzenia mało, ale zawsze coś.

Tak to, w „pół-biedzie", dni płyną. Robi się chłodno. Bagna parują, wilgoć przesyca wszystko. Cienkie kocyki nie chronią. Nie wiadomo, kiedy nas stąd puszczą. Czekają na decyzje Moskwy.

Miejscowa hołota wyżywa się. Dowiadujemy się o zamordowaniu hrabiego Skirmunta i jego siostry (cały swój majątek przekazali na sierociniec prowadzony

ARCHIWUM RODZINNE

Irena Zarembianka z narzeczonym Pawłem Łucykiem, lato 1939 r.

przez siostry zakonne). Trzymano ich trzy doby bez jedzenia i picia zamkniętych w chlewiku. Wreszcie wywieziono przy wyciu gawiedzi i powieszono w pobliskim lesie.

26 września. Z powrotem

Gdy już straciliśmy nadzieję, każą nam się zbierać. Zostajemy odstawieni furmankami na stację w Janowie. Przypomina mi się świetny obiad sprzed trzech tygodni. Drzwi od restauracji zamknięte. Ktoś mówi: „Nie trzeba tam wchodzić". Wchodzimy. Wstrząsający widok: połamane meble, plamy zaschłej krwi. Wymordowano wszystkich. Dzieci też.

Pociąg podstawiany, tłumy. Wzdłuż peronu chodzi dwóch cywilów z czerwonymi opaskami, każdy z karabinem z bagnetem. Głód ściska żołądek. „Jeść, jeść, Mamusiu, jeść" – powtarzam bezwiednie. I wtedy, ponad głowami ludzi, zjawia się ręka z trzema sucharami wojskowymi i kawałeczkiem słoniny. „Niech pani weźmie" – słowa kierowane do Mamy. Las rąk podnosi się. Nie ja jedna jestem głodna. Mignął obdarty szynel bez dystynkcji i pasa, szara niegolona twarz, szare współczujące oczy. „To ostatnie. Więcej nie mam" – dodaje, jakby się tłumaczył.

Mamusia przyjmuje dar z wdzięcznością. Łamie suchary na drobne kawałki. Jeden daje mnie, resztą obdziela błagających ludzi. Prosi kogoś o scyzoryk, kroi słoninę na cieniutkie plasterki i rozdziela. Długo żuję swój kawałeczek. Jak najdłużej przetrzymać go w ustach!

Pozwalają wsiadać. Wagony bydlęce, podziurawione kulami.

27 września około północy dojeżdżamy do Łunińca. Tu noc w poczekalni.

28 września. Baranowicze

Znów w pociągu. Przedtem kubeczek wrzątku. Właśnie wniesiono i ustawia się kolejka. Kupujemy. Parząc wargi, delektujemy się, choć nie ma w nim cukru ani herbaty.

Powoli wszystko staje się mi obojętne. Przestaję nawet odczuwać głód. Nie obchodzi mnie, dokąd nas wiozą.

Następnego dnia przed południem pociąg staje w Baranowiczach. Nie chce mi się ruszyć z kąta, ale każą opuścić wagony. Drżę z osłabienia i zimna. Droga do poczekalni długa. Ach! Co za zapach w powietrzu! To panie z PCK rozdzielają zupę mleczną. Delektujemy się niebiańskim smakiem kleiku. Pyszny! Gorący! Wypijam do kropelki.

Popołudnie. Czekamy ciągle na pociąg do Białegostoku. Był już do Wilna, był do Brześcia. Poczekalnia prawie pusta. Zostałyśmy tylko z małą grupką z Janowa.

W końcu megafon: pociąg do Białegostoku. Wsiadamy. Pulmanowskie wagony, ciepło, czysto. Co za rozkosz! Wtulam się w kącik. Ogarnia mnie senność. Budzę się nagle po godzinie. Coś dziwnego dzieje się z moimi nogami. Ciężkie, drętwe, puchną w oczach. Cała jestem obolała.

30 września, rano. Białystok

Gramolimy się, słabe, wycieńczone. Z trudem się poruszam.

Pierwszy raz widzę „czerwonoarmiejców". Śmieszne czubate czapki z telepiącymi się nausznikami i naszytą wielką czerwoną łatą w kształcie gwiazdy. Niedawno oglądałam na tym dworcu jadących na front naszych żołnierzy. A teraz ci tutaj, ręka w rękę z Hitlerem. Skurcz w gardle.

Mama złapała wozaka z platformą. Ładujemy się, ruszamy. Woźnica opowiada, co się tu działo: o walkach i wejściu Niemców, o przekazaniu przez nich miasta wojskom sowieckim, o braku żywności, rekwirowaniu mieszkań. Gdy dojeżdżamy do rogu Mickiewicza z Elektryczną, mundurowi zatrzymują nas. Dalej „nie lzia". Zostaję przy walizkach, Mama idzie sprowadzić Pawła. Czekam pełna niepokoju. Jest! Och, jak się cieszę. Przecież nie minął jeszcze nasz „miodowy miesiąc".

Wieszam się jego ramienia i ostrożnie odmierzam każdy krok.

Jesień 1939 r. Pod okupacją

Kończą się nikłe zapasy w spiżarni. W sklepach brak nawet chleba, kolejki ustawiają się w nocy. Paweł stracił pracę (masowe zwolnienia). Wyprzedajemy, co się da, by kupić żywność. Coraz więcej ludzi trafia do więzienia, NKWD wszędzie węszy.

Lekarz stwierdził u mnie ciążę. Dziecko ma się urodzić w połowie czerwca.

Nasilają się aresztowania NKWD wśród znajomych i przyjaciół.

Nie wiem, co przyniesie jutro.

© IRENA ŁUCYK

ELIZA

Kącka:
Tam widok żyje

Wzniesienie Arthur's Seat nad Edynburgiem, wspinamy się. Wiatr, wicher nawet, morsko-skalny zapach. Sól skalna różni się od morskiej. Nie osiada, rozprasza się w powietrzu, inaczej drażni zmysły. Ale jest, jest na pewno. Edynburg stoi na grzbietach dwu fal: ciemnej, wodnej – i jaśniejszej, skalnej, choć ta bywa niemal czarna u podstawy. Dryf skał jest powolny, lecz odczuwalny. Wrzosów tu tyle, że zbocze góry wygląda jak pastwisko jednorożca. Ruda utrzymuje, że jedzą wrzosy – na podkręcenie fioletu. Bez nocnych popasów byłyby bledsze. Przysiadamy na skale i wdychamy samotność. Kolonia samotników, opodal kolejne gniazda: kilka par, trzy rodziny. Każdy w swoim gnieździe. Jedno młode wyskakuje z wrzaskiem: „Bo tu nie ma wifi!". Dorosły: „Przestań dziubać w telefon!". „Mówiłeś, że tu wszędzie mają wifi". „Nie w naturze". „Ale my tu zwiedzamy!". Dorosła: „Areczek, stul dziób. Szkotki się śmieją". Szkotki to my. Dorosły na poirytowaniu: „Podziwiaj, gówniarzu, teren". „Już podziwiłem, chcę wifi!". „Po co?!". „Bo ja nie wiem, gdzie jestem!".

North Berwick, szkockie miasteczko w obejmie pól, wzgórza, zatoki. Szturmujemy The Law – „Prawo", stróża okolicy. Niski masyw budynków, później ścieżka śródpolna, furtka wpasowana w ogrodzenie (płot pasożytujący na ciele starego muru) – i na szlak. Z łagodnego grzbietu morze widzę Cézannem, a pasma budynków Gauguinem. Gauguiny północne, z domieszką rdzy i stalowym filtrem morskiej bryzy. Widzę i pole kapusty, aż po horyzont. Uwodzi, magnetyzuje. Schodzimy. „Hallo", „Morning" – kolejne bramki pozdrowień na ścieżce. Jest i furtka, za nią pole kapusty, potężnej, mięsistej. Nie mogę sobie odmówić. Wskakuję w bruzdę. „Morning" – pozdrawia zdetonowany pielgrzym „Prawa". Odpowiadam i proszę Rudą o zdjęcie, ustawiam się. Pielgrzym drugi: „Yeah, great!" – dopinguje z niewyraźną miną. Za nim kobieta z psem. Staje, przygląda się, podchodzi. „To kapusta" – objaśnia. „I know, I know" – uspokaja Ruda. *Cabbage*, kabydż brzmi szorstko. Skąd jesteśmy? Z Polski. Ruda dopowiada, że u nas też mnóstwo kapusty. Ach, więc mają kabydż w dalekim kraju. Zza furtki spojrzeli na nas z troską.

Ciemne niebo nad Edynburgiem, zaraz lunie. My przy katedrze świętego Idziego, wyciągam parasolkę, bębni przeszywająco. Lejki w suknie, zagłębienia po ostrzale deszczem. A tu szpaler festiwalowych teatrów ulicznych, niektórzy zwijają się, inni walczą. Skrzypek rozstawił daszek, „żywy pomnik" skapitulował i wyskoczył z roli, opowiadacz improwizuje do garstki gapiów. Ja stoję w hipnozie deszczu, Ruda wybudza mnie i ciągnie za rękaw: „On coś chce". Czarne punkty w jej źrenicach, a wokół nich spiralki. Jest zew. „On" to żongler, który postanowił nie zaprzestać. Rotuje piłki, a te zderzają się z trzaskiem z kroplami. Niemal nikt przy nim nie został, a my tak. „On coś chce". Owszem, rzucił mi piłkę. Odrzuciłam i przez krótką chwilę nasze niewyrobione, sekowane przez ulewę ręce podawały mu piłki. Tylko on był artystą żonglerki, ale we trójkę byliśmy artystami ulewy, tricksterami sztormu. „On atakuje deszcz" – śmiała się Ruda. Nie znalazłabym celniejszego określenia. Została przy nas jedna para i żebrak etatowy, ten spod Idziego.

Samolot, gość przy oknie przysypia. A śni niespokojnie, w napięciu. Budzi się: „To mi się śniło, prawda?". „Najpewniej". „Spałem?". „Tak". „To dobrze dla nas, nie?". Uśmiecham się. „Jasne, nie widziała pani tego snu. Śnił mi się Edynburg, chociaż tam jeszcze nie byłem". „Aha". „Poszedłem zostawić walizkę do hotelu, szukałem kawiarni. I raptem jacyś goście zaczęli ładować nas do piwnic. Szybko, szybko. Mówili, że »przekładają miasto«. I poczułem mocne wstrząsy, rzucało że hej! A jak nas wypuścili, co zobaczyłem?". „?". „Pałac Kultury na wzgórzu zamkowym". „Haha, przełożyli na Warszawę". „Taką kaleką, bokiem nasadzoną na te ich wzgórza. We śnie wiedziałem, że to moja wina. I było mi niewymownie smutno".

Ruda podtyka filmiki z podróży dziadkowi. Ten miga się: „Ja już takich rzeczy nie zobaczę". Ruda na oburzeniu: „Co ty, Nora, mówisz. Przecież to widzisz!". „Co z tego – mówi Nora – zapomnę. Ty pamiętaj". Ruda poważnie: „Nora, ja nagrałam, co pamiętam. Resztę już zapominam". Dziadek: „Aha, czyli niewiele mi umknęło". „Tak".

Lidzbark Warmiński, zmierzcha. Siedzę w kuchni i patrzę na przesiąkający w ciemność wiadukt. Jest taka faza wieczoru, przynajmniej na Warmii, że mocne pastele zachodu przechodzą niemal niepostrzeżenie w akwarele mroku. I wiadukt rozmywa się, jeszcze widoczny, ale tylko prawem mocniejszego nasycenia niż pas nieba nad nim. Ciemny obrazek, jak depresyjne mazidła Rudej. Tak sobie patrzę, a w okno od ogrodu ktoś puka. Wyglądam – Maciuś, wnuk sąsiadki. „Przyjechałaś. Na długo?". „Oj nie, zaraz w drogę". „Szkoda. A pójdziesz na strych? Teraz jest dobra pora". „Hehe, pamiętam, że goniłeś diabła". „Szybko wygoniłem. Głupi był, beznadzieja". „A siedzi tam coś jeszcze?". Spoważniał: „Ja już jestem duży". „Tak". „I nie o to chodzi". „A o co?". „Zobaczysz. Tam widok żyje". „Tu też. Szybko się zmienia za oknem". „Nie! Tu tylko robisz oczami zdjęcia. A tam na strychu to sama kręcisz ten film. Tam jest takie studio". „Czyli już nie jama diabła". „Nie. Studio od chmur i kolorów. Ja mam latarkę, chodź". ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu" i „Idiomy". Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono".

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP” 35/2024

Komu wolno pisać

DOROTA KOZICKA, PRZEWODNICZĄCA KAPITUŁY NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA:

Sięgając do pudeł z książkami, które przychodzą do kapituły Nagrody Literackiej GDYNIA, czuję się jak poszukiwaczka skarbów. Otwieram kolejne z dreszczykiem emocji i nadzieją na odkrycie czegoś niebywałego. ↦

NAGRODA LITERACKA GDYNIA
www.nagrodaliterackagdynia.pl

PISAĆ KAŻDY MOŻE, ALE NIE KAŻDY POWINIEN – oznajmiają ci, którzy zawodowo albo z zamiłowania czytają literaturę i doznają zawodu przy lekturze takiej czy innej książki. Przyznam, że i mnie zdarza się tak myśleć, kiedy mam w ręku schematycznie skleconą z modnych tematów powieść, szukającą tanich sensacji biografię, pospiesznie spisany reportaż czy nadmiernie wybujałe pierwsze próby poetyckie lub prozatorskie, którym najwyraźniej przydałaby się porządna redakcja albo chociaż zdystansowana – odłożona w czasie – odautorska lektura.

Tak miewam, ale też wiem – bo wiemy to wszyscy – że historia literatury pełna jest utworów niespodziewanych, odrzuconych w momencie, kiedy powstały, więc chciałabym dawać czytelniczą szansę wszystkim książkom. No może nie tyle „wszystkim", ile wszystkim tym, które są w horyzoncie moich zainteresowań, choć i to nie do końca jest możliwe, zważywszy na ilość wydawanych w ostatnich latach książek. Ale sięgając do pudeł z książkami, które przychodzą do kapituły Nagrody Literackiej GDYNIA, czuję się jak poszukiwaczka skarbów i otwieram kolejne z dreszczykiem emocji i nadzieją na odkrycie czegoś niebywałego. I mam świadomość, że te emocje to wielki przywilej.

KAŻDY MOŻE, słychać z każdego kąta naszych nastawionych na indywidualną ekspresję i samorealizację czasów, a kierunki, kursy i poradniki kreatywnego pisania przekładają ten slogan na praktyczne wskazówki i ćwiczenie umiejętności. Spory o to, czy rzeczywiście można się w ten sposób nauczyć pisania literatury, nie wydają mi się rozstrzygalne – obie strony mają swoje przekonujące argumenty, a przypomnienie, że wiele zależy od jakości takich kursów, to banał. Można przecież wymienić kilka wspaniałych książek czy talentów, które dzięki takim miejscom się wykluły, a to niemało. Warto też docenić pożytek z takich studiów czy spotkań, które pozwalają nie tylko na pomyślenie i przegadanie własnych celów, umiejętności, słabości, blokad, ale też na uważne rozmowy o literaturze. A przede wszystkim – na uświadomienie sobie, że pisanie i czytanie są ze sobą nierozerwalnie sprzężone, że można być czytelnikiem albo czytelniczką, nie będąc pisarzem i pisarką, ale odwrotnie raczej nie.

Rosnące zainteresowanie pisaniem literatury (przy malejącym zainteresowaniu jej czytaniem) ma wiele przyczyn. Może wynikać – jak chcą niektórzy – z ogólnego przekonania, że do tego, by spełniać się artystycznie (i zostać muzykiem, tancerzem czy malarzem), konieczne są: talent, dyscyplina i długotrwałe ćwiczenia. A pisać potrafi każdy – wystarczy kartka albo komputer, trochę dobrej woli i czasu. Może coś w tym jest w punkcie wyjścia, ale nie mam wątpliwości, że dobra literatura (niezależnie od gatunku) wymaga wielkiego trudu i sporych umiejętności. O mozole i udrękach pisania czytamy i słyszymy niejednokrotnie, choć mają one różne wymiary.

Nie tak dawno „skruszony nałogowiec" Grzegorz Piątek, który napisał trzy znakomite książki w ciągu pięciu lat, bo pisanie sprawia mu „dziką przyjemność", napomykał w „Dwutygodniku" o „opłakanych skutkach ubocznych" pisarskiego rzemiosła dla „kręgosłupa, życia rodzinnego czy towarzyskiego". Japońska pisarka Minae Mizumura wyznawała w przedmowie do swojej powieści, że nawet jako autorka wielu książek utrzymująca się z ich pisania nie „uwolni się od wątpliwości", czy na pewno jest pisarką, czy ma w sobie ten rodzaj „niewidzialnej i przekraczającej ludzkie pojmowanie siły", która czyni człowieka artystą („Prawdziwa powieść ", tłum. Anna Zielińska-Elliott).

A Virginia Woolf rozpisała swój wysiłek uchwycenia życia, tego, co widzialne i nie, na całą powieść i jej bohaterki. To w niej Lily Briscoe jest świadoma tego, że: „wszystko, co w idei wydawało się proste, w wykonaniu natychmiast stawało się złożone; tak jak fale, które widziane ze szczytu klifu układają się symetrycznie, ale dla pływaka znajdującego się wśród

ANNA REZULAK / MATERIAŁY PRASOWE NLG

Spotkanie z nominowanymi do 18. Nagrody Literackiej GDYNIA w kategorii Proza. Od lewej: prowadząca spotkanie redaktorka naczelna „Dwutygodnika" Zofia Król oraz: Mateusz Górniak, Zyta Rudzka, Agnieszka Jelonek, Wiktoria Bieżuńska i Małgorzata Żarów, sierpień 2023 r.

FESTIWAL MIASTO SŁOWA

zacznie się **28 sierpnia w Gdyni** i potrwa do **1 września**.

W jego trakcie odbędzie się niemal **30 spotkań** i **wydarzeń** poświęconych współczesnej polskiej literaturze.

Wśród gości: Jacek Dehnel, Małgorzata Lebda, Dorota Masłowska, Mateusz Pakuła, Krzysztof Varga, Renata Lis i wielu innych.

Kulminacyjnym momentem festiwalu, **30 sierpnia**, będzie ogłoszenie laureatów i laureatek **19. Edycji Nagrody Literackiej GDYNIA**.

Szczegółowy program na stronie **nagrodaliterackagdynia.pl**

nich, porozdzielane są stromymi przepaściami i spienionymi grzebieniami". A pani Ramsey, kiedy pewnego „dziwnego poranka" słowa „wypisały się na szaro-zielonych ścianach": „Gdyby tylko umiała je połączyć, poczuła, gdyby umiała zamknąć je w zdaniu, wówczas dotarłaby do prawdy o wszystkim" („Do latarni morskiej", tłum. Magdalena Heydel).

Można jednak pomyśleć, że dziś nawet motywowana (pozorną) łatwością ekspresja pisarska wszystkich, którzy chcą spróbować sił na tym polu, ma swoje dobre strony i może stać się naszym sprzymierzeńcem w świecie bezosobowej komunikacji AI.

Pisać każdy może i do każdego należy wybór, jakie i po co ma to być pisanie. Czy chodzi o pieniądze, o sławę i pieniądze, o realizację rozpoznanego w sobie powołania, o zmierzenie się z wyzwaniem, jakim jest opowieść, o poczucie narracyjnego panowania nad własnym życiem, o satysfakcję z zobaczenia własnego nazwiska na okładce, o decyzję, że to fajny sposób na życie, czy o przekonanie, że zostało się do tego powołanym. Nie mam powodu deprecjonować żadnego z tych motywów, choć jako czytelniczka widzę zasadniczą różnicę między dziełem a książkowym produktem i wybieram takie pisanie, w którym gra (nawet niewprawna czy przegrana) toczy się o najwyższą stawkę.

PISAĆ MOŻE KAŻDY, ale nie każdy może zostać pisarzem, a i bycie pisarzem (zawodowym) nie gwarantuje (jak wiemy) sukcesu, zadowolenia i finansowej stabilności. Co z interesującej perspektywy pokazuje opublikowany niedawno przez autorski zespół: Agnieszka Budnik, Grzegorz Jankowicz, Alicja Palęcka, Michał Sowiński raport z badania kondycji gdańskich pisarek i pisarzy, zatytułowany „Pisać może dziś każdy". To właśnie ten raport stał się inspiracją naszego tegorocznego festiwalowego dodatku. ©

Agnieszka Budnik, Grzegorz Jankowicz, Alicja Palęcka, Michał Sowiński, **PISAĆ MOŻE DZIŚ KAŻDY. RAPORT Z BADANIA KONDYCJI GDAŃSKICH PISAREK I PISARZY,** Gdańsk 2024

Zawód: pisarz

ZUZANNA SALA

Pisarze i pisarki powinni nieść na sztandarach 800+, niski wiek emerytalny, komunalne mieszkalnictwo. Środowisko literackie powinny rozgrzewać dyskusje o bezwarunkowym dochodzie podstawowym. Kiedy poprawia się wszystkim, lepiej żyje się także pisarzom.

W dyskusji o produkcji literackiej można zauważyć dwa dominujące postulaty: demokratyzacji i profesjonalizacji. Obecnie są one niemożliwe do jednoczesnego wprowadzenia, choć nadzwyczaj często promowane przez te same osoby. To pęknięcie nie byłoby niczym bardzo zaskakującym (my, humaniści, lubimy się pławić w aporiach), gdyby nie fakt, że argumenty dotyczą regulacji rynku książki i samorządowej bądź państwowej polityki kulturalnej.

Na czym polega to rozdwojenie? Z jednej strony argumentujemy za demokratyzacją i decentralizacją procesu twórczego. Dysponujemy masą narzędzi, które wspierają uprawianie twórczości literackiej – od lokalnych warsztatów pisarskich po Wattpada. Rynek wydawniczy w Polsce z roku na rok coraz chętniej przyjmuje debiutantów: nowe nazwiska są w cenie, chętnie się o nich rozmawia. Prawdopodobnie o wydanie pierwszej książki w rozpoznawalnej oficynie jest dziś nieco łatwiej niż przed kilkunastoma laty.

Ku ogólnemu zadowoleniu poszerza się więc grono literatów. Wielu Polaków pisze i traktuje to zajęcie poważnie. Z drugiej strony coraz głośniej wybrzmiewają postulaty profesjonalizacji zawodu pisarza oraz zrzeszania się w walce o wspólne interesy. Twórcy biorący udział w badaniu kondycji gdańskich pisarzy i pisarek, opublikowanym w raporcie „Pisać może dziś każdy", mieli na ten temat dość jednoznaczną opinię.

Jak podsumowuje Alicja Palęcka: „W zebranym materiale wyraźnie dominowało przekonanie, zupełnie nowe z perspektywy badań sprzed dekady, że pisanie to praca, za którą należy się wynagrodzenie. Jest to w tym sensie taka sama jak praca w supermarkecie, praca dentystki, kafelkarza i budowlańca czy też piekarza, żeby wymienić kilka zawodów, co do których, jak zauważają rozmówcy i rozmówczynie, nikt nie zastanawia się, czy wykonującym je ludziom należy płacić za poświęcony czas".

Nie tylko przebadani autorzy artykułują ten punkt widzenia – jest on coraz powszechniej podzielany w środowisku literackim oraz gronie szeroko rozumianych pracowników kultury. Zdaje się jednak, że na poziomie logicznym trudno pogodzić entuzjazm wobec obu tych zjawisk: demokratyzacji i profesjonalizacji.

W obecnym systemie pisanie może być albo powszechne, albo profesjonalne. Jeśli mamy postulować godziwe stawki za pisanie – jeśli chcemy, by praca pisarza była wyceniana tak, jak praca piekarza – musimy założyć określone kryteria selekcji dla tej grupy zawodowej. A także m.in. ilość produkcji literackiej, którą chcemy utrzymać – oczywiście zakładając, że państwo, w którym ludzie zajmują się jedynie pisaniem książek (tak jak i państwo zamieszkałe przez samych piekarzy), byłoby niezbyt funkcjonalne.

Rzecz jasna wyostrzam ten obraz. Domyślam się bowiem, jaka wizja produkcji literackiej stoi za jednoczesnym wspieraniem demokratyzacji i profesjonalizacji. Chodzi o to, żeby warunki do uprawiania tzw. amatorskiej twórczości były jak najlepsze: by wspierać dzieci i młodzież w realizacji ambicji literackich oraz wzmacniać działalność lokalnych domów kultury i rejonowych bibliotek, w których mogą spotykać się ↦

↦ kluby czytelnicze i kółka pisarskie. Oraz by życie literackie było jak najbardziej inkluzywne i nie fundowało początkującym autorom „prób charakteru" przed debiutem – tj. by nie aprobować środowiskowego darwinizmu, zgodnie z którym przetrwają jedynie najlepiej dostosowani.

To wszystko dotyczy jednak odpowiedniego gospodarowania oddolną energią twórczą, wspierania jej na poziomie systemowym, ale nie profesjonalizacji. Uzawodowienie pisarstwa jest bowiem kolejnym krokiem, w pewnym sensie niezależnym od demokratyzacji. Jego istotą jest regularnie odbywająca się selekcja, za pomocą której wąskie grono autorów i autorek przenika z obiegu amatorskiego do profesjonalnego. Wtedy zaś należy zadbać o jak najlepsze warunki wykonywania zawodu dla tych twórców, których uznaliśmy za „dobro narodowe", których wyłowiliśmy z rzeszy amatorów. Apel o zabezpieczenia socjalne i godziwe stawki obejmuje interes wszystkich tych, którzy przeszli sito selekcji.

Ten model produkcji literackiej oparty na dwóch obiegach brzmi racjonalnie, ale jak zwykle w tego typu sytuacjach diabeł tkwi w szczegółach. A właściwie – w kryteriach selekcji. Kto ma bowiem decydować (i na jakiej podstawie) o przejściu autora z jednego obiegu do drugiego? Który obieg jest tym właściwym (najwartościowszym, najistotniejszym z kulturotwórczego punktu widzenia)? Pomijam oczywiście tych autorów, którzy z obiegu amatorskiego wyłaniani są przez wolny rynek i radzą sobie na nim doskonale. Na poziomie postulatów politycznych interesuje nas raczej tworzenie publicznego zamówienia – a więc niemotywowane żądzą zysku decydowanie o tym, że chcemy wspierać danego twórcę, gdyż uważamy jego działalność za istotną (mimo iż nie zarabia na siebie masową sprzedażą książek).

Rzecz dotyczy oczywiście polityki kulturalnej, która nigdy nie jest przezroczysta, nawet jeśli całkiem sprawnie taką pozoruje. Zawsze przecież u jej podstaw stoi przekonanie, że należy wspierać takie a nie inne wartości (etyczne lub estetyczne). Jeśli wybór nie jest zupełnie losowy, to musi być oparty na jakichś kryteriach, choćby niejawnych. Pytanie brzmi więc: kto o nich decyduje?

Jedna z potencjalnych odpowiedzi brzmi: krytyka literacka. Powszechne uskarżanie się na spadek znaczenia tej instancji życia literackiego przeczy powyższej intuicji. Pozycja krytyki przypomina dziś raczej pozycję stojącej przed domem baby, awanturującej się i wymachującej wałkiem w kierunku swojego chłopa, rynku książki, który szlaja się gdzie chce i nic sobie z tych pohukiwań nie robi. Jest się tą babą, skarży się głośno, wie się, że ma się rację, ale nie ma się pozycji władzy. I z całą pewnością nie dyktuje się tu żadnych warunków.

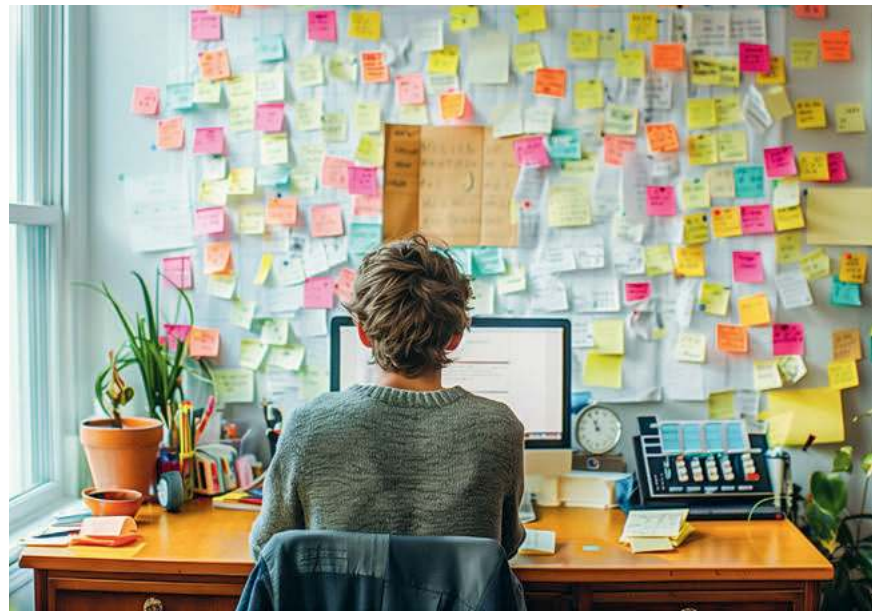

DAMIAN / STOCK.ADOBE.COM

A więc kto? Instytucje dystrybuujące prestiż (jakoś tam z krytyką powiązane – głównie przez osoby ekspertów), takie jak nagrody literackie i ośrodki przyznające stypendia oraz rezydencje? Do pewnego stopnia na pewno. Mimo iż decyzje gremiów jurorskich nie mają faktycznego przełożenia na sprzedaż, to przemodelowują pozycje autorów.

Finansowa gratyfikacja związana z wyróżnieniami prowadzi do częściowego utrzymywania się z pracy literackiej: albo krótkotrwale zapewnia autorowi byt, albo umożliwia mu na jakiś czas rezygnację z niektórych zobowiązań zawodowych. Nagrody pieniężne przyczyniają się więc do tego, że pisarze przechodzą z jednego obiegu do drugiego. Właśnie w ten sposób – za pomocą praktycznych decyzji – kształtują się kryteria. Często możemy się ich domyślić na podstawie analizy już podjętych decyzji.

Wobec nieprzeźroczystości zasad dystrybuowania prestiżu trudno dziwić się autorom sarkającym na mglistość tego systemu. Badani pisarze z Gdańska narzekają na upolitycznienie wyróżnień oraz ich towarzyskie zabetonowanie. Jeśli wierzyć ich skargom, można uznać, że w praktyce o sukcesie i widoczności autora decydują nie instytucje, lecz znajomości. Ten zarzut jest trudny do szybkiej weryfikacji – z pewnością wiele zależy od tego, jakim regulacjom podlegają eksperci decydujący o stypendiach czy nagrodach – nie należałoby jednak w punkcie wyjścia zakładać, że jest wyssany z palca.

Wszystko więc jakoś działa, ale problemy się mnożą. Autorzy, którym udało się przedostać z obiegu amatorskiego do profesjonalnego, są przekonani, że stało się to dzięki ich talentowi i ciężkiej pracy. Z kolei ci, którzy utknęli w czyśćcu – i stale obijają się o główny obieg, ale daleko im do choćby częściowego utrzymywania się z pracy literackiej – są przekonani, że padli ofiarą braku koneksji i niedopasowania do aktualnej koniunktury. Trudno uniknąć wrażenia, że wszyscy patrzymy tylko na jakieś wycinki krajobrazu, gubiąc po drodze szansę na uchwycenie całości.

Nie chcę w tym miejscu bynajmniej sugerować, że mam pomysł na to, jak powinna wyglądać polityka kulturalna Polski i że dysponuję receptą na wszystkie wypunktowane wyżej problemy. Wręcz przeciwnie – głowię się nad nimi i jestem przekonana, że moja pozycja jest mocno ograniczona. Brakuje mi zarówno twardych danych związanych z kulturą literacką współczesnej Polski, jak i wiedzy o specyficznych trudnościach, na jakie natrafiają ci, z którymi sama mam niewiele wspólnego. Myślę jednak stale o jednym zasobie, który – co do tego nie mam żadnych wątpliwości – jest abso-

lutnie kluczowy, zarówno gdy mówimy o odbiorze produkcji kulturalnej, jak i jej tworzeniu. Tym zasobem jest wolny czas.

Dzięki dysponowaniu wolnym czasem możliwa jest sztuka i literatura. Bez odpowiedniej ilości wolnego czasu nie da się ani przeczytać dłuższej powieści, ani jej napisać. Kultura studencka od lat przeżywa kryzys nie tylko dlatego, że stale demontuje się służącą jej infrastrukturę, ale przede wszystkim dlatego, że po zajęciach studenci chodzą do pracy, a po pracy na zajęcia i nie zostaje im zbyt wiele wolnej przestrzeni na założenie grupy literackiej czy kabaretu. Pisarze i pisarki domagają się wynagrodzenia za swoją pracę nie tylko dlatego, że chcą quasi-rynkowego uprawomocnienia swojej pozycji, ale dlatego, że honorarium oznacza dla nich więcej niezagospodarowanego inną zawodową aktywnością czasu, który mogą przeznaczyć na dalszą pracę twórczą.

Jedynym sposobem racjonalnego i sprawiedliwego godzenia postulatów demokratyzacji i profesjonalizacji wydaje się więc walka o wolny czas dla wszystkich. Tak dla już piszących, jak i dla potencjalnych autorów i twórców-amatorów. Dla tych, którzy czytają, jak i dla tych, którzy po pracy nie mają sił sięgać po książkę. Poszerzenie dostępu do tego zasobu przyniosą nam jednak nie kampanie promujące czytelnictwo, lecz wszelkie formy redystrybucji i świadczeń uniwersalnych.

Trudno oprzeć się więc wrażeniu, że na postulaty bezpieczeństwa socjalnego powinniśmy patrzeć poza branżowym partykularyzmem. Pisarze i pisarki powinni nieść na sztandarach 800+, niski wiek emerytalny, komunalne mieszkalnictwo. Środowisko literackie powinny rozgrzewać dyskusje o bezwarunkowym dochodzie podstawowym. Kiedy poprawia się wszystkim, poprawia się też pisarzom. Wiara w odwróconą wersję tej tezy („kiedy poprawia się pisarzom, poprawia się całemu społeczeństwu") jest jedynie fantazją. © ZUZANNA SALA

O tych i innych kwestiach porozmawiamy podczas spotkania, które odbędzie się **31 sierpnia o godz. 12 w Muzeum Miasta Gdyni.** Moimi rozmówcami będą: **Anna Łazar, Grzegorz Jankowicz, Alicja Palęcka** i **Jacek Dehnel.**

Spotkanie będzie można obejrzeć także na Facebooku Nagrody Literackiej GDYNIA.

Ja chcę brać udział!

ELIZA KĄCKA

Im bliżej naszych czasów, tym bardziej – wbrew pozorom – tężeje solidność bariery dzielącej konfraternię literacką od amatorów.

Wszystko zaczęło się dziewięćdziesiąt lat temu. Pisać – i wydawać z sukcesem – zaczęli ludzie nigdy dotąd nie widywani w konfraterni autorów. Wyróżniał ich kompletny brak tzw. oczytania. Ani studiów, ani „wykształcenia domowego" w rodzinnym dworku – nic.

Jak zdobyli się na kulturę słowa, jest chyba po dziś zagadką. Jakiś gastarbeiter w Niemczech (1930), pikolak z „Astorii" (1932), żydowski złodziej z Otwocka (1933), kelner u krakowskiego Bisanza (1936), przemytnik na wschodniej granicy (1937), girlsa kabaretowa z „Morskiego Oka" (1938)... Nic w ich życiu nie zapowiadało, że wezmą się za pisanie. Ale pisali o sobie, i to nie byle co. Rzecz jasna, najwybitniejsza była zawsze pierwsza książka. Przy następnych kontakt z literaturą zawodową osłabiał ostrość widzenia. Nie dotyczy to tylko pikolaka z „Astorii", który okazał się genialny i imponował samemu autorowi „Ferdydurke".

Po wojnie, mimo programowego zbliżenia literatury do ludu, ruch ten zamarł. Wymienić warto raptem dwa przypadki: sięgającą początku wieku autobiografię działacza PPS (1948) oraz opowieść dziewczynki hodowanej na sługę w sierocińcu sióstr felicjanek (1953). Oboje z dołów społecznych, że szkoda gadać. I obie książki drastycznie dziś niewygodne. W ogóle cały fenomen jest niewygodny, bo wszystko miało być dla wszystkich. Może dlatego nikt nie opracował dotąd jego socjologii. Stąd na wszelki wypadek nie podaję nazwisk.

Gdyż im bliżej naszych czasów, tym bardziej – wbrew pozorom – tężeje klimat zawodowstwa i solidność bariery dzielącej konfraternię literacką od utrapionych amatorów. Nie dla psa kiełbasa! Daje temu świadectwo nie zawsze sympatyczny w tonie, choć zabawny (nie dla piszących) zbiór odpowiedzi prasowych pewnej znakomitej Poetki, „Poczta literacka" (2014). Większości jej korespondentów sprzed pół wieku musiało być bardzo łyso. Poetka drwi z nich po prostu i wprost – w tonie „Ja tu tylko sprzątam!".

Czemu więc, wbrew afrontom, tak lgną do mirażu literatury adepci mający tyle co nic, lub prawie, do opowiedzenia? Z mnóstwa powodów wybieram ten, którym żongluje utwór pewnego okrutnego Dramaturga pt. „Zabawa" (1962). Ach, dostać się tam – mówią ofiary swoich rojeń – gdzie się bawią, gdzie żyje się całą gębą, gdzie wszystko odzyskuje sens! Lecz, jak wiemy, nie dla psa kiełbasa...

W związku z tym wyłania się kwestia ról pretendenta oraz krytyka. Czyli tego, co aspiruje, i tego, co sprząta. Ról tych nic nie objawi lepiej od fragmentu wspomnień krakowskich sprzed lat stu dwudziestu pewnego znakomitego Tłumacza. Rzecz dzieje się w znanym ówcześnie, sławetnym kabarecie:

„Staś C.[zajkowski], kompletnie pijany, słania się na nogach. Układają go w kącie na kupie paltotów, aby się przespał. Ale elektryzują go dochodzące dźwięki muzyki; zrywa się ze słowami: »ja chcę brać udział« i – dostaje ataku typowej morskiej choroby. Przychodzi chłopiec, zasypuje ten »udział« trocinami, sprząta, Staś śpi. Budzi go nowa fala muzyki, gwaru; znów się zrywa: »Ja chcę bra-ać u-udział«. I znów trociny, sprzątanie, sen, itd. Termin »brać udział« stał się przysłowiowym określeniem". ©

Okiem wydawcy: po godzinach

KONRAD NOWACKI, REDAKTOR WYDAWNICTWA CYRANKA

Niewielka część publikacji przynosi wydawcy literatury korzyści. Zyski są konsumowane przez dystrybutorów, a porozumienie wydawców, by się im przeciwstawiać, jest niemożliwe, ponieważ mają oni różne interesy, a mianowicie tych wielkich nie interesuje literatura.

Nie, nie każdy powinien pisać, a odpowiadam w ten sposób ze względu na szczególny kontekst nadmiaru, nie zaś w przekonaniu, że pisanie wymaga określonego obycia z książkami lub warsztatu, który można szlifować jedynie posiadając wykształcenie humanistyczne – jest to rzecz jasna nieprawda.

Nie każdy może pisać, do pisania dobrego, lub choćby znośnego (nie wszystkie książki warte publikacji są świetne) potrzebny jest talent, a ów talent bywa różny, i nie musi oczywiście zależeć od kapitału społecznego – może to być talent do frazy Doroty Kotas lub do poetyckiego spostrzeżenia jak u Łukasza Barysa, albo – chyba najrzadszy – talent do fabuł (ten najwięcej pomaga w sprzedaży, vide „Żywot i śmierć pana Hersha Libkina z Sacramento w stanie Kalifornia" Ishbel Szatrawskiej).

Autorzy, którzy sprawnie posługują się językiem i go rozumieją, miewają czasem problemy z opowiadaniem wciągających historii. Bywa, że potrafią pisać, lecz nie mają nic ważnego do powiedzenia. W następstwie tego ostatniego problemu pojawia się niekiedy, jak sądzę, karkołomny pomysł, by sam język, a właściwie potoczystość, przemieniła niejasny koncept we frapującą książkę (tak dzieje się najczęściej w prozach autobiograficznych, to jasne).

Propozycji jest mnóstwo, znośnych wcale nie mało, dobrych niewiele, znakomitych tyle co kot napłakał. Za wszystkie jesteśmy wdzięczni, warto próbować, bo obraz własnej twórczości jest zawsze wykrzywiony, i może być nie tylko zbyt pobłażliwy, ale też zbyt surowy. Wysyłajcie, piszcie! Debiuty wbrew powszechnemu przekonaniu są przez wydawców lubiane. Cyranka ich wyczekuje.

Niewielka część propozycji przynosi wydawcy literatury korzyści. Zyski są konsumowane przez wielkich dystrybutorów, a porozumienie wydawców, by się im przeciwstawiać, jest niemożliwe, ponieważ wydawcy mają różne interesy, a mianowicie tych wielkich nie interesuje literatura, nawet jeśli publikują czasem wspaniałe pozycje. Nie interesuje ich, ponieważ dobrze czują się w układzie, w którym producent książek rzuca na rynek cokolwiek, za to obficie, licząc, że jeden ze stu kryminałów czy poradników stanie się bestsellerem i utrzyma całą resztę, co często rzeczywiście ma miejsce.

Kurczy się przestrzeń dla literatury w mediach. Niewielu dziennikarzy chce pisać o książkach. Autorzy są niewidoczni. Nawoływania, by „postawić na promocję", które czasem słychać z boku, są oderwane od rzeczywistości. Wykupić bilbordy, oto wspaniały pomysł na stratę pieniędzy. Można też przepalić niebotyczne kwoty na reklamy tworzone przez agencje, kolejno zaskoczone, jak płytki jest rynek książek: „poszłoby, gdyby to były zegarki!". Pojawiają się nawet próby przerzucenia kosztów tworzenia kontentu na wydawców, chodzi o płacenie za wywiady. Odpowiedzią na to może być tylko budowanie wokół książek społeczności, co znakomicie robi ArtRage, dobrze Filtry etc.

Wydawanie literatury jest zawsze ryzykowne, bywa w ogóle nieopłacalne i tu zarysowuje się ciekawa paralela między wydawcami literatury a twórcami. Pisać mogą osoby dysponujące czasem wolnym, bo też z pisania bardzo trudno jest się utrzymać (tantiemy i zaliczki są liche). Podobnie jest z wydawaniem książek. Małe literackie oficyny często powstają przy innych biznesach np. rodzinnych, albo są finansowane przez prywaciarzy, którzy zapragnęli być mecenasami kultury, albo są robione po godzinach. Wydawcy wyczekują dotacji, dotacje ich ratują, ich samych i te zamówione przez nich wspaniałe przekłady, których inaczej nie mielibyśmy okazji poznać. ©

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 35/2024
REDAKCJA: Monika Ochędowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
PARTNERZY
NAGRODA LITERACKA GDYNIA
GDYNIA MECENAS NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA
miasto słowa.

ANNA REZULAK / MATERIAŁY PRASOWE NLG

W oczekiwaniu na spotkania Festiwalu Miasto Słowa w Gdyni, sierpień 2023 r.

Okiem wydawcy: zawartość skrzynki i portfela

FILIP FIEREK, REDAKTOR WYDAWNICTWA DRZAZGI

Przyjmując, że średni nakład książki w Polsce wynosi około dwóch tysięcy egzemplarzy, a osoba pisząca otrzymuje zazwyczaj tantiemy w wysokości kilkunastu procent ceny okładkowej, łatwo obliczyć, ile pieniędzy dostanie za kilka lat pracy twórczej. Dziesięć–piętnaście tysięcy złotych.

Zawartość naszej poczty elektronicznej dobrze ilustruje kondycję pola literackiego w Polsce. W nadsyłanych propozycjach wydawniczych manifestuje się dyskurs, który nami rządzi, a także późnokapitalistyczna rzeczywistość. Wiele z nich ma określoną strukturę – oprócz samego tekstu otrzymujemy informacje o prognozowanej grupie odbiorców i możliwościach autopromocyjnych pisarki lub pisarza.

Być może ktoś gdzieś, na kursach pisania, uczy uczestniczki i uczestników takiego modelu komunikacji z wydawnictwami. Ale biorąc pod uwagę, że takie wiadomości otrzymujemy również od osób, które chcą zaistnieć w autonomicznej części pola, w niszy literatury ambitnej, a nie gatunkowej, można wyciągnąć z tego inny, bardziej niepokojący wniosek: książka jako taka stała się produktem, który należy jak najlepiej sprzedać, zaspokoić oczekiwania określonej grupy czytelników, z góry przez aspirującego pisarza lub pisarkę zdefiniowanej.

Ma w tym pomóc właśnie wspomniany potencjał autopromocyjny, który dobrze jest zbudować, jeszcze zanim skieruje się propozycję do wydawnictwa. Zdaje się, że rzeczywiście świadczy to o znaczących przesunięciach w hierarchii kapitałów, o które walczą uczestnicy pola literackiego. Dla części autorów liczy się dziś przede wszystkim widzialność w nowych mediach i mediach tradycyjnych, potencjalnie gwarantowana przez chwytliwe tematy podejmowane w ich twórczości, mniej zaś prestiż, tradycyjnie rozumiany jako uznanie krytyki, nominacje i nagrody.

Chyba trudno się temu dziwić, skoro arytmetyka mówi sama za siebie. Przyjmując, że średni nakład książki w Polsce wynosi około dwóch tysięcy egzemplarzy, a osoba pisząca otrzymuje zazwyczaj tantiemy w wysokości kilkunastu procent ceny okładkowej (załóżmy, że wynosi ona pięćdziesiąt złotych), łatwo obliczyć, ile pieniędzy dostanie za kilka lat pracy twórczej. Dziesięć-piętnaście tysięcy złotych.

Te prekarne realia stanowią być może wystarczające wyjaśnienie, dlaczego wielu aspirującym autorkom i autorom, wciąż wierzącym, że mimo wszystko odniosą sukces finansowy, tak bardzo zależy na widzialności w mediach tradycyjnych i społecznościowych, która w sposób bardziej oczywisty przekłada się na sprzedaż książki niż pochwały akademickiej krytyki.

Dyskurs krytycznoliteracki się zdemokratyzował, a uczestnicy pola literackiego zaczęli mylić kapitał medialny z symbolicznym. Krytyka jako instytucja uległa dewaluacji i straciła moc konsekrującą. Także my, wydawcy literatury ambitnej, cieszymy się z przychylnych omówień autorstwa poważanych krytyków w dużej mierze w nadziei, że wpłynie to na sprzedaż naszych książek i pozwoli nam nie zatonąć: ograniczyć straty, spłacić długi, może wyjść na zero, czasem coś zarobić.

Bywa bowiem, że nie tylko pisarze, ale i wydawcy wiodą podwójne życie, ponieważ nie są w stanie utrzymać się z głównej aktywności, jaką podejmują w polu – pisania i wydawania. Pracują na drugi etat, ci pierwsi – żeby związać koniec z końcem, ci drudzy – żeby podtrzymać przy życiu oficynę, którą prowadzą. Jedziemy na jednym wózku i ten wózek niechybnie i z hukiem się przewróci, jeśli nic nie zmienimy.

Co jednak musiałoby się wydarzyć, żeby karta się odwróciła? Nadzieja odżyła we mnie po zmianach w Instytucie Książki i Polskiej Izbie Książki. Ratunkiem byłaby dla nas – pisarzy, wydawców i księgarzy – ustawa o jednolitej cenie książki, o ile oczywiście regulowałaby także relacje między wydawnictwami a dystrybutorami, zabierającymi nam obecnie ponad połowę ceny okładkowej, oraz rozbudowany system państwowego wsparcia dla ambitnej literatury i wszystkich uczestników pola, którzy są zaangażowani w jej powstawanie. ©

NAUKA

ZWIERZĘ NAJDOSKONALSZE

Myślicie, że największym osiągnięciem ewolucji jest człowiek? To popatrzcie na leniwce!

ŁUKASZ KWIATEK

Gdyby przymknąć oko na jeden palec i niepozorny, choć bardzo praktyczny ogon, niełatwo byłoby je od siebie odróżnić. Nie tylko wyglądają niemal identycznie w swoich zielonkawych futrach, ale też w podobny sposób spędzają życie, najczęściej zwisając głową w dół w koronach drzew. A jednak leniwce trójpalczaste i dwupalczaste są z sobą zadziwiająco słabo spokrewnione.

Według analizy opublikowanej przez Luciano Varelę i współpracowników w „Systematic Biology" w 2019 r., ostatni wspólny przodek współczesnych leniwców mógł żyć nawet 40 mln lat temu. Wcześniejsze publikacje wskazywały na ok. 30 mln lat oddzielnej ewolucji. W każdym razie: to zaskakująco długo, zważywszy na to, że w takim okresie ewolucja potrafi zdziałać cuda w obszarze bioróżnorodności. Dość powiedzieć, że w zbliżonym czasie udało się jej zróżnicować małpy Starego i Nowego Świata, czyli wyprodukować, wychodząc od wspólnego przodka, tak niepodobne do siebie stworzenia jak np. ludzie, orangutany, wyjce i kapucynki.

Co więcej, ich ostatni przodek mógłby się do współczesnych leniwców w ogóle nie chcieć przyznać. Możliwe, że było to stworzenie o rozmiarach zbliżonych raczej do niedźwiedzi, a nie do współczesnych leniwców, majestatycznie poruszające się po ziemi i odżywiające trawą, a nie zwisające całymi dniami na gałęziach i schodzące na dół, jak czynią to jego współcześni krewniacy, tylko w jednym celu – żeby się wypróżnić.

Świat należał do nich

Dlatego uważa się, że leniwce dwu- i trójpalczaste musiały wykształcić szereg przystosowań do swojego ospałego i nadrzewnego trybu życia niezależnie od siebie. To jeden z najbardziej spektakularnych przykładów ewolucji konwergentnej wśród zwierząt – procesu prowadzącego do tych samych rozwiązań anatomicznych i podobnych strategii zachowania różnymi genetycznymi ścieżkami, ze względu na podobne presje środowiskowe działające na dwie grupy organizmów. Niech nas jednak nie zmylą fachowe terminy – w rzeczywistości mało wiemy o tym, dlaczego ewolucyjne trajektorie współczesnych leniwców, po tym jak już się rozdzieliły, przez 30-40 mln lat biegły niemal równolegle.

Odległe pokrewieństwo między tymi dwoma współczesnymi rodzajami leniwców uzasadnia posługiwanie się bardziej zróżnicowanym nazewnictwem – w polskojęzycznej literaturze naukowej używa się dwóch różnych określeń: leniwce (to te trójpalczaste, łacińska nazwa: *Bradypus*) i leniuchowce (dwupalczaste, *Choloepus*). Pierwsze są nieco mniejsze (mogą ważyć 4-6 kg), odżywiają się niemal wyłącznie liśćmi, i to tylko wybranych gatunków drzew, a także posiadają ogony, które pomagają im we wspinaczce czy wykopywaniu dołków na odchody. Większe leniuchowce (ważą do

TOM INGRAM / ALAMY / BE&W

ok. 10 kg) nie mają ogonów i są mniej wybredne, liściastą dietę uzupełniają owocami czy owadami. Dlatego to je znacznie częściej można spotkać w ogrodach zoologicznych, choć zwiedzającym pokazują się wyłącznie jako śpiące, futrzaste kulki – leniuchowce prowadzą typowo nocny tryb życia. Rzecz jasna także w czasie czuwania ani leniuchowce, ani jeszcze mniej żwawe leniwce nie są zbyt aktywne – poruszają się z prędkością dochodzącą do 4 metrów na minutę, po ziemi nieco wolniej niż na drzewach.

Współcześnie w lasach Ameryki Południowej i Środkowej występuje siedem gatunków tych stworzeń – bardziej zróżnicowany jest rodzaj *Bradypus* (pięć gatunków). Dawniej było ich dużo więcej i spotkać je można było na większym obszarze, nie byłoby przesadą stwierdzenie, że świat należał do leniwców – przynajmniej ten nowy i do czasu, aż wkroczył na niego człowiek.

Inwazja na Amerykę

W zapisie kopalnym leniwce (taksonomowie użyliby w tym miejscu określenia *Folivora*, czyli liściożery – do tej grupy zaliczane są współczesne leniwce, leniuchowce i cała masa ich wymarłych kuzynów) pojawiają się ponad 30 mln lat temu – i są to właśnie dużych rozmiarów leniwce naziemne. Nie mamy więc zbyt dobrego wglądu w to, jak wyglądały ewolucyjne początki tych zwierząt, a zwłaszcza kiedy i jak pewna ich część dostosowała się do życia na drzewach. Dysponujemy jednak innymi metodami zaglądania w historię naturalną leniwców, bo czas rozdzielenia się dwóch linii ewolucyjnych można szacować dzięki metodom pośrednim – poprzez analizy molekularne, które biorą pod uwagę różnice genetyczne i średnie tempo zachodzenia mutacji. Tego rodzaju badania sugerują, że leniwce (*Folivora*) wyewoluowały 50-60 mln lat temu – pewnie jak wiele innych ssaków skorzystały z okazji, iż nieco wcześniej wyginęły dinozaury, zatem pojawiło się wiele nisz ekologicznych do zasiedlenia. Najbliższymi krewnymi wczesnych leniwców byli przodkowie dzisiejszych mrówkojadów i pancerników.

Leniwce pojawiły się w Ameryce Południowej, prawdopodobnie na południu Argentyny lub Chile, ale z czasem, w ciągu ostatnich 5-10 mln lat, skolonizowały ↦

Leniwce trójpalczaste (na zdjęciu) bardzo przypominają swoich odległych, dwupalczastych kuzynów. Różni je m.in. to, że są aktywne w ciągu dnia.

↦ Amerykę Środkową i Północną, a także Wielkie Antyle. Ponieważ Przesmyk Panamski łączący obie Ameryki powstał niespełna 3 mln lat temu (wcześniej w tym miejscu występowały wulkaniczne wysepki), szlaki migracyjne leniwców musiały prowadzić przez morze. Nie jest to jednak zaskakujące – także współczesne leniwce dobrze pływają, a jeden z kopalnych rodzajów (*Thalassocnus*) żył na wybrzeżu Peru w częściowo wodnym środowisku – jak np. hipopotamy – od 6 do 3 mln lat temu.

Paleontolodzy doliczyli się już ok. stu rodzajów wymarłych leniwców, a do ich obecnego stanu (zaledwie dwa rodzaje nadrzewnych leniwców) musieli się po części przyczynić nasi przodkowie. Przynajmniej kilka gatunków leniwców naziemnych wymarło ok. 10 tys. lat temu – niedługo po tym, jak ludzie skolonizowali Ameryki. Te wielkie, roślinożerne bestie – niektóre osiągały rozmiary słoni – musiały budzić respekt drapieżników i raczej nie były przyzwyczajone do strachu o własne życie. Zapewne nie było łatwo przebić ich futra (choć niektórzy badacze podejrzewają, że naziemne leniwce mogły być słabiej owłosione niż ich współcześni nadrzewni kuzyni, bo to lepiej chroniłoby je przed przegrzaniem się i utratą wody), ale przynajmniej trafienie w tak duży cel oszczepem czy z łuku nie powinno wymagać nadludzkiej precyzji. Niekoniecznie jednak winą za wyginięcie wszystkich tych zwierząt należy obarczać dwunożnych amatorów steków z leniwca. Liczebność populacji naziemnych leniwców mogła się załamać w nieprzewidywalnych okresach epoki lodowej jeszcze przed przybyciem ludzi, gdy zwyczajnie zaczynało brakować w lokalnym środowisku zasobów, by wyżywić tak wielkie zwierzęta.

Życie postawione na głowie

Kilka hipotez – być może każda z nich jest poprawna – wyjaśnia, dlaczego leniwce schodzą na dół, by się wypróżnić. Pierwsza głosi, że zostawiając odchody pod drzewami, oznaczają je, co może być efektywnym sposobem komunikacji, zwłaszcza że nie są zbyt gadatliwe – rzadko wydają dźwięki, chyba że akurat ogłaszają, iż są gotowe do zalotów. Według innej hipotezy leniwce wypróżniają się na ziemi ze względu na żyjące w ich futrach ćmy, bo ich larwy żywią się odchodami leniwców, a potem wchodzą z tymi ssakami w symbiozę. To właśnie swoim symbiotycznym ćmom leniwce zawdzięczają glony, które nadają ich futrom zielonkawy odcień, niespotykany u ssaków i pozwalający im lepiej kamuflować się w lesie. Według jeszcze innej hipotezy schodzenie „za potrzebą" to dla leniwców dobra okazja do zjedzenia nieco gruntu – i przyswojenia występujących w nim minerałów. W każdym razie wyprawa do naziemnej toalety nie jest u leniwców czymś częstym – robią to zaledwie raz w tygodniu.

JANOSSY GERGELY / SHUTTERSTOCK

Całe ciała leniwców to ogromny zbiór adaptacji do ich wyśnionego stylu życia. Ścięgna, ze względu na swoją budowę, pozwalają im wisieć na gałęziach bez większego wysiłku.

Całe ciała leniwców to ogromny zbiór adaptacji do ich wyśnionego stylu życia. Obserwujemy to nawet w budowie ścięgien, które pozwalają im wisieć na gałęziach bez większego wysiłku (pomagają w tym także długie, zakrzywione pazury). Utrzymują bardzo niskie tempo metabolizmu – połowę niższe niż w przypadku ssaków o tej samej wielkości – a nawet potrafią w zadziwiający sposób zarządzać wydatkowaniem energii, ograniczając jej zużycie nie tylko w niskich temperaturach, co typowe dla zwierząt, ale także w wysokich, czego się nie spotyka. Takie wnioski płyną z eksperymentu przeprowadzonego na trzymanych w niewoli leniwcach trójpalczastych przez Rebekkę Naomi Cliffe i współpracowników, opisanego w 2018 r. w „PeerJ" (badacze analizowali tzw. spoczynkowe tempo metabolizmu, a więc zużycie energii w sytuacji, gdy zwierzę nie robi nic). A ponieważ zużywanie energii zawsze wydziela ciepło, ograniczenie tempa metabolizmu przez leniwce jest ich unikalnym sposobem na chłodzenie się. Jak im się to udaje – nie jest jasne.

W każdym razie ich temperatura ciała też jest niższa niż u pozostałych ssaków, które solidarnie preferują ok. 36-38 stopni Celsjusza (pomiary u leniwców w spoczynku pokazywały nawet 27 stopni Celsjusza, choć częściej zmierzyć można 30-34 stopnie). Najwyraźniej leniwce potrafią lepiej dostosować ciepłotę swojego ciała do warunków otoczenia, co jest nietypowe dla organizmów stałocieplnych. Na uwagę zasługuje także ich zdolność do wstrzymywania oddechu – aż przez 20 minut.

W niewoli przesypiają nawet 20 godzin na dobę, choć na wolności prawdopodobnie śpią około połowę krócej. Muszą więcej czuwać, bo mimo kamuflażu i życia w koronach drzew są narażone na ataki drapieżników, przede wszystkim orłów. Na ziemi lubią na nie polować np. pantery, choć nie każda zaryzykuje spotkanie z długimi, ostrymi pazurami, którymi leniwce potrafią się bronić. Mniejszy pożytek mają ze swoich zębów, które służą im wyłącznie do rozcierania i miażdżenia roślinnego pokarmu.

Potomstwo jednego ojca

Można wspomnieć o jeszcze innych adaptacjach: włosy leniwców rosną odwrotnie niż u większości ssaków, czyli od brzucha w kierunku pleców. Normalnie ssaki poruszają się na czterech kończynach po ziemi, więc wyrastające na grzbiecie włosy pozwalają dobrze odprowadzać wodę, gdy pada na nie deszcz. Leniwce większość życia spędzają jednak wisząc w odwróconej pozycji na gałęzi – więc odwrotnie rosnące włosy spełniają dokładnie taką samą funkcję. Ale nie wszystka woda spływa po nich – jej część jest zatrzymywana w zewnętrznej warstwie futra, mającego nieco gąbczastą strukturę, co sprzyja rozwojowi żyjących w nim glonów.

Gdy wiszą głową w dół, mają całkiem spore pole widzenia – dzięki posiadaniu nietypowej liczby kręgów szyjnych (nawet do dziewięciu) mogą obracać głowę nawet o 270 stopni. Także ich klatki piersiowe dostosowały się do wiszącego trybu życia – obecny w nich rozbudowany system włókien sprawia, że układ pokarmowy, niezbędny do trawienia słabo przyswajalnych liści, nie naciska na płuca, gdy leniwce zwisają z gałęzi. Od-

dychanie w odwróconej pozycji musi być dla nich komfortowe i nie wymaga specjalnego wysiłku.

Podglądanie życia leniwców w naturalnym środowisku jest sporym wyzwaniem, dlatego nie mamy zbyt wielu raportów terenowych, zwłaszcza dotyczących ich zachowań społecznych. Wiemy, że są zwierzętami samotniczymi, bardzo rzadko dwa osobniki zajmują jedno drzewo, z wyjątkiem sytuacji, gdy akurat spółkują. Obserwacje z ogrodów zoologicznych przekonują, że nie są prędkimi zalotnikami – mogą minąć miesiące, zanim między parą leniwców zaiskrzy, choć, co ciekawe, badania terenowe leniwców pstrych (*Bradypus variegatus*) opisane w 2012 r. w „PLOS One" pokazały, że żyją dość promiskuitycznie – zarówno samce, jak i samice mogą mieć wielu partnerów. W tym przypadku samce osiągały bardzo zróżnicowany sukces reprodukcyjny – tylko 25 proc. z nich spłodziło potomstwo, a jeden osobnik został ojcem połowy przebadanych młodych. Nie możemy jednak uogólniać tej obserwacji na wszystkie gatunki leniwców, bo zebraliśmy zbyt mało danych na ten temat.

Zanim odkryliśmy dinozaury

Na stronach ogrodów zoologicznych i organizacji zajmujących się ochroną leniwców (takich jak The Sloth Conservation Foundation) znaleźć można informację, iż wymarłym olbrzymim leniwcom lądowym zawdzięczamy... awokado. Otóż drzewa, jak wiadomo, nie są organizmami zbyt ruchliwymi, co sprawia, że reprodukcja jest dla nich dość kłopotliwa. By ominąć ten problem, niektóre z nich inwestują w owoce. Zwierzęta, które się na nie skuszą, wydalają niestrawione pestki, z których na nowym terenie będą miały szanse wyrosnąć nowe drzewa. A ponieważ pestki awokado są duże, tylko takie stworzenia jak olbrzymie naziemne leniwce mogłyby przepuścić je bez szkód dla siebie przez swój układ pokarmowy.

Ta sugestia pojawiała się nieśmiało w literaturze naukowej, choć prawdziwą karierę zrobiła dopiero na portalach internetowych. Gdy jednak kilka miesięcy temu popularyzator nauki Hank Green próbował zebrać dowody przemawiające za nią, to doszedł do wniosku, że one... nie istnieją. Nikt jeszcze nie wykrył chemicznego sygnału w skamieniałościach leniwców naziemnych, który świadczyłby o tym, że zjadały one w ogóle owoce awokado. Zresztą, zanim ludzie zaczęli uprawiać awokado i zmieniać jego genotyp metodą sztucznej selekcji, drzewa te rodziły o wiele mniejsze owoce – w ich reprodukcji mogły więc pośredniczyć także mniejsze zwierzęta.

Kilka dekad przed tym, jak zbiorową wyobraźnię podbiły dinozaury, największą sensacją paleontologii były wielkie leniwce. Pierwszego z nich – rodzaj *Megatherium* – zidentyfikował sam Georges Cuvier, twórca anatomii porównawczej i człowiek, który udowodnił, że skamieniałości reprezentują zwierzęta dawno wymarłe. O wielkich leniwcach nadal przemierzających Amerykę Północną marzył Thomas Jefferson, który użył ich przykładu, by walczyć z tezami innego wpływowego przyrodnika, Georges'a de Buffona, twierdzącego, że Ameryka Północna jest kontynentem istot zdegenerowanych, bo jej surowy klimat ma powodować „psucie się" gatunków. Dziś leniwce nie budzą tak wielkich emocji wśród naukowców, choć w XXI w. w końcu skuteczniej przebiły się do popkultury – coraz częściej pojawiają się na koszulkach, w memach, książkach dla dzieci czy filmach animowanych (najbardziej znanym przedstawicielem jest Sid, bohater serii „Epoka lodowcowa", który jest jednak pewną osobliwością – nie przypomina ani ospałych leniwców nadrzewnych, ani majestatycznych lądowych).

Rosnąca liczba miłośników leniwców może spać spokojnie – w najgorszej sytuacji (krytycznie zagrożone wyginięciem) znajdują się leniwce karłowate (*Bradypus pygmaeus*), zamieszkujące wyłącznie wysepkę Escudo de Veraguas u wybrzeża Panamy; pozostałe gatunki ciągle mają się dobre. To bardzo pocieszające – źle by to o całym świecie świadczyło, gdyby tak udane i rozsądnie żyjące zwierzęta miały problem z przetrwaniem.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

W NASTĘPNYM NUMERZE „TYGODNIKA" SPECJALNY DODATEK

MAGAZYN CONRAD

A W NIM:

- **OLGA DRENDA** pisze o tym, kim naprawdę jest Karl Ove Knausgård
- **MICHAŁ SOWIŃSKI** rozmawia z **ARTUREM DOMOSŁAWSKIM** o Ameryce Południowej i autentyczności w pracy reportera
- **ALDONA KOPKIEWICZ** zastanawia się, ile fikcji można znaleźć w każdym z nas
- **GABRIEL KRAUZE** opowiada o swoim dawnym życiu londyńskiego gangstera (i dlaczego warto czytać Heideggera)
- **SOREN GAUGER** tłumaczy, dlaczego Eliot Weiberger to eseista totalny
- **MONIKA OCHĘDOWSKA** rozmawia z **MAGDALENĄ HAJDUK-DĘBOWSKĄ**, prezeską Polskiej Izby Książki, o kondycji polskiego pola literackiego

A przy okazji ogłaszamy **PEŁNY PROGRAM FESTIWALU CONRADA**!

Więcej o tegorocznej edycji przeczytać w specjalnym serwisie: **tygodnikpowszechny.pl/festiwal-conrada**

Zapraszamy do lektury, a w październiku do Krakowa na Festiwal!

AUTENTYCZNOŚĆ
CONRAD FESTIVAL
23 – 29.X.2024
KRAKÓW

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ROLA ŻYCIA

JERZY FEDOROWICZ, AKTOR:

Nie czułem się poszkodowany, skrzywdzony. Docierało do mnie, że nie jestem gotowy do wielkich ról. Konrada to możesz zagrać w jakimś trzeciorzędnym teatrze, bo dobrze wyglądasz, masz głos i jesteś młody.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Ile w Panu jest z Salieriego, którego wkrótce Pan zagra?

JERZY FEDOROWICZ: Salieri skończył się jako artysta w momencie, kiedy w jego życiu pojawił się Mozart. Od tego momentu zaczął się borykać się z ogromnymi problemami wewnętrznymi, z kompleksem geniusza. Był sfrustrowany tym, że nie potrafi komponować na jego poziomie. A przecież mówimy o muzyku uznanym w swojej epoce.

No a Pan?

Zazdrościłem aktorom, którym wiodło się lepiej. Dużych ról nie dostawałem.

Dlaczego?

Sądzę, że była we mnie blokada, która powoduje, że nie umiem otworzyć się do końca. Zachowywałem kontrolę, jako aktor nie byłem totalny. Latami grałem chłopców czy raczej – charakterystycznych amantów. Takie miałem zewnętrzne warunki: byłem ciacho. Lecz wszystkie te role były w sumie mało ciekawe. Zdawałem sobie sprawę, że będzie mi ciężko dostać ważne role w przedstawieniach ważnych twórców.

Swinarskiego, Wajdy, Jarockiego?

Ci najlepsi tworzyli zespół Starego Teatru, z którym związany byłem od początku lat 70. Wtedy zobaczyłem, że moje miejsce jako aktora jest w drugim szeregu.

Od razu Pan to zobaczył?

Jeszcze jako nastolatek dostałem rolę Romea w przestawieniu szkolnym, które graliśmy też w Teatrze Słowackiego. Potem była Szkoła Teatralna, egzamin zdałem bez problemu. Lecz po pierwszym roku zostałem wyrzucony; ktoś doniósł, że z Wojtkiem Pszoniakiem podczas obchodów pierwszomajowych burzymy socjalistyczny porządek. Szczęśliwie ponownie zostałem przyjęty na pierwszy rok. Czułem, że jestem kawał gościa, że mam wszystko: jako dziecko zagrałem w Szekspirze na prawdziwej scenie i jestem bohaterem, bo zadarłem z władzą.

Długo to trwało?

Nagle na zajęciach student Jurek Trela, starszy od nas o pięć lat, zaczął czytać jakąś kwestię. Zamarłem, bo usłyszałem wyraźnie, jak to jest wyjątkowe, ponadprzeciętne. Zresztą znalazłem się na roku, którzy tworzyli ludzie obdarzeni nieprawdopodobnymi talentami... Halina Wyrodek, Mikołaj Grabowski, Marian Dziędziel, Janusz Szydłowski.

Co z ambicjami?

Nie mówiłem: jestem poszkodowany, skrzywdzony. Docierało do mnie, że nie byłem gotowy do wielkich ról. Konrada-Gustawa możesz zagrać w jakimś trzeciorzędnym teatrze, bo dobrze wyglądasz, masz głos i jesteś młody. Ale w Starym Teatrze, jeśli reżyser ma dyspozycji Janka Nowickiego czy Jurka Trelę...

A plan filmowy? Zagrał Pan wtedy w „Znikąd donikąd", ważnym filmie Kazimierza Kutza.

A trochę wcześniej byłem Braunem w „Potopie" Hoffmana. Grałem więc rycerzy i żołnierzy, ganiałem w mundurze i jeździłem konno. Pychę miałem zaspokojoną: ludzie mnie na ulicy rozpoznawali, autografy rozdawałem. I jednocześnie czułem niedosyt.

Co Pan z nim zrobił?

Mogę powiedzieć z całą odpowiedzialnością czego nie zrobiłem: otóż nigdy nikogo o nic nie poprosiłem. Nie pozwoliłem sobie na tekst: „Słuchaj, chciałbym zagrać w twoim filmie". Przecież były ku temu okazje. Przyjaźniłem się z Kieślowskim, zagrałem w jego debiutanckim „Koncercie życzeń". Tylko że w późniejszym „Spokoju" Krzysiek nie obsadził mnie w roli Antoniego Gralaka, ja grałem mężczyznę, który wychodzi z więzienia z głównym bohaterem. Mówię: „Krzysiek, kurwa, ty jesteś mój kumpel, ja cię poznaję z Jurkiem Stuhrem, a ty mi dajesz epizod?". On na to: „Fedor, ty mnie nie obchodzisz, ty jesteś zadowolony z życia: dom, żona, dzieci... Masz wszystko poukładane. A ja potrzebuję człowieka bezradnego, pogubionego".

Rzeczywiście Pan nie wygląda na pogubionego.

Albo taka sytuacja: István Szabó, węgierski reżyser, który miał do mnie słabość, kompletował obsadę do „Pułkownika ↦

JERZY FEDOROWICZ
(ur. 1947 r.) jest aktorem, reżyserem i politykiem. Przez wiele lat związany z Starym Teatrem w Krakowie. Dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Ludowego w Krakowie (1989-2012). Radny, poseł, obecnie senator Koalicji Obywatelskiej. 7 września 2024 r. w Teatrze Nowym Proxima w Krakowie odbędzie się premiera sztuki „Amadeusz" Petera Schaffera, w której zagra postać Salieriego.

GRAŻYNA MAKARA

↦ Redla". Wiadomo było, że główną rolę gra jego ukochany aktor Klaus Maria Brandauer. Jesteśmy na kolacji i on mówi: „Ciebie widzę w małej rólce, będziesz w świcie Redla, przynajmniej zarobisz pieniądze". Przyjeżdżam na plan, idę do biura dowiedzieć się co, jak, kiedy i gdzie, a Szabó mnie przeprasza: „Nie, jednak nie możesz zagrać". Tłumaczył, że w dalekim planie trudno Brandauera i mnie odróżnić, jesteśmy do siebie zbyt podobni, widz poczułby się zdezorientowany.

Musiało boleć.

Czekanie na tę rolę życia, która odmieni karierę... Wtedy część aktorów z zespołu Starego jeździła po świecie, wracali z dietami dolarowymi i zwiedzonymi Stanami Zjednoczonymi. A my tutaj harowaliśmy dzień po dniu, pensji nie starczało do pierwszego. W pewnym momencie poprosiłem o urlop bezpłatny Staszka Radwana, wówczas dyrektora Starego. I w 1988 r. zatrudniłem się jako oficer rozrywkowy na radzieckim statku pływającym po Pacyfiku. To, czego się tam nauczyłem, z czasem przydało mi się w polityce.

Co konkretnie?

Na tym rejsie przeszedłem wszystkie fazy zdziwienia. Najpierw zobaczyłem, że świat zwariował, bo Żydzi się biją, Niemcy walczą o pokój, a Polacy handlują. Nic nie jest jak było, żadnej przewidywalności, reguł. Zobaczyłem też nieprawdopodobną inwencję wśród ludzi prostych, takich, co żadnego języka nie znają, a którzy potrafią zakręcić się skutecznie koło własnego biznesu. To był czas, kiedy wdrażano gospodarczy plan ministra Wilczka oparty na zasadzie: „co nie jest zakazane, jest dozwolone" – wolnorynkowa jaskółka, jeszcze nie jastrząb. Handlarki kazały mi dać 400 dolarów z 500, które posiadałem. Kupiły za to lornetki oraz lunety i w Tajlandii, ze sporym przebiciem, sprzedały Chińczykom zajmującym się handlem obwoźnym.

A wkrótce, bo w maju 1989 r., objął Pan dyrekcję Teatru Ludowego w Nowej Hucie.

Największy problem miałem z tym, jak to wszystko zorganizować. Andrzej Wajda podpowiedział, bym wystawił „Człowieka z marmuru". I ważna okazała się rozmowa z Jurkiem Stuhrem, który leżał w szpitalu po zawale i nic mu się nie chciało. Odwiedzałem go, powiedziałem: „Nie będziesz umierał, nie będziesz inwalidą, tylko będziesz pracował u mnie w teatrze jako reżyser". Potem okazało się, że Jurek jest w dobrym zdrowiu i stworzył w Ludowym sześć fantastycznych przedstawień.

A Pan zaczął do Ludowego sprowadzać młodocianych amatorów.

Zaprosiłem punków i skinów z Nowej Huty. W „Romeo i Julii" jedni zagrali Capulettich, drudzy Montecchich. Z narkomanami leczącymi się w Monarze wystawiłem „Tragedię o polskim Scylurusie i trzech synach koronnych ojczyzny polskiej" Jana Jurkowskiego. To dramat z 1605 roku. Znalazłem tekst, w którym było dużo ról, ale wszystkie małe, do objęcia pamięcią przez tych młodych ludzi, borykających się z poważnymi zmianami w mózgu.

Te szesnaście lat rządów w Teatrze Ludowym było odzyskiwaniem autonomii?

Jako aktor dobrze rozumiałem ambicjonalne cierpienia aktorów. Starałem się być dla moich aktorów łagodny. Mówiłem im rzeczy mało popularne: np. że teatr w Nowej Hucie to miejsce startu, rozgrzania się. Jeśli będziesz dobry i pracowity, to przejdziesz gdzie indziej – na większą i ważniejszą scenę. Tu i teraz wypełnia się służbę, gra się w farsach i spektaklach dla młodzieży. O dziewiątej rano w „Błysku Rekina", a w południe w „Pyzie na polskich dróżkach" – tytułach nieschodzących z afisza. W kilka sezonów porządnie nauczysz się warsztatu.

Nadal nie pojmuję, po co do tego wszystkiego była Panu polityka.

Polityka to moja obecna scena.

Jak Salieri: jest Pan na dworze i zna tych, którzy są decydentami?

Do mojej politycznej drogi skłonił mnie Kazio Kutz. Powiedział: „Za długo prowadzisz ten teatr, startuj do sejmu". Posłuchałem go. Najpierw byłem posłem, teraz jestem senatorem. Mogę powiedzieć tyle, że przez te lata nie wystąpiłem wbrew moim przekonaniom. Nikt mnie też do tego nie zmuszał.

Nigdy?

Nie miałem żadnych dylematów związanych z ustawą aborcyjną. Przerwanie ciąży to decyzja wyłącznie kobiety, żadnej innej osoby. Wie pani, ja miałem cudownego ojca – aktora, AK-owca, człowieka, który mnie formatował. Lecz wszystko, co najlepsze, zawdzięczam kobietom. Babci Jałowskiej – w powstaniu warszawskim komendantowi szpitala polowego. Jak byłem mały, babcia czytała mi co wieczór „Trylogię", oczywiście te sceny, w których polskie wojsko odnosi zwycięstwo. Mnóstwo zawdzięczam mojej żonie. Ślicznej dziewczynie, w której zakochałem się bez pamięci. Z Elą, znakomitą scenografką, pracowałem przy wielu spektaklach i z Elą stworzyliśmy dom, zostaliśmy rodzicami, potem dziadkami. Żona traktowała mnie trochę jak syna. I uratowała mnie przed upadkiem w nałóg – przecież w naszym środowisku nieustannie lał się alkohol...

O mamie coś wiem.

Jest już legendą – są ulice, pomniki i szkoły imienia Aliny Fedorowiczowej. Za okupacji mama był podporucznikiem AK. Podjęła pracę w Biurze Informacyjnym Zarządu Głównego PCK. Zdobywała informacje o losach polskich jeńców w ZSRR, była jedną z pierwszych w kraju, która miała informacje o ich rozstrzelaniu. Pracowała jako łączniczka terenowa Oddziału Lotnego Stefana Wyrzykowskiego „Zenona". Potem została przydzielona do Partyzanckiego Oddziału 34. Pułku Piechoty AK na Podlasiu. Dowódcą tam był kapitan, jej rówieśnik, ale oddział słuchał właśnie mamy. W Muzeum Armii Krajowej znajdują się jej zapiski o życiu oddziału ze wszystkimi jego fajnymi i niefajnymi stronami. Na końcu napisała: „Chłopcy, teraz jest bardzo trudny czas, ale proszę was, pamiętajcie, nie zwracajcie broni ku swoim".

A obecne teatralne obowiązki?

Nieustannie ćwiczę kwestie Salieriego. W sumie składa się ona z siedmiu wielkich monologów. Mówię: „I zaczął się koncert. (...) »Śmiesznie prosto« bym powiedział, gdyby nie pewna powolność, pewne dostojeństwo rytmu. I nagle, z wysoka – obój. Długi, czysty dźwięk oboju schwytał mnie i trzymał, i nie chciał wypuścić, póki go nie podjął klarnet, brzmiący tak rozkosznie, że zaniemówiłem. Byłem po-

WOJCIECH PLEWIŃSKI

Jerzy Fedorowicz i Renata Kretówna w spektaklu Macieja Karpińskiego „Małe kroki, wielkie kroki" w Starym Teatrze w Krakowie, 1976 r.

Latami grałem charakterystycznych amantów: byłem ciacho. Czekałem na rolę życia, która odmieni karierę. W końcu zatrudniłem się jako oficer rozrywkowy na statku. To, czego się tam nauczyłem, przydało mi się w polityce.

rażony i w oczach mi pociemniało". Tym tekstem zaczynam dziś dzień.

Jest trema?

Wiem, że bilety na „Amadeusza" rozchodzą się natychmiast, a na premierę ma przyjechać pani marszałek Senatu. Więc ja tę postać wypełniam emocjami i biję się z myślami, czy mi się to uda.

Może być inaczej?

Jako Salieri nie mogę być dobry, ja muszę być bardzo dobry.

Bo Pański Salieri będzie porównywany z Salierim Tadeusza Łomnickiego z przedstawienia w reżyserii Romana Polańskiego oraz kreacją Murraya Abrahama w filmie Formana?

Broń Boże nie chcę być porównywany do Łomnickiego. A w sztuce reżyserowanej przez Piotra Siekluckiego Salieriego gra trzech aktorów: młodego – Jonatan Maciejowski, dojrzałego – Marcin Kalisz, a starcem nad grobem jestem ja, naprzemiennie z Mariuszem Saniternikiem. Teraz mam 77 lat, a gram człowieka od siebie starszego.

To ma znaczenie?

Pycha, która mi towarzyszy od dzieciństwa, polega na tym, że uwielbiałem być na scenie... Wiedziałem, że robię wrażenie na dziewczynach, że one lubią mój głos, że potrafię doprowadzić do tego, by na sali zrobiła się cisza jak makiem zasiał. Nieważne jaką rolę grałem, zawsze się ustawiała do mnie kolejka fanek. A w „Amadeuszu" jestem pomarszczony, z brzuchem, nadaję się raczej do Alei Zasłużonych. Dlatego muszę być najlepszy – to, wracając do pierwszego pani pytania, też mnie łączy z prawdziwym Salierim. Czy opowiedzieć jakoś pośrednio związaną z tym historię?

Słucham uważnie.

Grywałem z Jurkiem Stuhrem w tenisa. On był świetnym zawodnikiem, z moimi umiejętnościami nie miałem z nim szans. Zawziąłem się i trzy lata trenowałem, trenowałem, trenowałem. I ponownie wychodzimy na kort. Jurek mówi: „Szybko, szybko Fedorku, bo nie mamy czasu, zaraz zaczyna się próba". No i wygrałem: 6-0, 6-1. Stuhr poleciał do teatru i mówi: „Fedor nas oszukał, wyszkolił się, jest świetny!".

W naszej rozmowie co chwilę wraca postać Jerzego Stuhra.

To był przyjaciel. Chrzciliśmy swoje dzieci, celebrowaliśmy ich komunie, wspólne Boże Narodzenia i Sylwestry, wyjazdy zagraniczne, sport, role. Była w nim gotowość grania do końca. Jeszcze niedawno mówił, że będzie Konstantym Stanisławskim w „Geniuszu" Tadeusza Słobodzianka. Myślę sobie: „Ale jak on to będzie grał, przecież po udarze ma opóźnioną artykulację". Ale zagrał. No ja pierniczę!

Widział Pan ten spektakl?

I nie zdążyłem, i nie chciałem. Teraz żałuję. Bałem się, że po prostu może coś się Jurkowi zdarzyć na scenie. Nie chciałem przeżywać teatru, w którym gra schorowany aktor. Ale to wyłącznie mój punkt widzenia – podkreślam to z całą mocą. Cały dowcip polega na tym, i to mogą potwierdzić moi koledzy, że dobry aktor strasznie nie lubi grać. Ze względu na gigantyczny wysiłek: na scenie daje z siebie wszystko. Widziałem, jak Leszek Piskorz z Jackiem Stramą grają w „Słonecznych Chłopcach" – dwóch gości prawie pod osiemdziesiątkę, na scenie królowie życia, ludzie zachwyceni, a jak kończą się ostatnie brawa, to oni za kulisami mówią, że już nigdy, przenigdy więcej tego nie zagrają. Lecz za kilka dni jadą do Leszna i grają.

Ten Pana Salieri w efekcie kim będzie?

Stanie w obronie wielkości sztuki. Nie chciałbym, by mój bohater został sprowadzony wyłącznie do człowieka ↦

↦ zawistnego, w pułapce niespełnionych ambicji.

Salieri w dramacie Petera Schaffera zapadł pod koniec życia na chorobę psychiczną. Twierdził, że otruł Mozarta.

A depresja, której ja doświadczyłem, zbiegła się ze strachem o Elę, która zachorowała na nowotwór piersi. Nie mogłem patrzeć na to, jak gaśnie moja ukochana dziewczyna. Żyłem na dwa miasta – w podróży między Warszawą, w której pracowałem, a Krakowem, w którym była Ela. Robiłem tak, byśmy każdy wieczór mogli spędzić razem. Po pierwszym uderzeniu depresji chyba za wcześniej odstawiłem leki. Bo drugie uderzenie przyszło rok po śmierci Eli. Zaczynała się pandemia, izolacja, narastał strach, poczułem się niepotrzebny. Widocznie puściły systemy nerwowe, które mnie dotąd chroniły przed rozpadem. Przestałem radzić sobie z codziennością, nie mogłem spać. Synowie mówili: „Tata, no co ty, nie umiesz sobie jajka usmażyć?". A mnie się nie chciało z łóżka wstać, tłuc skorupek, jajko na patelnię rzucać, zjeść, a potem zmywać.

Młodszy syn i bliska mi kobieta zawieźli mnie do szpitala na oddział chorób afektywnych. Trzy tygodnie tam spędziłem na sześcioosobowej sali. Nawet w kiblu nie byłem sam. Męczyło mnie zaparcie, nie mogłem się wypróżnić, a w sąsiednich kabinach siedzieli pacjenci i palili papierosy, których w psychiatryku się nie odbiera. Podchodzi do mnie gość i mówi: „Senatorku, pomoże ci paczka grubych Winstonów, jedną kup dla siebie, drugą dla mnie". Więc w tym kiblu palę Winstony, a reszta mi kibicuje. Tak wygląda tamtejsza rzeczywistość.

Jak jeszcze?

Najważniejsza jest terapia grupowa. Siedzimy razem, są też kobiety, w tym jedna sportsmenka fenomenalnie strzelająca z łuku. Mam się wszystkim przedstawić. Mówię: „Aktor, polityk, żona umarła, kończę za moment 74 lata, starzeję się...". Dziewczyny patrzą na mnie z pytaniem w oczach: „Co ja im pierdolę?". A sam siebie w duchu upominam: „Fedor, przestań". Bo widzę, że inni mają gorzej. I są ode mnie młodsi, bardziej pogubieni. To jest podstawa: nie użalać się nad sobą. Tak, Salieri z pewnością mnie uzdrawia.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

Dlaczego nie kochamy Elvisa

FILIP ŁOBODZIŃSKI

Zgryźliwie przygląda się światu, społeczeństwu, życiu ludzi – oraz przemysłowi muzycznemu. Nigdy nie miał ochoty tańczyć branżowego kadryla i bić się o słupki. A mimo to ma najwyższy status gwiazdy.

Nagrywali z nim Paul McCartney i Bruce Springsteen, Annie Lennox i Anne Sofie von Otter, Burt Bacharach i Brodsky Quartet, Tony Bennett i Roy Orbison, Allen Toussaint i Bill Frisell. Do jego serdecznych znajomych należą Herbie Hancock, Tom Waits czy Bob Dylan. Jego żoną jest sama Diana Krall.

A w Polsce? Kilkanaście lat temu z powodu słabego zainteresowania Brytyjczyk musiał odwołać koncert w Sali Kongresowej. Elvis Costello 25 sierpnia skończył 70 lat.

Pracuś

Jego prawdziwe personalia to Declan Patrick Aloysius MacManus. Dorastał w domu pełnym muzyki – ojciec Ross grał zawodowo na trąbce w popularnych orkiestrach, matka Lillian od 13. roku życia pracowała głównie w sklepach muzycznych, a będąc w ciąży, puszczała przyszłemu muzykowi mnóstwo rozmaitych płyt. Declan chłonął dźwięki, style i estetyki muzyczne, co z czasem zaowocowało ogromną różnorodnością jego kompozycji. Ta niejednoznaczność mogła stać się jedną z przeszkód na drodze do polskich serc.

Przy okazji, obserwując rodziców, zrozumiał, że w branży muzycznej, jak w niemal każdej innej, bez pracy nie ma kołaczy – etyka zawodowa oparta jest właśnie na wytrwałości i zaangażowaniu.

Po szkole średniej zaczął pracować jako serwisant komputerowy – były to lata 70., mówimy o ogromnych szafach, kartach i taśmach perforowanych. Ówczesne komputery pracowały powoli, Declan miał więc sporo czasu na pisanie piosenek – bo już jako nastolatek zdecydował, że dla muzyki w jego życiu zawodowym nie ma alternatywy. W wieku 14 lat wziął się za naukę gry na gitarze, by niebawem występować podczas „otwartych mikrofonów" w londyńskich klubach folkowych. Dzwoniąc do nich z ofertą występu, przedstawiał się często „Declan Costello", bo jego własne nazwisko wydało mu się zbyt toporne w rozmowie („Elvisa" dodali mu jakiś czas później pierwsi managerowie). Nachodził też wydawców muzycznych, by osobiście zademonstrować im piosenki. Nierzadko grał je głośno podczas spotkań – albo przy wejściu do ich biur.

Demaskator

Przełom nastąpił pod koniec 1976 r. – mała, prężna wytwórnia Stiff przyjęła go pod swoje skrzydła i wysupłała tysiąc funtów na nagranie jego debiutanckiego albumu „My Aim Is True". Z okładki płyty spoglądał na świat „Buddy Holly po elektrowstrząsach", jak napisał pewien krytyk – chłopak z gitarą w punkowo nonszalancko wygiętej pozie i w okularach z grubymi, czarnymi oprawkami. Istotniejsza była jednak zawartość – tuzin melodyjnych, ale drapieżnych kawałków, utrzymanych w mieszance stylów punk, doo-wop, rockabilly, a nawet knajpianego country. Zamiarem Costella było przyrządzenie zestawu, który będzie jednocześnie odwoływał się do tradycji i chwytał ducha współczesności. I właściwie temu pomysłowi artysta pozostał wierny do dziś.

SERGIONE INFUSO / CORBIS / GETTY IMAGES

Elvis Costello w Mediolanie, 31 sierpnia 2023 r.

„My Aim Is True" bowiem świetnie współbrzmi z debiutami Sex Pistols czy The Clash, i zarazem manifestuje zdecydowaną odrębność. Istotnym elementem, poza eklektyczną chwilami muzyką, są teksty – gorzkie, często wściekłe, demaskujące toksyczne relacje międzyludzkie i społeczne, pisane ze zmysłem felietonisty. Inteligenckie, a jednocześnie bardzo bezpośrednie.

Przed drugą płytą, „This Year's Model", Elvis Costello skompletował własny zespół The Attractions, którego muzycy po części współpracują z nim po dziś dzień (jako The Imposters). I to z Attractions stworzył zasadniczy fundament swojej kariery.

Okularnik w marynarce

Od 1977 r. wydał tyle płyt w tak różnych składach i kosmosach muzycznych, że na gruntowne prześledzenie jego kariery należałoby poświęcić książkę. Sięga po country (album „Almost Blue"), post-punk („Armed Forces"), baroque pop („Imperial Bedroom", „For the Stars" z von Otter), soul („Get Happy!!"), rock'n'roll („The Boy Named If"), americana („King of America", „Secret, Profane & Sugarcane"), proto-grunge („Blood & Chocolate"), jazz („Deep Dead Blue"), easy listening („Painted from Memory" z Bacharachem), klasyczną muzykę baletową („Il sogno"), funk („Wise Up Ghost" z zespołem hiphopowym The Roots), a także muzykę kameralną („The Juliet Letters" z Brodsky Quartet).

Repertuar tej ostatniej płyty znalazł osobliwą drogę na polski rynek – i szkoda, że tylko on. To cykl pieśni napisanych przez Costella i członków kwartetu Brodsky jako fikcyjne listy do Julii Capuletti. „Wysyłają" je nieszczęśliwi kochankowie, dziecko patrzące na kłótnie rodzicielskie, spec od sprzedaży promocyjnej, zdradzona żona, rozgoryczony brat. Czasem zresztą adresatką nie jest Julia, a inne postacie, zawsze jednak tłem jest namiętność. Całość przełożyła na polski i przygotowała jako własny program Katarzyna Groniec. Efekt olśniewający.

O poziomie przedsięwzięcia Groniec decyduje bowiem nie tylko świetna materia muzyczna, zaaranżowana nie, jak u Costella, na kwartet smyczkowy, a na zespół bliższy estetycznie Tomowi Waitsowi. Co najmniej równie istotna jest opowieść poetycka – jak niemal zawsze u Elvisa, błyskotliwa, cięta, inteligentna, sarkastyczna.

Taka jest być może druga przeszkoda utrudniająca Brytyjczykowi dotarcie do polskich odbiorców. To niełatwa poetyka, operująca grą słów, po Dylanowsku erudycyjnymi wycieczkami. Teksty nigdy błahe, niemal zawsze kąśliwe, czasem wymierzające dosłowne szpile, jak te pod adresem Johna Lennona i Rogera Watersa w piosence „The Other Side of Summer": „Czy to nie milioner wzywał »wyobraźcie sobie, że nie ma majątków«? Czy to mały uczeń wołał »niepotrzebne ↦

REKLAMA

Wydawnictwo Czarne,
Państwowy Instytut
Wydawniczy,
Wydawnictwo Wielka Litera
oraz
„Tygodnik Powszechny"
ogłaszają

KONKURS
NA
OPOWIADANIE

Nagroda główna:
publikacja
w „Tygodniku
Powszechnym"!

Konkurs zapowiada
minifestiwal literacki:

Temat:
Opowiadania.
Lekcja 2

16 LISTOPADA
Księgarnia Czarnego,
Księgarnia PIW

WARSZAWA

Regulamin dostępny
od 1 września na stronach organizatorów.

WIELKA LITERA
Państwowy
Instytut
Wydawniczy

↦ nam lekcje«?". By pokochać kogoś takiego, trzeba naprawdę wejść w piosenki głębiej niż sama melodia i rytm.

Costello nie ma przy tym tak wyrazistego wizerunku scenicznego jak jego koledzy, starszy Tom Waits czy młodszy Nick Cave. Jest facetem w marynarce, kapelusiku i okularach o grubych oprawkach, z dużą gitarą, z reguły krótko ostrzyżony (wyjątek zrobił w 1991 r., kiedy na pewien czas zapuścił dłuższe włosy i gęsty zarost). Ot, zwyczajny koleś bez legendy i mistycznej aury. Trudno komuś takiemu urzec odbiorców wyglądem, który pozwalałby fanom upodobnić się do idola.

Samotny żagiel

Jest jeszcze jedna przeszkoda – brak flagowego Wielkiego Przeboju. Costello na szczycie list pojawił się raz, w 1989 r. z piosenką „Veronica", zresztą napisaną i nagraną wspólnie z Paulem McCartneyem. Intensywnie puszczali ją wtedy i polscy prezenterzy radiowi, choć gdyby wiedzieli, kim jest bohaterka – kobietą tracącą pamięć, spędzającą ostatnie lata życia w przytułku – jej seksapil mógłby zblednąć.

Piosenki Elvisa Costello są melodyjne, ale rzadko mają w sobie to, co nadaje melodii transcendencję torującą drogę do serc i dusz. To nie Beatlesi, ABBA czy Stevie Wonder (umyślnie wymieniam wykonawców, których MacManus sam przywołuje jako swoich wielkich idoli). Nie jest to również brutalny impet tytanów rockowego panteonu. To przewrotna mieszanka, która utrudnia prostą identyfikację i zakwalifikowanie do konkretnej estetyki. Relatywnie niewiele jego utworów wpada momentalnie w ucho.

Nie wynika to jednak z braku umiejętności kompozytorskich, bo o tych świadczą dziesiątki jego kawałków z różnych lat. To raczej brak woli, by podbijać miliony zamiast tysięcy. Costello zgryźliwie przygląda się światu, społeczeństwu, życiu ludzi – oraz przemysłowi muzycznemu. Najwyraźniej nie ma i nigdy nie miał ochoty tańczyć branżowego kadryla i bić się o słupki. Nawet na samym początku, gdy wyrzucany drzwiami, zaciekle właził oknem, nie walczył o konto, a o możliwość grania. Nie za darmo, ale też nie za krociowe wypłaty.

To również sprawia, że i na Zachodzie, gdzie jest postacią cenioną na równi z największymi, nie wyskakuje z lodówki, nie ma szansy zanudzenia słuchaczy bez przerwy emitowanymi piosenkami. Zagospodarował niszę, w której rządzi niepodzielnie, emanując z niej gorzkim, zjadliwym blaskiem poezji i muzyki. I niepodobnym do niczyjego innego głosem – czasem aksamitnym, ale znacznie częściej ostrym, nieco przyduszonym, choć nadspodziewanie silnym.

Jest tak samoistnym zjawiskiem, że najprawdopodobniej, jak Frank Zappa, Georges Brassens czy David Bowie, nigdy nie będzie miał kontynuatorów.

Szczery przebieraniec

Jest też osobowością medialną. W 2003 r. z powodzeniem zastąpił chorego Davida Lettermana w jego telewizyjnym „Late Show" i przeprowadził wywiady między innymi z Kim Catrall i Eddie Izzard. Zaś w latach 2008–10 prowadził w Channel 4 i kanadyjskiej CTV własny talk-show „Spectacle: Elvis Costello with...", w którym rozmawiał (i występował) z takimi tuzami, jak Elton John, Lou Reed, Norah Jones, Tony Bennett, Herbie Hancock, Sheryl Crow, Bono, Bruce Springsteen – a także Bill Clinton.

Niemal 30 lat temu, 24 marca 1995 r., wybrałem się w Paryżu na koncert Boba Dylana. Występ był niespecjalnie udany, źle nagłośniony, ze znużeniem zagrany. Ale zapamiętałem go szczególnie z jednego powodu: supportem był właśnie Elvis Costello. Sam z gitarą akustyczną. Przez niemal trzy kwadranse grał tak hipnotyzująco, tak uwodzicielsko i tak bezpardonowo, że ja, stary wyznawca Dylana, musiałem przyznać: rozgrzewacz przykrył gwiazdę czapką.

Wciąż jest niespokojnym duchem. Szczerze wierzę, że może mieć dla nas jeszcze niejedną niespodziankę, przygotowaną nie z wyrachowania, a z prawdziwej potrzeby. Mam wrażenie, że do dziś nie zdradził zasady wyrażonej w tytule debiutanckiej płyty: „A ja gram fair". Bo gdy odrzucimy fasadę pseudonimów i aluzji muzycznych, pozostają rzetelna nuta i poruszające słowo.

© FILIP ŁOBODZIŃSKI

Wojny światów

MICHAŁ WALKIEWICZ

Kultura kinowych fanów nie sprowadza się tylko do zachowań rozwrzeszczanych internetowych frustratów. Współczesne fandomy są ekstremalną manifestacją kinofilii, czyli tradycji niemal tak starej jak kino.

MATERIAŁ PRASOWY DISNEY+

„Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie", reż. J.J. Abrams, 2019 r.

Maria Skłodowska-Curie może i była kobietą, ale elfy na pewno nie były czarne. Żony krasnoludów nosiły brody do ziemi, homoseksualizm był aberracją, a nie normą, z kolei Mordor nie leżał obok królestwa Gondoru, tylko na północ od Jaworzna-Szczakowej. Tako zza grobu rzecze Tolkien i to w naszej, strażników popkultury, gestii leży ochrona jego godności.

Na horyzoncie kolejna Bitwa o Śródziemie – start drugiego sezonu „Władcy Pierścieni: Pierścieni władzy" już w najbliższy piątek na platformie Prime Video. Ilekroć wchodzę na fora internetowe, by wybadać nastroje przed jakąś „gorącą premierą", przypomina mi się parafraza słów Dantego z serialu „Ekipa": „Lepiej zabierz krem do opalania, bo właśnie idziesz do piekła".

Złe czasy, gorsze obyczaje

Kropla drąży skałę, partyzantka trwa. Twórców „Gry o tron" atakujemy petycjami, entuzjastów „Małej Syrenki" wzywamy do bojkotu, aktorkom z serialu „The Last of Us" wysyłamy groźby karalne. Jako że filmowcy nie pozostają fanom dłużni, popkultura zamienia się na naszych oczach w pole ideologicznej bitwy. W czerwonym narożniku – „incele" i „noł-lajfy", którzy produkują w piwnicach internetową toksynę. W niebieskim – „lewactwo", które zainfekowało kino i seriale wirusem inkluzywności; ze szkodą dla sztuki kłania się środowiskom LGBT, mniejszościom, kobietom. Zaś pomiędzy nimi tzw. zwykły widz, który nie chce być robiony w balona przez jednych i obrażany przez drugich. Sztuka nie znosi demokracji. Popkultura znosi ją aż za dobrze.

Problem toksycznych społeczności fanowskich oraz koniunkturalnego Hollywood może wydawać się nieistotny, ale tak naprawdę dotyczy fundamentalnych kwestii: egalitaryzacji dyskursu kulturalnego oraz braku zaufania do mediów; nowego, skupionego wokół mediów społecznościowych modelu krytyki filmowej; pytania o to, do kogo właściwie należy dziś kultura popularna. Czy w myśl zasady „płacę-wymagam" jest wyłącznie towarem, elementem transakcji pomiędzy twórcą a odbiorcą? A może to oblężona twierdza artystycznej niezależności? Albo – co wpisuje się w bodaj najpopularniejszą dziś narrację – spuścizną geniuszy odziedziczoną przez ignorantów?

Łapy precz od Jane!

„Boska Jane spoczywa w Winchester. Chwalmy jej imię. Chwalmy Pana za jej narodziny i ją samą za dzieła, które zrodziła" – czytamy w prologu nieco zapomnianej powieści Rudyarda Kiplinga „The Janeites". To opowieść o żołnierzach z frontu I wojny światowej, którzy najpierw strzelają do wroga z okopów, a potem debatują o twórczości Jane Austen. Tytuł powieści oznaczał członków pionierskiego fandomu, choć już kilkanaście dekad wcześniej określenie było przedmiotem sporu.

Każdy chciał zagarnąć pisarkę dla siebie. Klasy wyższe pragnęły zaakcentować wyjątkowość swojego afektu do Austen i odciąć się od „tłuszczy". Literaturoznawcy chcieli mieć wyłączność na miano „Janeitów" jako badaczy jej języka oraz wpływu na kulturę. Mężczyźni z kolei uważali, że termin należy wyłącznie do nich, skoro to kobiety były bezpośrednimi adresatkami prozy.

Spięcia wynikały z tego, że podobnej, elitarystycznej optyki nie dało się pogodzić ze stale rosnącą popularnością Austen. Pod koniec XIX wieku to samo spotkało Sherlocka Holmesa, a przez następne kilkanaście dekad innych bohaterów masowej wyobraźni, kolejne marki, uniwersa, wymyślone światy – od „Star Treka" i „Gwiezdnych wojen", po „Miodowe lata" i Taylor Swift.

Pokolenie milenialsów, które najgłośniej manifestuje w sieci swoje niezadowolenie z kształtu współczesnego kina, budowało swoją wrażliwość w czasach wielkiego piwotu branży filmowej. Z jednej strony – zwycięstwo Kina Nowej Przygody spod znaku Spielberga, Lucasa i Zemeckisa nad tzw. Nowym Hollywood, reprezentowanym przez odchodzących do lamusa mistrzów formatu Cassavetesa, Coppoli czy Altmana. Z drugiej – rozkwit kina wysokiego konceptu lat 80., którego cały sens zawierał się w słynnej maksymie producenta Jerry'ego Bruckheimera: „Jeśli nie jesteś w stanie streścić filmu w dwudziestu słowach, scenariusz powinien ↦

SUNSET BOULEVARD / GETTY IMAGES

„Gwiezdne wojny: Powrót Jedi", reż. Richard Marquand, 1983 r.

↦ wylądować w koszu". Nadprodukcja nowych mitów oraz atrakcyjnych bohaterów szła w parze z gwałtowną korporyzacją branży filmowej, obsadzanej coraz szybciej przez finansistów i bankierów.

Za sprawą tych procesów jesteśmy dziś – to również część mojego doświadczenia – generacją podstarzałych dzieciaków. Trwamy w pogoni za pierwotną „niewinnością" tamtego kina, jego mitotwórczą siłą. I nawet jeśli faktycznie nie ma już takiej musztardy i takiego mleka (z czym, jakżeby inaczej, się zgadzam), to w dobie pokoleniowej zmiany po obydwu stronach ekranu ów pościg jest skazany na porażkę.

Jak z fana zrobić barana?

Sprowadzanie całej kultury fanowskiej do bandy rozwrzeszczanych frustratów jest oczywiście naiwne. Współczesne fandomy są ekstremalną manifestacją kinofilii, czyli tradycji niemal tak starej jak kino. W latach 20. ubiegłego wieku reprezentowały ją Dyskusyjne Kluby Filmowe. Później na sztandary wzięli ją nowofalowcy. Dziś – w czasach YouTube'a, mediów społecznościowych i generalnej dostępności kultury – myśli się o niej jako o symbolu poziomej struktury społecznej w internecie (w przeciwieństwie do pionowej – z tłumaczącymi świat autorytetami na szczycie).

Niektórzy z twórców pozostają wsłuchani w głos społeczności, inni próbują wybadać trendy w salce konferencyjnej. Lecz co do zasady – dialog jest możliwy. Transparentność cyklu produkcyjnego i promocji sprawia, że film „żyje" teraz znacznie dłużej, a każde z kultowych dzieł obudowane jest twórczością fanowską, w opinii wielu – przewyższającą jakością oryginalne produkcje. Wbrew obiegowej opinii, fandom nie jest szałasem w środku lasu, w którym mieszkają odludki. Choć stanowi mniejszość odbiorców, jego wpływ na popkulturę jest zauważalny. Dzięki wysokozasięgowym mediom społecznościowym oraz niedoszacowanej sile marketingu szeptanego kształtuje mody, gusta i narracje. A gdy wchodzi na kurs kolizyjny z filmowcami, następstwem zderzenia są niebezpieczne kompromisy.

Trudno traktować inaczej „Gwiezdne wojny: Skywalker. Odrodzenie" J.J.Abramsa. To przepisany na życzenie fanów scenariopisarski i reżyserski koszmarek. Podszyte strachem i cynizmem przeprosiny za „Ostatniego Jedi", czyli znacznie lepszy film, który spotkał się z tak gwałtowną i nieprzychylną reakcją fandomu, że producentom nie pozostało nic innego, jak tylko posypać głowę popiołem.

W tej samej szufladce znajdziemy również niedawny hit „Deadpool & Wolverine", czyli najbardziej dochodowy film z kategorią wiekową R w historii (pierwszeństwo odebrał „Jokerowi" Todda Philipsa). Rozciągnięty do pełnego metrażu zbiór gagów, scenek rodzajowych oraz tzw. fan serwisu (czyli nawiązań do bogatej tradycji ekranizacji komiksów z ostatnich kilku dekad) ogląda się bez bólu zębów. Jednak naplecionymi na cieniutką nitkę fabularną łakociami dla fanów żółtodziób raczej się nie naje.

Aktorka Rachel Zegler, gwiazda „Królewny Śnieżki", czyli nowej wersji disnejowskiego klasyka, poczuła gniew fanów na własnej skórze. Gdy rok temu udzielała wywiadu na czerwonym dywanie, mówiła o oryginalnej animacji jak o skamielinie. Krytykowała ją za mizoginię i za obyczajowe wstecznictwo. Pomijając fakt, że sprowadzanie jednego z najważniejszych filmów animowanych w historii wyłącznie do tego aspektu nie jest zbyt mądre, najciekawsze miało dopiero nadejść. Gdy na aktorkę spadła fala krytyki, a słupki z projektowanymi zyskami przestały się zgadzać, Zegler wróciła odmieniona – pełna pokory, podkreślająca wagę disnejowskiego dziedzictwa, po ewidentnej korporacyjnej reedukacji.

Imperium kontratakuje

Kością niezgody między fandomami a Hollywood jest reakcja branży filmowej na zmieniającą się obyczajowość. Największy grzech to poświęcanie kanonu (który zazwyczaj jest czymś w rodzaju mojżeszowych tablic) na ołtarzu *woke culture*. Kultowi bohaterowie zmieniają płeć, role białych przejmują czarni, a ikony popkultury w rodzaju Wiedźmina, Luke'a Skywalkera czy Thora zaczynają statystować we własnych filmach – ich miejsce zajmują „uprzywilejowane z definicji" dziewczyny w pelerynach i kolczugach.

Konserwatywny zwrot w odbiorze popkultury jest reakcją na systemowe zmiany w liberalnym Hollywood: implementowane tu i ówdzie parytety, nowe zawody w rodzaju koordynatorów intymności oraz generalny odwrót od filozofii, wedle której dobry plan filmowy to taki, z którego wychodzi się posiniaczonym.

Hollywood naprawdę znajduje się w głębokim scenariopisarskim kryzysie. I jedną z przyczyn takiego stanu rzeczy jest właśnie koniunkturalizm, który pro-

RADIO 357

Najciekawsze tematy
nowego numeru „Tygodnika"
w prasówce Radia 357 – środy o 8.30.
Słuchaj na żywo lub w podkastach na **Radio357.pl**

wadzi do absurdalnych decyzji artystycznych: zatrudniania firm specjalizujących się w badaniu standardów inkluzywności do korekty tekstów; zastępowania postaci, które z powodzeniem zagraliby niskorośli aktorzy cyfrowymi odpowiednikami; relegowania mężczyzn do ról nieistotnych pionków; wreszcie – wzmacniania postaci kobiecych nie poprzez działanie, a przez ekspozycję.

Termin „Mary Sue" (oraz jego męska odmiana: „Gary Sue") pochodzi ze słowniczka Trekkies, czyli zagorzałych fanów uniwersum „Star Treku". W 1973 r. Paula Smith i Sharon Ferraro użyły go w parodystycznym opowiadaniu o liderce gwiezdnej floty, która uczyła moresu znanych i kochanych bohaterów: dzielnego Kapitana Kirka, sceptycznego Spocka i cynicznego doktora McCoya. Dziś Mary Sue powraca jako niezbyt wyrafinowany, scenariuszowy konstrukt: to uprzywilejowana kobieta, która niczego się nie boi, nikomu się nie kłania, zawsze ma rację, a wszelkie przeciwności losu pokonuje bez większego trudu.

Problem w tym, że w kinie kibicujemy raczej tym bohaterkom, które są nieustannie testowane, przypierane do muru, sprawdzane w krytycznych sytuacjach; które znają smak straty i poświęcenia, potykają się, by powstać silniejszymi. Czy taka jest Mulan z aktorskiego remake'u wspaniałej animacji Disneya? Ze sprytnej, zdeterminowanej, odważnej i rezolutnej śmiertelniczki zmieniła się w przemądrzałą dziewczynkę z magicznymi mocami? No nie.

Fandomy zarzucają filmowcom asekuranctwo, lenistwo oraz cyniczne podłączanie się pod obyczajowe „trendy". Tymczasem niezadowoleni z obrotu spraw twórcy biją pałką na oślep. Wchodzą w utarczki słowne na Twitterze, żalą się w wywiadach. Przedstawiają życzeniową wizję świata, w której kobiety są tak samo zainteresowane kinem superbohaterskim jak mężczyźni i zostawiają w kinowych kasach tyle samo pieniędzy (czemu, niestety, przeczą liczby). Niektórzy – jak scenarzystki „She-Hulk" – próbują wyprzedzić atak i w ramach autotematycznej konwencji serialu oskarżają fanów o zaściankowość. „Po co tracić czas na obrażanie ludzi, dzięki którym zarabiacie na chleb. Nie łatwiej poświęcić go na napisanie dobrego scenariusza?" – słyszą w odpowiedzi.

Internetowe fandomy, z którymi lepiej nie zadzierać:

DOMENA PUBLICZNA WIKIPEDIAX3

▪ TREKKIES Choć słynny serial o dzielnych pionierach kosmicznych podróży jest wezwaniem do tolerancji i międzygalaktycznej miłości, biada temu, kto nadepnie na odcisk ultrasom tej frakcji. Zwłaszcza jeśli w swojej głupocie będzie udowadniał wyższość „Gwiezdnych wojen" nad „Star Trekiem".

▪ SWIFTIES Taylor Swift jest większa niż religia, muzyka oraz internet. Potrafi przejść „Mario" w lewo, dzielić przez zero i podnieść kamień, na którym siedzi. A jeśli macie wątpliwości, jej zagorzali fani błyskawicznie wyprowadzą was z błędu. A teraz śpiewamy razem: „Cause the players gonna play, play, play...".

▪ OTAKU Na pierwszy rzut oka fani japońskiej popkultury wydają się niegroźni. Alergia na obiegowe opinie o mandze i anime jako poślednich komiksach oraz animacjach dla dzieci zamienia ich jednak w płonące gniewem demony. To znaczy – w Yokai.

EAST NEWS

▪ ZNACHORZY Proszę państwa, Wysoki Sądzie, to jest profesor Rafał Wilczur! Jeśli do tej pory nie zdawaliście sobie sprawy ze znaczenia „Znachora" przy wielkanocnym stole, czas zrewidować wiedzę o kinie. I o Polsce. Nie ma drugiego takiego filmu w historii rodzimego kina i drugiego takiego fandomu. Nie powtarzajcie im, że ubiegłoroczny remake od Netfliksa też był całkiem niezły. ©MW

Łączy się to wszystko z nowym, rozpowszechnionym głównie w mediach społecznościowych oraz na platformie YouTube modelem krytyki filmowej. Ma ona imponujący zasięg, oddolny charakter i opiera się na, słusznym skądinąd, założeniu, że o sporcie, polityce i kinie warto rozmawiać z każdym. Media głównego nurtu są w tej optyce skompromitowane, dziennikarze chodzą na pasku reklamodawców, zaś agregaty ocen w rodzaju Rotten Tomatoes, Metacritic, iMDB czy Filmwebu to jedynie przedłużenie korporacyjnego marketingu (choć w rzeczywistości to relacje twórców internetowych z ich sponsorami stają się coraz mniej transparentne). Krótkie formy i skondensowany przekaz sprzyjają wojennej retoryce. Z kolei ci z największymi zasięgami cementują internetową solidarność. „Widz nie jest tak głupi, jak się hollywoodzkim decydentom wydaje" – krzyczą.

Wściekłość i szum

W intelektualnie stymulującym, choć nudnym jak flaki z olejem filmie „W blasku ekranu" Jane Schoenbrun wyalienowany nastolatek wchodzi w dorosłość na wikcie z popkultury. Ukochany serial z dzieciństwa wypełnia pustkę w jego sercu, zastępuje mu wszelkie duchowe potrzeby, jest również substytutem rodzicielskiej miłości. Gdy w końcu bohater staje na granicy bezbrzeżnej samotności, jest już za późno, by zrobić krok wstecz. Stary, apatyczny i zmęczony rozdziera skórę na brzuchu, odsłaniając czeluść wypełnioną telewizyjnym szumem.

To fantastyczna scena. Uświadamia, że nostalgia, która nakazuje nam funkcjonować wyłącznie w przeszłości, może być uczuciem destrukcyjnym, prowadzić do erozji więzi społecznych. Myślę sobie o niej, ilekroć widzę te podjazdowe wojenki o Tolkiena, „Gwiezdne wojny", Kubusia Puchatka i Pana Samochodzika. Spokojna głowa, nasze wspomnienia są bezpieczne. Idole naszego dzieciństwa, syci i wypoczęci, odpoczywają w pawlaczu. A na nowych zawsze możemy zagłosować portfelami. Niech jakimś pocieszeniem dla wszystkich wojowników popkultury będzie fakt, że nie da się cofnąć czasu i retroaktywnie zniszczyć tego dziedzictwa.

© MICHAŁ WALKIEWICZ

Gra wstępna

ANITA PIOTROWSKA

Najlepsze dania, z pogranicza doznań metafizycznych, nie są wyłącznie popisem umiejętności, lecz prawdziwym miłosnym wyznaniem.

Grają to, co umieją, a więc: jedzenie, picie, spacerowanie, gadanie" – pisał w swoich „Notesach" Andrzej Wajda, mając na myśli obejrzane właśnie „Wszystkie poranki świata" (1991) Alaina Corneau. Uznał go, oczywiście z przekąsem, za wzorcowy przykład „filmu artystycznego *à la française*". Prawdopodobnie do tego samego garnka wlałby dzisiaj „Bulion i inne namiętności". Sami Francuzi uznali go przed rokiem za specjalność domu i zgłosili do Oscara, zamiast nagradzanej i drapieżnej „Anatomii upadku" Justine Triet (ale to już zupełnie inna opowieść).

W istocie film Trần Anh Hùnga ma wszelkie cechy wysmakowanej wizytówki, a chociaż metafory kulinarne w odniesieniu do kina łatwo wietrzeją, nie da się ukryć, że ta kostiumowa historia miłosna, dziejąca się głównie w kuchni, jest przede wszystkim ucztą dla zmysłów. I to dla wielu naraz. Gotowanie na dużym ekranie rzadko bywa aż tak konkretne i zarazem tak bezwstydnie uwodzicielskie.

Pochodzący z Azji reżyser potraktował stuletnią, niewydaną u nas powieść „La vie et la passion de Dodin-Bouffant, gourmet" niczym esencję francuskości. Jej szwajcarski autor, Marcel Rouff, opowiada tam o XIX-wiecznym smakoszu, wzorowanym luźno na Jeanie Anthelme Brillat-Savarinie, twórcy słynnej „Fizjologii smaku", zaś Trần zrobił z tego połączenie „Uczty Babette" z „Przepiórkami w płatkach róży". Czyli epikurejską przypowieść, podszytą melancholią i w tym sensie podobną do wspomnianego dzieła Corneau.

W rolach głównych obsadził ikony francuskiej kinematografii i zarazem niegdysiejszą parę w życiu prywatnym, co nadaje filmowi szczególnego smaczku. Tytułowego Dodina gra Benoît Magimel, najlepiej znany z ról różnej maści pasjonatów i obsesjonatów („Pianistka", „Król tańczy", „Pacifiction"), a partneruje mu Juliette Binoche, o której po „Trzech kolorach: Niebieskim" mówiło się, że nikt tak pięknie nie oddaje w kinie namiętności i cierpienia.

Oboje ćwiczyli gotowanie pod okiem mistrza Pierre'a Gagnaire'a, zdobywcy trzech gwiazdek Michelina i konsultanta filmu (zagrał też małą rólkę). Stąd chwilami ogląda się „Bulion" jak wielki spektakl fine diningu. Instruuje krok po kroku, jak wykonać idealny warzywno-mięsny wywar o nazwie *pot-au-feu*, paszteciki *vol-au-vent* z owocami morza, polędwicę cielęcą w duszonej sałacie czy ciasto lodowe Alaska. Pichcone ponoć bezpośrednio przed kamerą, bez oszukańczych stylizacji.

I prawie w milczeniu, bowiem kulinarne „porno" wyraża przy okazji to, co dzieje się po cichu między dojrzałymi kochankami – możnym pracodawcą i jego skromną, acz genialną kucharką. Zresztą ukazane w filmie stosunki społeczne chwilami wydają się bardziej postępowe aniżeli dziś na zapleczu niejednej renomowanej restauracji.

Szefową swojej kuchni Dodin traktuje z ogromnym szacunkiem (również jako kobietę) i tak też obchodzi się z rodziną Pauline – terminującej w jego kuchni małoletniej geniuszki smaku. Co prawda na pokazowych ucztach w wiejskiej posiadłości zjawiają się wyłącznie panowie (smakują, komentują, filozofują), jednakże do swego stołu zapraszają także Eugénie (choć ta woli się krzątać i jeść ze służbą w kuchni). Mamy rok 1898 i wyrafinowany w każdym calu gospodarz zdaje się wyprzedzać swój czas. Efektem jest świat cudownie (także w znaczeniu życiowego prawdopodobieństwa) harmonijny, dostarczający niemal samych przyjemności. No, chyba że jesteśmy wegetarianami, albowiem francuska *haute cuisine* bywa pod tym względem bezlitosna, a i sam film mocno celebruje jej mięsność. Określenie „martwa natura" w scenach hardkorowej kuchennej obróbki nabiera innego znaczenia.

Poza tym prawie wszystko u Trần wygląda idyllicznie i malarsko – bukiety jarzyn, gotujące się jajka, kompozycje z miedzianych rondli... Ten film sensualnie wręcz widza pochłania, włącznie z płynną choreografią kuchennych prac i całym tym smakowitym skwierczeniem, sykiem, bulgotem. Ma się wrażenie, że film pachnie, nie mówiąc o jego dyskretnej erotyce, naturalnym oświetleniu czy „opisach przyrody", oczywiście na tle różnych pór roku.

RADIO KRAKÓW
Co środę o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica-Zdrój – 102,1 FM
Rabka-Zdrój – 87,6 FM www.radiokrakow.pl

MATERIAŁY PRASOWE GUTEK FILM

BULION I INNE NAMIĘTNOŚCI
(„La passion de Dodin Bouffant”) – reż. Trần Anh Hùng. Prod. Francja 2023. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 30 sierpnia.

Trần Anh Hùng jest francuskim reżyserem urodzonym w Wietnamie. Jego debiut, „Zapach zielonej papai” (1993), był nagrodzony w Cannes i nominowany do Oscara. Za „Rykszarza” (1995) otrzymał Złotego Lwa w Wenecji. W ojczyźnie zrealizował także „Schyłek lata” (2000), a poza nią „Przychodzę z deszczem” (2009) czy „Norwegian Wood” (2010) według powieści Harukiego Murakamiego.

Na zdjęciu: Benoît Magimel i Juliette Binoche w filmie „Bulion i inne namiętności”

Nic dziwnego, gotowanie podniesione tu zostało do rangi sztuki wysokiej, a wymyślanie menu – do odkrywania nowych gwiazd czy dowodzenia armią. Desery przypominają klejnoty lub rzeźby, w dodatku z niespodzianką w środku. W tym sensie „Bulion i inne namiętności” doskonale wstrzela się w dzisiejszą modę. Nie tyle na okołokuchenną blogosferę czy telewizyjne zawody w gotowaniu. Bliżej mu do wysokoartystycznego „kina kulinarnego” w rodzaju dokumentów „Jiro śni o sushi” czy „El Bulli. Kuchnia to sztuka”. Ma być elegancko, na bogato, najlepiej wedle starych receptur i z odrobiną miłosnego szaleństwa.

Jako nieśpieszna *love story* film Trần a też niczego się nie wstydzi – romantyzowania, idealizacji czy sekretnych przejść między kuchnią i alkową. W końcu te najlepsze dania, z pogranicza doznań metafizycznych, nie są tutaj li tylko wyrazem czyjejś pasji czy popisem umiejętności, lecz prawdziwym miłosnym wyznaniem. I nawet jeśli nie ma nic oryginalnego w porównywaniu wysublimowanej erotyki i takiegoż jadła, a doświadczenie utraty niechybnie przyniesie całkowity brak apetytu, odbywa się to w „Bulionie” z niewymuszonym wdziękiem. Gdy przyglądamy się kuchennym rytuałom, trudno uciec od skojarzeń z grą wstępną – z przyjemnością odraczaną i podsycaną. Po tym filmie traci się ochotę na dania instant typu odgrzewane w mikrofali paluszki rybne.

Ktoś powie, że oglądamy kino dla snobów. Że owo „jedzenie, picie, spacerowanie, gadanie” oraz samo gotowanie grzeszy nadmiarem, konsumpcjonizmem, zbytnią estetyzacją. Jest tam także scena, w której odsłania się na chwilę okrucieństwo wyznawanej przez Dodina perfekcji. Lepiej zatem zobaczyć w „Bulionie” opowieść o wiecznym niespełnieniu i tęsknocie. Ta cała kuchenna krzątanina, „rzeźbienie” w jedzeniu, dążenie do zmysłowego ideału jawi się w finale jako zaklinanie czasu, powszedniości, nicości. Przywołując brutalny aforyzm Brillata-Savarina: „Można zostać kucharzem, ale człowiek rodzi się pasztetnikiem” (tłum. Joanna Guzy).

Tak, twórca „Zapachu zielonej papai” również próbuje wyrwać się z tej pasztetniczej kondycji. Nawet kiedy pracuje na zbyt wysokim C, to jednak na najwyższym poziomie wykonawstwa, z ponadprzeciętnym wyczuciem stylu i smaku. ©

Lektor:
Piękna plejada

- *Amy Licence*

ARTYSTYCZNE KRĘGI, MIŁOSNE TRÓJKĄTY. VIRGINIA WOOLF I GRUPA BLOOMSBURY
Przełożyła Aleksandra Kamińska, Wydawnictwo Znak, Kraków 2024, ss. 332.

„Miłosne trójkąty” w tytule to z jednej strony trochę niedopowiedzenie – gdyby rozrysować sieć związków uczuciowych łączących bohaterów tej książki, wyszłoby chyba więcej figur geometrycznych. Z drugiej zaś te związki to temat oczywiście ważny – czy bez uczucia łączącego Virginię Woolf i Vitę Sackville-West mielibyśmy „Orlanda”? – ale autorka kreśli obraz znacznie rozleglejszy. Pisząc o wielkiej Virginii, jej siostrze, malarce Vanessie Bell i całym środowisku, któremu nadano nazwę od pewnej londyńskiej dzielnicy, portretuje w istocie przemianę kulturową, przejście od epoki wiktoriańskiej do nowoczesności, w obyczajach i sztuce. A punktem wyjścia czyni szczegółowy opis bardzo wiktoriańskiego domu Lesliego Stephena, ojca obu sióstr, ważnego w tamtym czasie intelektualisty.

Anegdoty – owszem, ale przede wszystkim, jak pisze Magda Heydel, tłumaczka Virginii, „znakomity przewodnik po jednym z najciekawszych i niezmiennie inspirujących środowisk literacko-artystycznych XX wieku”. Historyk i eseista Lytton Strachey, ekonomista John Maynard Keynes, malarze Duncan Grant i Dora Carrington, poległy podczas I wojny poeta Rupert Brooke, prozaik Edward Morgan Forster, krytycy Clive Bell i Roger Fry... można by długo przypominać kolejne nazwiska. Przełomowa wystawa postimpresjonistów, którą w listopadzie 1910 r. zorganizował Fry i która wywołała skandal (dyrektor National Gallery zażądał wycofania nazwiska z materiałów reklamowych, „Pall Mall Gazette” uznała, że to „dzieło pensjonariuszy szpitala dla obłąkanych”), ale też przełom (wedle słów Virginii „gdzieś w okolicy grudnia 1910 roku zmienił się ludzki charakter”). Wsparcie dla sufrażystek, szalone przyjęcia kostiumowe, zachwyt Baletami Rosyjskimi – i kolejne książki Virginii, których ukończenie z reguły przypłacała kryzysem psychicznym. Ten ostatni, już podczas II wojny, wzmocniony lękiem przed niemiecką inwazją, zakończył się samobójstwem.

Niesamowitą scenę z 28 marca 1941 zwizualizował w „Godzinach” reżyser Stephen Daldry – Virginia Woolf obciążająca kieszenie płaszcza kamieniami i wchodząca w nurt rzeki Ouse. Wcześniej napisała dwa listy, z których ten do męża, niewspomnianego tu dotąd Leonarda Woolfa, jest wspaniałym podziękowaniem i zarazem wyznaniem miłosnym. „Nikt nie mógłby być taki dobry, jak byłeś Ty, od najpierwszego dnia aż do teraz”. Leonard jest dla mnie jednym z najważniejszych bohaterów tej książki. ©℗

OLGA

Drenda:
Umysł pokemona

Miałam przyjemność spędzić kilka dni pływając i przyglądając się życiu morskiemu. Od razu zaznaczam, że trudno nazwać mnie mistrzynią pływania; większość moich skromnych umiejętności to efekt lekcji pływania dla dzieci, na które chodziłam pewnego lata z siostrą i kuzynami. Uczyliśmy się pod okiem instruktora zwanego Młodym Lubaszenką ze względu na podobieństwo do sławnego aktora, i z doświadczenia tego wyniosłam umiarkowanie dobrą żabkę. W tym roku z satysfakcją zauważyłam, że żabka ta nabrała większej sprężystości. Stało się to za sprawą urządzenia, które słynny socjolog Edward T. Hall zaklasyfikowałby do grupy ekstensji – rozwiązań pozwalających przedłużyć i rozszerzyć naturalne możliwości ludzkiego ciała. Rower lub samochód są zatem ekstensją naszych nóg, telefon – głosu, a maska nurkowa – płuc. To ostatnie akcesorium – w moim przypadku oczywiście amatorskie – przyniosło mi sporo odkryć.

Delegowanie oddychania pod wodą pozwoliło się nie tylko skupić na sprawniejszym poruszaniu kończynami, ale przede wszystkim wymusiło spokój. Zdenerwowanie i nieskoordynowane machanie rękami nie tylko męczyło, ale ściągało na głowę niebezpieczeństwo. Żeby płynąć bezpiecznie, musiałam oddychać podręcznikowo, tak, jakby szeptał mi do ucha niewidzialny instruktor autohipnozy. Ta umiejętność niebawem pomogła mi radzić sobie o wiele lepiej i bez maski, przypominając mi coś, o czym dobrze wiem, lecz powtarzania nigdy dość: że wszystko, co się udaje, co pomaga wydostać się z tarapatów albo osiągnąć coś ważnego – dzieje się przy zasłudze spokojnej rozwagi. Również, a może zwłaszcza wtedy, gdy trzeba uważać albo się pospieszyć (wie o tym każdy, kto w porę wykonał właściwy manewr). Taki spokój sprzyja zdecydowaniu i podejmowaniu właściwych kroków.

Jedną z niewielu rzeczy, które zapamiętałam z gry Pokemon, jest moc spokojnego umysłu. Zawodnik, który nią dysponował, i skuteczniej się bronił, i atakował: zyskiwał na wszystkich frontach. Ludzie czasem wyzywają się od pokemonów, mając na myśli durne kreatury, lecz w tym przypadku wspaniale jest osiągnąć umysł pokemona i warto do niego dążyć. Niestety, świat nie sprzyja zachowaniu roztropnego spokoju, sabotując ten pożądany stan na rozmaite sposoby, przede wszystkim mnożąc fikcyjne czy odległe trwogi, wytwarzając sztuczne przerażenie w sytuacjach pozbawionych elementu zagrożenia. Tak jakby jakimś zakulisowym siłom (może być ich wiele i mogą mieć rozbieżne interesy) najbardziej opłacało się, żeby przeciętny człowiek funkcjonował po prostu źle – miotając się, myląc, zapętlając w upokarzającym pośpiechu, drżąc przed nieistniejącym potworem, tracąc kontrolę nad swym metaforycznym pojazdem. Kto wie, być może człowiek opanowany to po prostu człowiek nieopłacalny: może zastanowić się nad czymś dwa razy, rozważyć za i przeciw, a nawet powiedzieć nie. A to oczywiście skandal.

Coraz częściej zastanawiam się nad potrzebą rozwijania w sobie niemodnej roztropności i rozwagi. Nie ma ona nic wspólnego ani z modnym programowym minimalizmem, ani z korporacyjną odmianą uważności, która ma służyć wystruganiu z człowieka bardziej efektywnego zasobu ludzkiego. Oznacza raczej spokojne i konsekwentne działanie, któremu nie szkodzą rozproszenia i przeszkadzajki, w którym można odróżnić realne niebezpieczeństwo od złudzenia.

Dla odmiany zbanalizowane i ubaśniowione treści udające naukę, które nas dzisiaj otaczają, opowiadają o ludzkich zachowaniach w sposób właściwy legendom – tak jakby człowiek został już na dobre ulepiony i był niezmienny. Wszystko musi być w nich „po coś"; żyjemy w świecie zorientowanym na maksymalną użyteczność, trudno więc znieść przypadek, błąd, bezsens. Według takiej logiki nawet panika jest słuszną reakcją i pięknym darem od matki natury. Rozwaga jest „nienaturalna", w przeciwieństwie do paniki, bo wymaga działania wbrew odruchowi. Ale nienaturalne jest również na przykład pływanie. Ta wiedza kiedyś mnie mocno zaskoczyła, bo byłam przekonana, że to umiejętność równie ogólnoludzka, co na przykład przyrządzanie posiłku albo budowanie domu. Najwyraźniej czasem wspaniale jest być nienaturalnym, a nawet móc powiedzieć pozornie naturalnym reakcjom „nie". ©

OLGA DRENDA

Nienaturalna, ale piękna ryba

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską", „Wyroby" (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru".

PAWEŁ

Bravo: *Cielę Sushi*

Dwanaście razy musiał przyłożyć swój palec grecki uczony Herofilos z Aleksandrii, żeby zmierzyć pierwszy kawałek kiszki, który wychodzi z żołądka. A że był pionierem anatomii pojętej jako zimny rozbiór ciała (powiada się, że kroił żywcem więźniów, ale mamy istotne powody, by w to wątpić), to lubił wymyślać nowe, czasem abstrakcyjne nazwy. I tak oto od III wieku przed Chrystusem aż po dziś dzień nosimy w brzuchach dwunastnicę. A potem jakiś napotkany w poczekalni gaduła będzie wam wmawiał, że medycyna nie należy do rozgadanej w wiecznym dialogu z przeszłością kultury, tylko jest „ścisła" i samowystarczalna pojęciowo. Kiedy zaś ktoś z fałszywą troską zauważa, że piję ciągle wino, powiadam, że mamy w głowie „tłocznię Herofilosa" (tak bowiem nazwał miejsce zbiegu zatok mózgowych), nasze więc myśli są już w pewnym sensie winem, trudno zatem, żebyśmy chłeptali wodę, jak trzoda, lub jakieś mleko – to zostawmy pokornym cielętom.

W obórce kalifornijskiej uczelni żyje za to cielę, które pije olej z wodorostów (oprócz numerka ma stosowne imię: Sushi). Jest częścią eksperymentu, w którym droga do ocalenia nas przed skutkami nadmiaru metanu wiedzie przez dwunastnicę. Dlatego przypomniałem sobie historię jej nazwy, ale idźmy po kolei.

Jako wierni czytelnicy rubryczki wiecie, że odbijający się półtora miliardowi krów metan jest poważnym czynnikiem zmiany klimatu i że znane są proste sposoby, aby krowa mniej bekała – musi np. zjadać czosnek albo określone rodzaje wodorostów. Zatem w hodowlach mlecznych można podsypywać paszę z antymetanowym dodatkiem. Ale 90 proc. krów hoduje się na mięso, przeważnie na otwartych pastwiskach, nie da się za każdym bydlątkiem codziennie ganiać z pigułą. Tylko w złośliwej swej fantazji widzę taką pracę jako społecznie użyteczną karę za bezsensowne akty dziwnie pojętego aktywizmu, np. przyklejanie się do dróg.

Może jeść mniej wołowiny? Cóż, to żeśmy sobie przy tym stole już nieraz mówili: bez wielkich wojen i hekatobmy ludzkość nie wyskoczy ze spirali rosnącej konsumpcji. A gdyby tak znaleźć sposób, żeby krowy na pastwiskach też nie emitowały metanu? To niepotrzebny im do życia produkt uboczny procesów w żwaczu (pierwszym z tzw. przedżołądków). Trzeba pomajstrować przy mikrobiomie, który pozwala krowom trawić prawie wszystko. Dlatego Sushi zjada teraz wodorosty, żeby dostarczać próbek swego żwacza w wersji „niskometanowej" do porównania z tą normalną. Metan, jak się okazuje, produkują archeony (jednokomórkowe żyjątka inne niż bakterie), może – jak to bywa, kiedy się walczy ze szkodnikami w ekosystemach – zwiększyć obecność ich rywali? Jest taki: bakteria *Duodenibacillus*, nazwę biorąca stąd, że ludzie mają jej pełno w dwunastnicy. Jest w stanie szybciej przerobić wodór i dwutlenek węgla nie na zły metan, lecz na energię. Trzeba tylko tę bakterię turbodoładować, dłubiąc przy jej genomie, żeby była szybsza, zachłanniejsza, po czym podać taki probiotyczny suplement cielęciu raz, po urodzeniu.

Tak przynajmniej wygląda plan. W Kalifornii, gdzie oprócz pomarańczy rosną nabrzmiałe milionami fundusze na wszelakie marzenia, grantów nie zabrakło. Poczekamy. Może się okazać, że ingerencja w krajobraz, zanim się go do końca zmapuje, da niespodziewane efekty, bo nagle się np. okaże, że archeony do czegoś jednak służyły... Ale już od dawna nie pozostaje nam nic innego, jak gra w uczniów czarnoksiężnika, w nadziei, że miotła okaże się łaskawa.

Gulasz prawie burgundzki

Mięso z wołu ma oprócz wad ogromną zaletę – jego mniej szlachetne części więcej dają radości niż te kosztowne, jak np. polędwica. Carpaccio lub tatar to nuda – wszystko zależy od dodatków. Dlatego np. lubię kleistą, pełną kolagenu łopatkę, która po zmieleniu jest podstawą sosu bolońskiego, albo pręgę, z której wychodzi gulasz będący bliską wariacją burgundzkiego.

0,7 kg pręgi wołowej 1 cebula 1 gałązka selera 2 marchewki 0,5 l czerwonego wina, kilka pieczarek, liść laurowy, gałązka tymianku, pieprz

Cebulę, seler i marchew siekamy na dość grube kawałki, dusimy krótko na oliwie, dodajemy laur, pieprz i tymianek, zalewamy winem, krótko odparowujemy, po czym dusimy na małym ogniu przez kwadrans. Studzimy, do tak zrobionej marynaty wrzucamy na noc mięso w kawałkach ok. 2 cm. Następnego dnia suszymy je, obsmażamy mocno na maśle, przekładamy do żaroodpornego naczynia, na patelnię wlewamy parę łyżek wina, zagrzewamy, zeskrobując resztki tłuszczu, wlewamy do mięsa, dodajemy doń również marynatę i jeszcze jedną marchew w plasterkach, solimy porządnie, przykrywamy, dajemy do pieca w 120 st. na co najmniej trzy godziny, raz na jakiś czas mieszając i dodając pod koniec parę pieczarek albo np. pokrojoną rzepę lub kalarepę. Sos można zagęścić potem mąką, ja lubię czysty, do ryżu. ©℗

ANNA SHEPULOVA / STOCK.ADOBE.COM

Zapisz się na newsletter – co piątek przepisy na Tygodnikowy lunch, obiad i deser w Twojej skrzynce: powszech.net/tygodnik-smakow

Paweł Bravo jest tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

ZMYSŁY

Kibice klubu Boca Juniors przed stadionem „La Bombonera". Buenos Aires, 28 listopada 2023 r.

POCAŁUNEK I BOMBONIERA

DARIUSZ ROSIAK Z BUENOS AIRES

Uczestniczyłem w rytuale, którego zasad nie rozumiałem, jak odkrywca, który nagle dotyka nieznanego. Byłem w środku bajki.

Mężczyzna przy stoliku obok wyjął z plecaka obuwie, bidon i kamizelkę. Usiadł na krześle, zdjął adidasy i założył buty do tanga. Miały migdałowe noski i brązowo-granatowe lakierowane wstawki z obwódkami ręcznie zdobionymi, wyprofilowane cholewki i twarde obcasy. W dobrych butach do tanga chodzi o to, żeby noga mogła swobodnie poruszać się w przód, w tył i na boki, a podeszwa przylegała do parkietu. Trzeba kupić odrobinę pod numer, żeby rozchodzić. Nawet najlepsze po pół roku używania nadają się na śmietnik. Tak mi powiedział Amir, kiedy rzuciłem: „O, piękne buty".

Tango to nie jest żart

Amir był Hindusem z Paryża. Przyjechał do Buenos na miesięczny urlop, żeby tańczyć tango. Ale nie spotkaliśmy się na lekcji, to była sobota, otwarty wieczór w sali tanecznej „El Beso" w dzielnicy Recoleta. Z sufitu zwisały ciężkie, rozświetlone żyrandole, słup owinięty płótnem w błękitno-białe pasy sterczał na środku parkietu jak narodowy totem. Ustawione w czworoboku stoły przykryte bordowymi obrusami czekały na gości.

Parkiet zapełniał się leniwie. To był początek wieczoru, kilka par tańczyło, przy stołach były jeszcze miejsca. Niektórzy zamawiali coś do picia, inni siedzieli i czekali. Mężczyźni i kobiety pojawiali się oddzielnie, siadali po przeciwległych stronach. Każdej osobie wskazywał krzesło kierownik sali, łysy, na oko siedemdziesięciolatek, łagodny anioł stróż, którego rozbieganym oczom nic nie umykało.

Amir ubrał kamizelkę, pociągnął łyk z bidonu i zamówił butelkę szampana. Butelkę i cztery kieliszki. Dopiero wtedy

ruszył. Zatańczył jeden zestaw numerów, wrócił do stolika i przywołał kelnerkę. Nalała szampana do wolnego kieliszka, Amir wskazał kobietę, z którą właśnie skończył tańczyć, kelnerka zaniosła. Wznieśli wspólnie toast na odległość, uśmiechnęli się do siebie.

Uczestniczyłem w rytuale, którego zasad nie rozumiałem, jak odkrywca, który nagle dotyka nieznanego. Byłem w środku bajki, którą doświadczałem, ale w niej nie uczestniczyłem. Nikt, włącznie z siedzącym obok Amirem, nie zwracał na mnie uwagi i to było idealne rozwiązanie. Mogłem się przyglądać tancerzom i słuchać tanga.

W przerwach między kawałkami kolejny mężczyzna podnosił się z miejsca i kierował w stronę kobiety po przeciwnej stronie sali, a ta wstawała niemal równocześnie z nim, wiedząc nieomylnie, że chodzi właśnie o nią, a nie o siedzącą obok sąsiadkę. Skąd wiedziała?

Uśmiech i kilka słów przed rozpoczęciem tańca, wejście w nastrój na pierwszych taktach, z początku delikatne ruchy, potem ona coraz mocniej wsparta na nim, jej ramiona jak rozłożyste skrzydła zarzucone na jego ramionach, jej nogi, bezwstydnie szukające miejsca między jego nogami, on coraz pewniejszy siebie, apodyktycznie wciągający ją w swoją intymność. Nikt się nie śmieje, nikt nie rozmawia w tańcu, nikt nie rozgląda się na boki. Tango to nie jest żart, tango to jest wykuta z uczuć ruchoma rzeźba dwóch ciał złączonych w jedno.

Tego wieczora w „El Beso" nie ma zawodowców. Są zwykli ludzie z Buenos, którzy przyszli wieczorem potańczyć. Kobiety ubrane w kolorowe sukienki, mężczyźni w koszulach, marynarkach, kamizelkach, ale bez specjalnej troski o wygląd. W tym mieście codziennie odbywa się wiele zawodowych pokazów tanga i są też potańcówki takie jak ta, gdzie może przyjść każdy pod warunkiem, że umie tańczyć. Niekoniecznie po mistrzowsku, ale przynajmniej kompetentnie. Dyletantom raczej nie polecam.

To nigdy nie była zwykła rozrywka

Jako niewidzialny dla lokalsów turysta popijałem malbeca z Mendozy, chłonąc obrazy i dźwięki. Przed wyjazdem do Buenos naczytałem się o mieście i o tańcu, który w nim się narodził, choć Urugwajczycy twierdzą, że to nieprawda, że tango powstało w Montevideo. Jak dla mnie wszystko jedno. Dla mnie tango powstało w „El Beso". O tak, oglądałem film Saury, słuchałem Gardela i Piazzoli, znam historię tańca, który wyszedł z portowych burdeli i miejskich zaułków Buenos, rozrywki prostytutek i złodziei. Wiem, że to nigdy nie była zwykła rozrywka, a raczej fizyczna emisja dojmującego bólu duszy ludzi bez nadziei, że to oni wymyślili choreografię przepojoną bezwstydem, przemocą, seksem. I znam historię tangomanii, która od pierwszych lat XX wieku odzierała tango z jego pierwotnego sensu.

Historia popularnej kultury, w tym historia argentyńskiego tanga, to opowieść o przyjemnościach biednych ludzi przejmowanych przez ludzi mniej biednych, a potem już całkiem bogatych, i zmieniania ich w coś, czym nigdy nie były (to dotyczy zresztą tak samo tanga, jak i piłki nożnej, o czym za chwilę). W trakcie tego entuzjastycznego przejmowania masa wykształconych ludzi ubolewa nad „utratą duszy" tanga, flamenco, rumby, bluesa i jazzu, przekonując, że nic na świecie nie jest dziś autentyczne. I faktem jest, że zwykle zanim o czymś usłyszymy, jest to już coś innego, niż było przy swoich narodzinach. Tylko co ja mam z tym zrobić, siedząc przy stoliku w „El Beso" i oglądając rozdzierający mi serce spektakl najbardziej autentycznej kultury miejskiej?

Podróżnik ma do wyboru dwie postawy. Pierwsza to orientalizm: ronienie łez nad ciężkim losem argentyńskiej biedoty, odarciem tanga z jego autentyzmu i losem nieszczęśników, którzy po drodze padli ofiarą uzurpatorów. Można przy okazji przeanalizować, co kto komu ukradł i ile na tym zarobił. Druga, bliższa mi, to celebracja świata, zwłaszcza doświadczanego po raz pierwszy – w pełnej jego skali, we wszystkich wymiarach i odsłonach. Argentyńskie tango, podobnie jak argentyńska biedota, poradzą sobie bez mojej troski.

Co ciekawe, historia tanga pokazuje, jak bardzo rozjeżdżają się czasem drogi purystów-teoretyków gatunku i prawdziwych jego twórców. Po tym, jak Amerykę i Europę ogarnęła pierwsza tangomania, już w latach 20. XX wieku argentyńskie tango wyłoniło dwa nurty: „tradycjonalistów" i „ewolucjonistów", czyli artystów, którzy poddawali się oczekiwaniom amerykańskich „gringos". Tango stawało się „agringado". Ewolucjoniści wygrali, a ich największym przedstawicielem był Astor Piazzola, który programowo zanieczyszczał tango jazzem. Argentyńska publiczność go uwielbiała. Podobnie zresztą jak – 20 lat przed Piazzolą – uwielbiała całkowicie tradycyjnego Carlosa Gardela.

Ani Gardela, ani tym bardziej Piazzoli nie słyszałem w „El Beso". To były zestawy starych tradycyjnych wokalnych tang, zapewne popularnych przebojów – mój sąsiad trzy stoliki obok nucił pod nosem, znając doskonale słowa. Amir zamówił kolejnego szampana dla swojej kolejnej partnerki. Widziałem, że jest z siebie zadowolony, przez trzy godziny niemal nie schodził z parkietu.

Wszyscy nas nienawidzą, a nas to cieszy

Tango i piłka nożna to do głębi konserwatywne, czasem reakcyjne – używając dzisiejszych standardów – zjawiska. Tango to taniec pełen przemocy, męskiej dominacji, opowieść o świecie, w którym kobieta jest gloryfikowana jako ideał piękna i dobra – dopóki nie rzuci mężczyzny, stając się przyczyną jego nieszczęść, wynikającego z nich naturalnie alkoholizmu oraz skłonności do przemocy. *Machismo* w formie czystej.

A kibicowanie lokalnemu klubowi piłkarskiemu jest u swoich korzeni celebracją bezwarunkowej miłości do swoich i równie bezwarunkowej nienawiści do obcych, czyli zjawiskiem, które we współczesnym świecie zinstytucjonalizowanej tolerancji powinno podlegać ekspresowej ekskomunice. Idea, według której coś może być równie wartościowe jak coś innego, jest wymysłem ludzi wykształconych i bogatych. Ludzie biedni i niewykształceni z reguły nie mają problemu z tym, że coś albo kogoś lubią bardziej, a coś lub kogoś innego mniej. Co zresztą prowokuje amerykańskich i europejskich liberałów do wyzwalania niewyedukowanych mas w różnych miejscach świata z przesądów i braków tolerancji. A tymczasem biedni – ku przerażeniu potencjalnych wybawców – celebrują rzeczy, które utrzymują ich w byciu biednymi: programowy fatalizm, życie między euforią a beznadzieją, wiarę w spiski, które rzekomo powodują ich biedę, ale także w potęgę władzy i własną wyjątkowość. ↦

IMAGO / IMAGO SPORT / FORUM

↦ – Wszyscy nas nienawidzą – mówi mi Martin Kohan, jeden z 350 tysięcy członków klubu piłkarskiego Boca Juniors – i nam to sprawia radość.

Martin jest pisarzem, w Polsce znanym z książki „Dwa razy czerwiec", w Argentynie jednym z najpopularniejszych. Jest też ambasadorem literackim Boca Juniors (naprawdę istnieje taka funkcja). Dwa czerwce, które stanowią klamrę jego powieści to – jakże by inaczej – dwa mundiale, a ściślej mówiąc: dwa mecze Argentyny z Włochami, oba przegrane: z 1978 r. w Buenos, i 1982 w Barcelonie. Pierwszy został wyparty ze świadomości narodowej, Argentyńczycy po prostu nie uznają, że miał miejsce, co jest łatwe, bo wygrali turniej w 1978 r., zostając mistrzami świata. Druga porażka była fatalną oczywistością: Maradona grał słabo, nie umiał poradzić sobie z włoskim brutalem o nazwisku Gentile, skład reprezentacji prawie się nie zmienił przez cztery lata.

Tango i futbol to zjawiska do głębi konserwatywne, czasem wręcz reakcyjne. *Machismo* w formie czystej. W świecie zinstytucjonalizowanej tolerancji powinny podlegać ekspresowej ekskomunice.

Przez te cztery lata w Argentynie junta wymordowała co najmniej kilkanaście tysięcy osób, a książka Kohana zaczyna się od zdania: „Ot jakiego wieku można torturować dziecko?". Z błędem ortograficznym, ten błąd jest ważny. Główny bohater książki, rekrut, staje przed dylematem, a właściwie dwoma. Po pierwsze, od jakiego wieku można torturować dziecko, a po drugie, co w krótkiej perspektywie jest ważniejsze – czy poprawić błąd popełniony przez sierżanta, czy lepiej odpuścić, nie narażając się na kłopoty.

– Unikam łączenia piłki nożnej i pisania literatury – mówi mi Martin, to są dwie różne rzeczy. Kiedy zwracam mu uwagę, że w tej książce właśnie to robi, nie widzi sprzeczności. – Piłka nożna jest odrębna, Boca jest odrębna. Nie umiem łączyć tych dwóch rzeczy, potrafię koncentrować się tylko na jednej.

Więc rozmawiamy tylko o piłce. Długo.

Jak kupić bilet na mecz

Kupowałem bilety na mecze w różnych okolicznościach, kiedyś na Camp Nou od konika, który miał biuro w bagażniku zdezelowanego seata, jego mama siedziała obok na krzesełku turystycznym i skrupulatnie prowadziła księgowość. Ale nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego do zakupu biletów na mecz Boca.

Uzyskanie biletu drogą oficjalną jest niemożliwe, wszystkie trafiają do członków klubu. Ponieważ „La Bombonera", jak nazywa się stadion Boca, mieści nieco ponad 50 tysięcy, żeby uzyskać karnet na cały sezon, trzeba czekać obecnie 10 lat, co nie przeszkadza kolejnym członkom dołączać do klubu w nadziei, że przed śmiercią dostaną swój przydział. Przyjezdny może wejść na stadion w jeden sposób: płacąc za wejście członkowi klubu, który użycza własnego karnetu.

Ten system jest stosowany nagminnie i praktycznie zalegalizowany – do tego stopnia, że pośredniczeniem w kontakcie między nabywcą a *socio* użyczającym karnetu zajmuje się w Buenos najbardziej znana globalna sieć wynajmu mieszkań. Podczas tej podróży nie korzystałem z jej usług, więc musiałem znaleźć inny sposób. Po wykonaniu kilku telefonów stanąłem przed drzwiami tajemniczego biura w centrum miasta, gdzie miła pani przyjęła ode mnie pieniądze, nie dając mi nic w zamian. Inna pani przesłała mi WhatsAppem wiadomość zawierającą miejsce spotkania i niewyraźne zdjęcie człowieka, który miał wprowadzić mnie następnego dnia na stadion. Po wyjściu z owego biura, lżejszy o prawie sto dolarów, przez moment zadałem sobie pytanie, czy dobrze robię, ale odgoniłem złe myśli.

Następnego dnia Osky, jak przedstawiał się mój *socio*, pojawił się w wyznaczonym miejscu z przyjacielem, ósemka szczęśliwców takich jak ja została przez nich obdarowana karnetami na czas wejścia przez bramę stadionu, po czym dwójka naszych darczyńców (po wejściu na „Bombonerę" tak już o nich myślałem) odebrała swoją własność i znikła bez materialnego śladu. Odczuwałem prawdziwy podziw dla sprawności systemu.

Końskie odchody i ważniejszy od Maradony

„La Bombonera" jest gigantycznym, rozpadającym się, zabytkowym obiektem zbudowanym w 1940 r., którego strażacy prawdopodobnie nie dopuściliby do rozgrywek III ligi w Polsce. Dwa lata temu na Youtube pojawiły się filmy pokazujące szczeliny w konstrukcji trybun, które regularnie chwieją się w trakcie meczów pod nogami tupiących kibiców. Zdarzają się propozycje modernizacji stadionu (ostatnia przebudowa miała miejsce w latach 80. XX wieku), a także budowy nowego stadionu na sto tysięcy miejsc, choć wszyscy wiedzą, że w dającej się przewidzieć przyszłości to się nie stanie. Członkowie klubu nie zgodzą się na przeniesienie stadionu poza dzielnicę Boca, bo Boca, klub i dzielnica, to jedno i to samo.

Boca to jedna z uboższych części Buenos, przyjezdni znają ją z „El Caminito", turystycznego skansenu z kolorowymi domkami, ale jej prawdziwe życie jest biedne, brudne i brutalne. Położona wzdłuż strumyka, który kiedyś wyznaczał granice miasta, tradycyjnie zagarniała miejskie szumowiny. I tak zostało do dziś, a drużyna Boca Juniors jest częścią tej opowieści i jak dotąd nikomu nie udało się zmienić jej zasad. Przydomek Boca Juniors to „Bosteros", *bosta* to odchody koni, którymi śmierdziała dzielnica w dawnych czasach. Etos tego klubu, cała jego historia, jest zaprzeczeniem nowoczesności, pokazaniem środkowego palca nie tylko lokalnym rywalom z Buenos, takim jak River Plate (przydomek „Milionerzy"), ale wszystkim, którzy chcieliby cokolwiek perfumować, upiększać i modernizować.

Maradona, który spędził w Boca tylko niecałe półtora roku, miał na Bombonerze prywatną lożę i uważał, że to najlepszy stadion świata. Jego zdanie się liczy, ale to nie on jest najbardziej ukochanym piłkarzem Boki. Na to miano zasługuje Juan Román Riquelme, być może jeden z najbardziej niedocenionych geniuszy futbolu w historii. Ściśle mówiąc: niedocenionych przez analityków piłki, ewentualnie trenerów (w reprezentacji rozegrał zaledwie 51 meczów), ale nie przez kibiców. W grudniu *socios* wybrali go na prezydenta klubu z nadzieją, że przywróci mu dawną świetność po okresie zastoju.

Gdzie najważniejszy jest kibic

Riquelme jest w argentyńskiej piłce wyjątkowy jeszcze z jednego powodu. W czasie kariery jako jedyny znany piłkarz

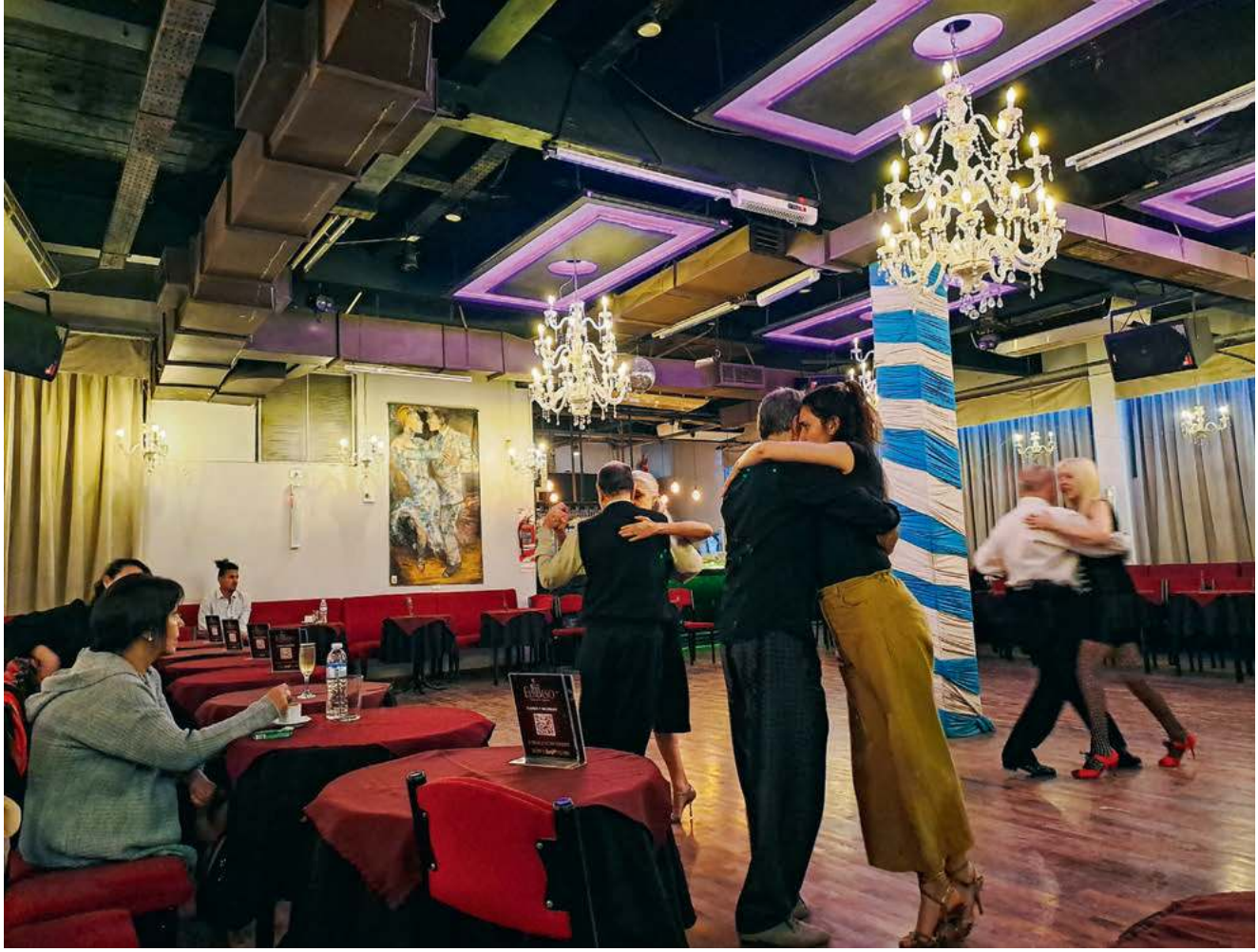

DARIUSZ ROSIAK

Tango w sali tanecznej „El Beso" w dzielnicy Recoleta. Buenos Aires, 4 sierpnia 2024 r.

odmówił płacenia haraczu *barras bravas*, czyli gangom kibicowskim, które od dekad kształtują wizerunek argentyńskiego futbolu. *Barras bravas* rządzą na trybunach i poza stadionem: to oni ściągają pieniądze od sklepikarzy handlujących pamiątkami i jedzeniem w dniach meczowych, oni dopuszczają się również aktów agresji, w tym morderstw, i to nie tylko wobec kibiców innych drużyn. Przez wiele miesięcy dwóch szefów *barras* Boca Juniors walczyło między sobą o władzę, a jeden z nich nawet stanął do grudniowych wyborów jako kontrkandydat Riquelme.

Kiedy zapytałem Martina Kohana o ocenę działań *barras bravas*, nie była jednoznaczna: – To grupy kibiców, którzy bezwarunkowo wspierają klub. Na meczach dopingują, powiewają flagami, grają na bębnach. To wszystko kosztuje, a kibice nie mają pieniędzy. Proponują więc klubowi współpracę, czyli żądają, żeby klub i piłkarze płacili im za oprawę meczów. I szefowie klubów zwykle się godzą, bo zależy im na tym, żeby podczas meczów był głośny doping.

Martin mówi, że Riquelme, od kiedy jest prezydentem, nie jest w stanie kontrolować *barras bravas*. A w Argentynie nie da się zarządzać klubem bez negocjowania z jego liderami. Były przypadki prezesów, którzy postawili się *barras bravas*, ale konsekwencje okazały się zgubne, kluby traciły kibiców.

Trzy zastrzyki nowego życia

Boisko Boca wciśnięte jest między zawieszone nad nim trybuny. Linie boczne są tak blisko trybun, że rezerwowi zawodnicy nie mają miejsca na rozgrzewkę. Przez cały mecz trwa nieustanna fiesta, ludzki ryk połączony z biciem bębnów i dźwiękami innych instrumentów. Dla przyjezdnej drużyny, atakującej bramkę, za którą stoją, tańczą, krzyczą i śpiewają tysiące postaci ubranych w żółto-niebieskie barwy, kontakt z nimi musi być jak zderzenie z rozpędzonym pociągiem.

– Są dwa momenty szczęścia, które przeżywam zawsze – mówi Martin Kohan. – Pierwszy, kiedy wchodzę na trybunę i stadion mnie wchłania. Pierwszy raz przyszedłem tu w roku 1977, ale nie ma we mnie znużenia ani rutyny, po wejściu na trybunę jestem za każdym razem tak samo wzruszony. I drugi moment: nasza drużyna wychodzi na boisko. Pierwszy raz widziałem to, kiedy miałem 10 lat, teraz mam prawie 60 i przeżywam to tak samo.

Słucham Martina rozemocjonowany. Jego słowa na zawsze pozostaną we mnie złączone z obrazami i dźwiękami z meczu Boca–Banfield, który obejrzałem z trybuny za bramką. Na stojąco, wśród ludzi, dla których trzy bramki zdobyte tego wieczora przez ich drużynę były jak trzy zastrzyki nowego życia. Na dwie godziny znalazłem się w piłkarskim świecie równoległym, świecie futbolu i kibicowania, który w Europie skończył się w latach 80. XX wieku, kiedy z rozrywki klasy robotniczej zaczął się zmieniać w gałąź przemysłu rozrywkowego.

Zastanawiam się, czy nie było innej drogi. Nikt nie chce bandytyzmu na stadionach, ale czy jedyną alternatywą jest komercyjny spektakl finansowany przez globalnych miliarderów, którego odbiorcami są wyrafinowani analitycy futbolu przerzucający się statystykami, korporacyjni goście płacący tysiące euro za bilet na mecz i resztki tradycyjnych kibiców?

Co tracimy, zyskując teatry i salony w miejsce rozpadających się świątyń?

© DARIUSZ ROSIAK

STANISŁAW

Mancewicz: *Niesamowita przyszłość Andrzeja Dudy*

Każdy z nas – jak tu ponuro siedzimy – powinien poświęcić odrobinę swego czasu, choćby tego przeznaczonego na patrzenie się w sufit, na rozmyślania *pro bono*. Chodzi nam o zbiorowy, bezinteresowny czyn Polaków, polegający na obmyślaniu przyszłości p. Andrzeja Dudy po zakończeniu jego niesłychanej prezydentury.

Do tej podniosłej myśli skłoniły nas coraz częstsze publiczne domniemania, czymże to p. Duda mógłby się zająć po zdaniu urzędu i wyprowadzce z pałacu. Ludzie – zdaje nam się bez fantazji – powiadają, że mógłby on oświecać zagraniczną młodzież w solidnych uniwersytetach amerykańskich bądź angielskich. Jest to, każdy przyzna, propozycja niefajna. Młodzież zagraniczna jest teraz niesforna, zadaje trudne pytania, jej sytuacja, jeśli idzie o wszelkie jej poczuwanie, odczuwanie i przeczuwanie, jest za skomplikowana dla prostolinijnej konstrukcji intelektualnej owego człowieka z Europy Wschodniej, jakim jest nasz lider. Kariera akademicka za granicą może przynieść panu prezydentowi, jak zresztą większości jego poprzedników, tzw. dysonans poznawczy. Oczywiście, i tu żadnej tamy stawiać nie należy, p. A. Duda może, a nawet powinien, zostać profesorem belwederskim dowolnej polskiej uczelni wyższej. Nie jesteśmy w stanie sobie wyobrazić, by do którejkolwiek jego profesura mogłaby nie pasować. Warto tu dodać, że już, póki czas, powinien on wręczyć sobie samemu stosowną nominację profesorską, bo potem może być niestety za późno.

Słyszeliśmy, ale być może słuchaliśmy niestarannie, że p. Duda mógłby zostać jakkolwiek prezesem czegokolwiek. To akurat przemawia do naszej chorej wyobraźni, bowiem sami snujemy od lat marzenia, że oto piastujemy sobie jakąś intratną prezesurę i mamy w związku z tym auto służbowe oraz garnitur od krawca. Kierunek zatem wydaje się słuszny, pytanie otwarte brzmi: prezesem czego p. Duda mógłby zostać. No i tu zaczynają się schody. Bo zawsze w sytuacji obejmowania prezesury pojawiają się pytania o kwalifikacje. Zawsze w takich sytuacjach słychać szeptem wypowiadaną podpowiedź, że kompetencją mianowicie jest przeszłość. Ale nie bądźmy dziećmi, każdy świetnie wie, że kwalifikacją naszego prezydenta jest nie tyle niesamowita prezydentura, ile tworząca ją nieokiełznana osobista memiczność. Czy to wystarczy? Dalibóg, nie umiemy dziś odpowiedzieć, czy memiczność może zapewnić godne życie. Zwłaszcza czy memiczność prezydenta będzie coś warta, gdy nie będzie już prezydentem? Mem postprezydencki – każdy przyzna, że jest to termin ciekawy.

Dopiero co usłyszeliśmy, że p. Duda mógłby chcieć pokierować Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim. Wiadomość ta wzięła się zdaje się z tego, że olimpiada akurat się odbyła, dużo było o niej w telewizji, a ponieważ szukamy zatrudnienia dla p. Dudy, to temu i owemu olimpiada się z p. Dudą skojarzyła, a więc i coś się przy tej okazji wymyśliło. Oczywiście – ktoś powie – że są to jakieś automatyzmy myślowe, niemające nic wspólnego z oryginalnym planowaniem przyszłości lidera mas. Czy gdyby – dajmy na to – odbywał się tu akurat kongres Prawa i Sprawiedliwości, czy automatycznie by się nam przywidziało, że prezesem tej partii mógłby zostać p. A. Duda? Oczywiście, że nie, bo jest już za późno na fantazjowanie. Oto Gospodarz powiedział niedawno, ale wyraźnie, że jego następcą zostanie p. M. Błaszczak. Czy ktokolwiek jest w stanie wyobrazić sobie świat, w którym PiS-em kieruje Mariusz Błaszczak, a światowym ruchem olimpijskim Andrzej Duda? Nikt. ©

Stanisław Mancewicz pracuje w Instytucie Literackim w Paryżu. Mieszka w Krakowie.

BARTOSZ MINKIEWICZ

Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

TYGODNIK POWSZECHNY

Spotkaj Autorki i Autorów „Tygodnika”. Zapraszamy!

FESTIWAL ŻAR LITERATURY 19-22 IX 2024

czwartek 19 IX

18.00 | Sala Konferencyjna *(zapisy)**

Hymn do miłości – Recital Elżbiety Okupskiej

Koncert najpiękniejszych piosenek Édith Piaf. Niezapomniane przeżycie, nie tylko dla fanów francuskiej piosenkarki

piątek 20 IX

17.45-18.00 | Sala Konferencyjna

Uroczyste otwarcie Festiwalu Literackiego „Żar Literatury”

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna

Nic nie będzie dobrze. Literatura jako źródło niepokoju

Dyskusja z udziałem Pawła Próchniaka, Renaty Lis i Michała Rusinka. Prowadzenie: Artur Madaliński

20.00 | Sala Konferencyjna

Ucieczka w historię

Rozmowa z Cezarym Łazarewiczem. Prowadzenie: Bernadetta Darska

20 IX – wydarzenia towarzyszące

10.00-11.30 | Sala Konferencyjna *(zapisy)**

Oswajanie literatury:

Czesław Miłosz „O książce” – warsztaty dla młodzieży licealnej. Prowadzenie: Piotr Bogalecki

12.00-13.30 | Sala Konferencyjna *(zapisy)**

Oswajanie Literatury:

„Ciała Gombrowicza” – warsztaty dla młodzieży licealnej. Prowadzenie: Tomasz Kaliściak

16.00-19.00 | Strefa Dzieci *(zapisy)**

Literacki plac zabaw

Warsztaty literacko-plastyczne oraz gry i zabawy wokół książki dla dzieci

Galeria Na Piętrze

Wystawa: „Kryształ”

Grzegorz Zawadzki – fotografia
Agnieszka Kornas-Wiśniewska – malarstwo

sobota 21 IX

14.00-15.30 | Sala Konferencyjna

Przeciw polaryzacji. O nadziejach dla Polski

Dyskusja z udziałem Jarosława Flisa, Małgorzaty Myśliwiec i Sławomira Sierakowskiego. Prowadzenie: Jarosław Makowski

16.00-17.30 | Sala Konferencyjna

Panicz, kowboj i mruk. Gombrowicz, Hłasko, Miłosz

Dyskusja z udziałem Radosława Młynarczyka, Józefa Olejniczaka i Łukasza Tischnera. Prowadzenie: Ewa Niewiadomska

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna

Zemsta opowieści

Rozmowa z Sylwią Chutnik. Prowadzenie: Aleksandra Zawalska-Hawel

20.00 | Sala Konferencyjna

Hipopotam w czasach infomanii

Spotkanie z Krzysztofem Vargą. Prowadzenie: Artur Madaliński

21 IX – wydarzenia towarzyszące

12.00-13.30 | Sala Konferencyjna *(zapisy)**

Seminarium dla nauczycieli

Wolna myśl, swobód mit. Czy jest nadzieja dla szkoły? Prowadzenie: Dariusz Martynowicz

14.00-19.00 | Strefa Dzieci *(zapisy)**

Literacki plac zabaw

Warsztaty literacko-plastyczne oraz gry i zabawy wokół książki dla dzieci. Prowadzenie: bibliotekarze oraz Aga Blazy i Magda Biedrończyk z „Tu czytamy”

15.00 | Strefa Dzieci *(zapisy)**

Żar dla Rodzin

Dzisiaj narysujemy blask – warsztaty rysunku pozytywnego.

17.00 | Sala Kinowa *(zapisy)**

Seans filmowy

Adaptacja powieści Witolda Gombrowicza w reżyserii Jana Jakuba Kolskiego. Po projekcji filmu dyskusja moderowana przez Monikę Pawliczek.

Galeria Na Piętrze

Wystawa: „Kryształ”

Grzegorz Zawadzki – fotografia
Agnieszka Kornas-Wiśniewska – malarstwo

niedziela 22 IX

14.00-15.30 | Sala Konferencyjna

Czytanie bez sentymentów. O pisarzach ciemności

Dyskusja z udziałem Łukasza Musiała, Piotra Sadzika i Piotra Pazińskiego. Prowadzenie: Monika Gromala

16.00-17.30 | Sala Konferencyjna

Nasz węgiel i nasze drzewa. Natura w rękach narodu

Dyskusja z udziałem Macieja Roberta, Marty Tomczok i Dariusza Gzyry. Prowadzenie: Joanna Soćko

18.00-19.30 | Sala Konferencyjna

Od beznadziei do „Stranger Things”

Rozmowa z Ziemowitem Szczerkiem. Prowadzenie: Elżbieta Goraus

20.00 | Sala Konferencyjna

Wszystko będzie dobrze. Nadzieja w działaniu

Dyskusja z udziałem Kaliny Błażejowskiej, Olgi Hund i Marcina Żyły. Prowadzenie: Dominika Szczawińska-Ziemba

22 IX – wydarzenia towarzyszące

14.00-19.00 | Strefa Dzieci *(zapisy)**

Literacki plac zabaw

Warsztaty literacko-plastyczne oraz gry i zabawy wokół książki dla dzieci. Prowadzenie: bibliotekarze oraz Aga Blazy i Magda Biedrończyk z „Tu czytamy”

15.00-16.30 | Strefa Dzieci *(zapisy)**

Żar dla Rodzin

Na tropach Wańkowicza – warsztaty pisania reportażu. Prowadzenie: Marcin Żyła

17.00 | Sala Kinowa *(zapisy)**

Seans filmowy

Słynna adaptacja powieści Marka Hłaski „Następny do raju” (zasoby ninateka.pl). Po projekcji filmu dyskusja moderowana przez Monikę Pawliczek.

Galeria Na Piętrze

Wystawa: „Kryształ”

Grzegorz Zawadzki – fotografia
Agnieszka Kornas-Wiśniewska – malarstwo

wstęp wolny

MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W ŻORACH IM. OTTONA STERNA
UL. RYBNICKA 6-8, 44-240 ŻORY

więcej o festiwalu na stronie www.zarliterature.pl

ORGANIZATOR FESTIWALU | BIBLIOTEKA W ŻORACH

PATRONAT PREZYDENTA MIASTA ŻORY | ŻORY

PARTNER FESTIWALU | KSSE Katowicka Specjalna Strefa Ekonomiczna

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

NARODOWE CENTRUM KULTURY

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego w ramach programu Narodowego Centrum Kultury: Kultura – Interwencje. Edycja 2024

REKLAMA

REKLAMA

MALTA FESTIVAL 24

7-15.09. POZNAŃ

ZA MIŁOŚĆ!

ANOHNI AND THE JOHNSONS
ARCHITECTS OF AIR / CHÓR CZAROWNIC
DOMINOES / DOTYK ZA DOTYK. DANSING
ELIZABETH COSTELLO | J.M. COETZEE
HOLLOW COVES / JAHA DUKUREH / JA, ŞEKÜRE
ANNE TERESA DE KEERSMAEKER & RADUAN MRIZIGA
KERALA DUST / KOLOROWI LUDZIE / LEAR
LITTLE AMAL / LOVER'S COMPLAINT
L.U.C. & REBEL BABEL FILM ORCHESTRA
MELODRAMAT / MÓJ PIERWSZY RAVE
NA PIERWSZY RZUT OKA / ORHAN PAMUK
PAROV STELAR / PERIOD PARTY / ANDRZEJ SEWERYN
SILENT DISCO / SUN & SEA
TIM ROBBINS & ACTORS' GANG / WIEDŹMY
ŻÓŁW GAUGUINA & WIELE, WIELE WIĘCEJ

ORGANIZATORZY:

KULCZYK FOUNDATION

dFlights

PARTNER GŁÓWNY:

Polenergia